Rok XIII. Nr. 3.

ROCZNIKI
OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ
Św. WINCENTEGO a PAULO.

Kwartał III.



KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Ks. Ks. Misyonarzy.
1907

TREŚĆ ZESZYTU.

Sprawa beatyfikacyi Sióstr Miłosierdzia z Arras, str. 197.
Z podróży wizytacyjnej ks. Wizytatora w Ameryce, str. 203.
Sprawozdanie z Misyi, str. 224.
Kilka szczegółów historycznych o Seminaryum Internum, opowiedzianych z okazyi jubileuszu, obchodzonego 17. sierpnia 1907 r. w Krzeszowicach, str. 234.
Kronika, str. 247.
Ś. p. ks. Kajetan Sakowski, str. 252.
Ś. p. Paweł Baron, str. 271.
Zmarli Misyonarze, str. 275.

Prenumerata wynosi rocznie **7 Kor. (7 Mk.)**

Upraszamy uprzejmie o łaskawe nadsyłanie kosztów prenumeraty na rok 1907 pod adresem: Redakcya „Roczników obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo“ — XX. Misyonarze, Kraków, Kleparz L. 19.

Sprawa Beatyfikacyi Sióstr Miłosierdzia z Arras (1794 r.).

Czasopisma religijne podały 14. maja z Rzymu następujący telegram: „Dzisiaj rano Kongregacya św. Obrzędów ogłosiła w Watykanie rozpoczęcie sprawy beatyfikacyi dla poniesionej śmierci męczeńskiej Siostry Maryi Magdaleny Fontaine z Arras i jej towarzyszek ze Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia oraz zamordowanych podczas Terroru Sióstr Urszulanek. Odtąd przysługiwać im będzie tytuł „Wielebnych".

Do Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia należały:

1) Siostra Marya Magdalena Fontaine, przełożona; urodzona w Étrepagny 1723. r., pracowała najpierw w Rebetz, potem w Arras.

2) Siostra Teresa Magdalena Fantou, urodzona 1747. r. w wiosce Miniac-Moroan w Bretanii; zajęta była po kolei w Ham, Chauny, Cambrai i Arras.

3) Siostra Joanna Gérard. Urodzona w parafii Cumières w dyecezyi Verdun. Pracowała w Arras.

4) Siostra Marya Franciszka Pelagia L'Asnel. Urodzona 1748. r. w mieście d'Eu w dyecezyi Rouen, pracowała kolejno w Senlis, u św. Łazarza, w Cambrai i Arras.

Dla bliższej informacyi zamieszczamy poniżej krótki zarys życia i męczeńskiej śmierci tych bohaterskich dusz.

Czcigodna Marya Magdalena Fontaine i jej towarzyszki z Arras, skazane na śmierć dla wiary św. w Cambrai 26. czerwca 1794 r.

Burza francuskiej rewolucyi rozszalała już w całej grozie. Wśród rozpętanych żywiołów zajaśniały jak gwiazdy niewinne dusze zamęczonych kapłanów i dziewic; w ich liczbie

znajdowała się także Magdalena Fontaine i jej towarzyszki z domu Sióstr Miłosierdzia w Arras. Wolały raczej pójść na śmierć, aniżeli sprzeniewierzyć się głosowi sumienia, śmiało oddały głowę pod gilotynę 26. czerwca 1794 w mieście Cambrai, dokąd je przeniesiono. Podamy najpierw tło dziejowe, na którem rozegrał się krwawy dramat rewolucyi francuskiej a potem opiszemy jedną z jego pełnych grozy scen — męczeństwo Sióstr Miłosierdzia.

Pod koniec XVIII. wieku odezwał się we Francyi grom wielkiej rewolucyi. W całej Europie zalegały wówczas widnokrąg czarne chmury, zdawało się, że nad wszystkimi krajami zawiśnie straszna burza społeczna i polityczna. Wprawdzie we Francyi runął tron królewski i ołtarze rozsypały się w gruzy, ale i poza Francyą zarówno panujący jak i ich ministrowie obchodzili się z Kościołem i duchowieństwem w sposób podobny. Mamy na myśli wyłącznie państwa katolickie, bo w krajach protestanckich lepiej być nie mogło. Fryderyk II. pruski był przecież otwartym protektorem Voltaira. Na austryackim tronie zasiadał wówczas Józef II., zwany zakrystyaninem dla swoich zapędów reformatorskich w sprawach kościelnych; w Toskanii rywalizował z nim jego brat, Leopold II. W innych krajach rządzili bezbożni ministrowie: w Neapolu n. p. znienawidzony przez ludność Tanucci, stanowczy wróg Kościoła i papieża, w Hiszpanii dzierżył aż do roku 1792. ster rządu Aranda, który według słów współczesnego filozofa, „chciał na wszystkich portalach kościelnych wyryć nazwisko Lutra, Kalwina i Mahometa obok Chrystusa“; w Portugalii Pombal gnębił szlachtę i dopuszczał się niesłychanych okrucieństw na Jezuitach, których liczba w tym kraju dochodziła wówczas do 1.800. Bez sądu skazano członków tego zakonu na wygnanie, więzienie, nawet na śmierć. Ze 125 zamkniętych w ciemnych lochach nad Tagiem zostało tylko 40 przy życiu, gdy umierał krwiożerczy minister, inni pomarli w więzieniu. We Francyi panował Ludwik XV., podobny zupełnie do zasiadających równocześnie na tronach Austryi, Hiszpanii, Neapolu i Portugalii, tylko jego obyczaje

były jeszcze daleko gorsze, a jego minister Choiseul nie ustępował Tanucciemu, Arandzie lub Pombalowi.

Nad całą Europą zawisła groźna burza, ale we Francyę uderzyły jej gromy, bo tam, zdaje się, najpierw wydają owoce wszelkie idee złe czy dobre. Lud wyprowadził konkluzyę z przykładów, idących z góry i z przewrotnych doktryn filozoficznych, któremi go karmiono w całej Europie: zwalił tron i zburzył dotychczasowy porządek społeczny. Twórcy rewolucyi z obawy, żeby duchowieństwo nie odbudowało zburzonego tronu, złączyli z przewrotem politycznym prześladowania religijne.

Z krwawych epizodów, jakie się rozegrały podczas wielkiej katastrofy społecznej, przytoczymy tylko jeden: męczeństwo Sióstr Miłosierdzia z Arras.

Jeszcze za życia św. Wincentego w r. 1656. wysłano Siostry Miłosierdzia do Arras, gdzie im pani Deslyons ofiarowała dom przy ulicy, nazwanej jeszcze dzisiaj „de la Charité“. Przez cały przeszło wiek pracowały tam Siostry nad biednymi z wielką gorliwością i poświęceniem, bo dopiero biskup Conzié, zakupiwszy duży kawał ziemi przy ulicy Farbiarskiej, zbudował tam dla nich w 1782. r. obszerny dom, ażeby mogły powiększyć zakres swej pracy.

W r. 1789. mieszkało w Arras 7 Sióstr. Przełożoną domu była Siostra Marya Magdalena Fontaine, urodzona w kwietniu 1723. r. w Etrepagny w departamencie l'Eure. Poświęcając się od lat 40 służbie ubogich, zdobyła sobie szacunek i przywiązanie całego miasta Arras, gdzie jej pomagały w pracy Siostry Marya Lanel, Teresa Fantou, Joanna Gérard, Róża Michaud, Joanna Fabre i Franciszka Coutocheaux. Wszystkie pracowały w duchu św. Wincentego, utrzymując bezpłatną szkołę dla dziewcząt i odwiedzając chorych w ich mieszkaniach, dostarczano też w wielkiej ilości lekarstw za darmo z domowej apteki.

Na początku rewolucyi nie doznały Siostry żadnych przykrości. Uchwała urzędu departamentu z 15. maja 1791. zapewniała Siostrom zupełne bezpieczeństwo, owszem oświad-

czyła, że „mogą liczyć na opiekę prawa, o ile działać będą na polu miłosierdzia chrzecijańskiego“.

Prąd rewolucyjny potęgował się jednak z biegiem czasu, niosąc ze sobą coraz więcej mętów, pojawiały się prawa coraz to groźniejsze dla tych, których posądzano o niechęć dla wprowadzonego gwałtem, nowego porządku rzeczy.

Siostry w Arras zgodziły się na złożenie sukni Zgromadzenia i kornetów. Kosztowało je to wprawdzie bardzo wiele, ale uratowały przez to rzecz główną: mogły nadal w duchu Chrystusa spełniać misyę miłosierdzia.

Wyrosły jednak nowe trudności, gdy zaczęto się domagać różnych zaprzysiężeń. Najpierw zażądano przysięgi na nową konstytucyę od wszystkich duchownych, których uważano za publicznych urzędników; nie dotyczył więc ten przepis Sióstr Miłosierdzia. Stolica Apostolska potępiła tę przysięgę w marcu 1791. r. Była to jedyna przysięga, której papież wyraźnie zabronił. Z biegiem czasu domagano się przysięgi i na różne nowo uchwalone ustawy, między innemi i na t. zw. prawo o wolności i równości. Wierni w niepewności zwrócili się z zapytaniem o wyjaśnienie do poszczególnych ordynaryatów, które wydawały odmienne deklaracye, bo w różny sposób rozumiano przedłożoną ustawę. Biskup z Arras, który wyjechał do Tournai, zabronił składania przysięgi. Siostry Miłosierdzia oczywiście usłuchały głosu swego biskupa. Miały przed sobą tylko jedną drogę: ponieważ sumienie nie pozwalało im złożyć przysięgi, musiały przyjąć wszelkie konsekwencye, nawet śmierć.

W roku 1793. zjechał do Arras jako wysłannik Konwentu Józef Lebon, jeden z najgroźniejszych rewolucyonistów. W kilka dni po jego przyjeździe zjawia się w domu Sióstr Miłosierdzia dwóch komisarzy w imieniu Rady generalnej Komuny, ażeby się przekonać, czy Siostry złożyły przysięgę i zastosowały się do wszystkich innych rozporządzeń. Siostry oświadczyły smiało, że przysięgi dotychczas nie złożyły, ani jej na przyszłość stanowczo nie złożą; odrzucają też zwłokę, jaką im ofiarowano do namysłu, bo w sumieniu nie mogą się zgodzić

na zapadłe uchwały. Po otrzymaniu tej odmowy przeszukali komisarze cały dom jak najskrupulatniej. Gdy wszelkie poszukiwania okazały się bezowocne, zakończył całą sprawę dekret (z 23. listopada 1793.), na podstawie którego dotychczasową nazwę „Dom Miłosierdzia“ zamieniono na „Zakład humanitarny“. Nowo zamianowany dyrektor, obywatel Mury, zaczął Siostry denuncyować. Zaledwie upłynęło 9 dni od objęcia przez niego urzędu, a już nowy dekret oddawał cały zarząd w jego ręce, a równocześnie zasądzono 4 Siostry Miłosierdzia. Wyrok opiewał: „Ponieważ Siostry czy panie, zajęte w Domu Miłosierdzia, nie chciały złożyć przysięgi, wymaganej przez prawo, orzeka Władza okręgowa, żeby je pozbawiono dochodów, urzędu, a wreszcie zaaresztowano jako osoby podejrzane“. Odprowadzono Siostry najpierw do t. zw. Opactwa, gdzie więzienie było dość znośne, ale niebawem musiały wycierpieć wiele dokuczliwości, kiedy je przeniesiono do domu pod wezwaniem Opatrzności.

Mury oskarżył Siostry o tajne przechowywanie czasopism antynarodowych, a córka jego powtórzyła później oszczerczy donos. Czwartego kwietnia 1794. r. Siostra Fontaine, stanąwszy wraz z towarzyszkami przed sądem śledczym, odparła potwarz, oświadczając, że nie tylko żadnych dzienników ani broszur nie czytała, ale nawet nic o nich nie wie. Z podobnemi pytaniami zwrócono się także do Sióstr Gérard, Lanel i Fantou, ale otrzymano tę samą odpowiedź. Nazajutrz, 5. kwietnia, przeprowadzono oskarżone do t. zw. więzienia Obłąkanych, gdzie podobnie jak poprzednio cieszyły skazańców, dodając im odwagi do znoszenia kaźni.

Gdy Labona przeniesiono z Arras do Cambrai, przesłano mu tam na jego żądanie oskarżonych z Arras, między innymi 4 Siostry Miłosierdzia, które wobec przepełnienia więzień odprowadzono wprost do seminaryum w Cambrai, gdzie już zasiadł trybunał. Po krótkiej indagacyi, podobnej do poprzednich, wydano odrazu wyrok śmierci. Jako główną oskarżoną zasądzono Siostrę Fontaine, ponieważ jako nabożna antyrewolucyonistka starannie ukrywała pod stosem

słomy dzienniki i broszury, pisane w duchu monarchicznym, nie złożyła też nakazanej przysięgi, a nawet zelżyła komisarzy okręgowych. Jako współwinowajczynie miały uledz tej samej karze Siostry: Joanna Gérard, Marya Lanel i Teresa Magdalena Fantou. W wyroku śmierci należy podkreślić wyrazy: „Ponieważ nie złożyła nakazanej przysięgi“.

Dwudziestego szóstego czerwca poprowadzono Siostry pod gilotynę, ustawioną na placu ćwiczeń wojskowych. Na miejscu kaźni padłszy na kolana, czekały Siostry na chwilę, w której miały złożyć ze siebie ostatnią ofiarę; wstępowały potem kolejno po stopniach rusztowania, ociekłych krwią poprzednio zamordowanych. Siostrę Fontaine ścięto na końcu. Zanim położyła głowę pod miecz katowski, zwróciła się jeszcze poraz ostatni do ludu ze słowami pociechy i zachęty. Według dochowanych świadectw odezwała się do otaczających gilotynę: „Jesteśmy ostatniemi ofiarami. Wnet już ustanie prześladowanie, upadną szubienice a podniosą się z gruzów ołtarze“. Co do Cambrai spełniła się przepowiednia w zupełności. Wkrótce nastąpił upadek Robespiera a wskutek tego Lebon musiał uchodzić z departamentów, które jęczały pod jego despotyzmem. Ciała 4 Sióstr pogrzebano we wspólnym grobie na cmentarzu przy bramie Notre Dame w Cambrai.

Dla uzyskania ich beatyfikacyi rozpoczął arcybiskup z Cambrai w r. 1900. proces informacyjny, sprawa zaś beatyfikacyi już w Rzymie rozpoczęta, jak wyżej wspomniano; mamy w Bogu nadzieję, że wynik procesu będzie pomyślny tak, iż Wielebne Sługi Boże będziemy mogli w przyszłości nazywać Błogosławionemi.

Gdy przed wstąpieniem na rusztowanie chciano Siostrom dla związania rąk odebrać koronki, jeden z obecnych powkładał im je na głowy. Różańce te, wieńczące skroń dziewic, skazanych na śmierć dla swych przekonań religijnych, były symbolem korony chwały, jaka je czekała w życiu wiecznem; z nieba zdawały się już brzmieć słowa powitalne śpiewu: „*Veni sponsa Christi, accipe coronam, quam tibi Dominus praeparavit in aeternum*“.

Z podróży wizytacyjnej ks. Wizytatora w Ameryce.

(Dokończenie).

Chętnie bylibyśmy zabawili w pięknej Bahii dłużej, ale kapitan okrętu kazał nam się dnia 20. października o godz. 9. rano stawić na okręcie, zapewniając, że o tej godzinie odpłynie dalej, więc trzeba było spieszyć. Konfratrzy pożegnali nas serdecznie i zapraszali mnie szczerze, abym wstąpił do nich z powrotem, a ks. Prokurator odprowadził nas a raczej odwiózł tramwajem elektrycznym (zbudowanym przez niemieckie towarzystwo z Hamburga) aż do brzegu morza. Po drodze nadaliśmy telegram do ks. Bayera, zapowiadając, że 23. października będziemy w stolicy Brazylii, Rio de Janeiro.

Łódką podpłynęliśmy do naszego „Zygmunta", gdzieśmy się o godzinie $8^1/_2$ przedstawili kapitanowi, który, nieco zawstydzony i zły, musiał się przyznać, że niepotrzebnie za wczesny nam termin powrotu wyznaczył, bo wyładowywanie jeszcze nie było skończone. Jeszcze więc do godziny $3^3/_4$ po poł. podziwialiśmy z pokładu Bahię. Wracając łodzią do naszego okrętu, przejeżdżaliśmy koło jakiegoś okrętu brazylijskiego, który stał w porcie na kotwicy ze spuszczonemi flagami, znak, że tam na okręcie wiozą nieboszczyka. Dowiedzieliśmy się, że przed kilku dniami zamordowano w Rio de Janeiro księdza, który był senatorem parlamentu tamtejszego, a okręt ten przewozi jego zwłoki do rodzinnego jego miasta Aracaju. Śmiałość jego w wypowiadaniu zdania w parlamencie podrażniła przeciwników i podnieciła ich gorący temperament do zabójstwa. Od wtorku po południu do piątku 23. listopada trwała nasza podróż z Bahii do Rio de Janeiro. Codziennie widok zdala przepływających okrę-

tów mówił, że to już blizko centrum tamtejszego ruchu, stolica Brazylii. W południe 23. listopada wjeżdżaliśmy do portu Rio de Janeiro. Niema chyba cudowniejszego wjazdu do portu jak ten. Nad wyraz bogato wyrzeźbione wybrzeże, wysokie szczyty nadbrzeżnych gór, wielka stolica o blizko milionowej ludności na wzgórzach wspaniałych położona ze swemi licznemi wieżami i pałacami; na kończynach wybrzeża portu forteca *Sta Cruze*, z której jest dumny każdy Brazylianin, las masztów okrętowych, stojących na kotwicy w porcie, a między nimi kilka wojennych — w środku zaś głównego łuku wybrzeża portowego nad brzegiem morza wspaniały pałac panamerykański, zbudowany niedawno przez Brazylian dla posiedzeń konferencyi delegatów Ameryki Północnej i Południowej, którzy radzili nad złączeniem Ameryki jednej i drugiej w jedno wielkie państwo — to wszystko przykuwało naszą uwagę i coraz nowe wywoływało okrzyki podziwu. Między licznemi, wspaniałemi budowlami zwróciła uwagę naszą jedna olbrzymia, ozdobiona kopułą, tuż nad brzegiem morza. To *Sta Casa de Misericordia*, szpital, jak się dowiadujemy. Tam właśnie myślimy znaleźć przytułek, bo wiemy, że przy tym szpitalu pracują Misyonarze. Po załatwieniu formalności opuszczamy okręt i żegnamy się z towarzyszami podróży na zawsze, bo aczkolwiek nie tu cel podróży naszej, ale „Zygmunt“ nie powiezie nas dalej, nie wstąpi bowiem do Paranagua, Portu Parany, tylko minąwszy go jako mały port, popłynie wprost do Buenos-Aires. Trzeba nam będzie więc z Rio de Janeiro na mniejszym, tamtejszym statku resztę podróży odbyć.

Szczęśliwie dobiwszy łodzią do brzegu, dostajemy się pieszo do *Sta Casa*. Wspaniały to szpital, w którym się mieści przeszło 1300 chorych, wygodnie bardzo pomieszczonych, a urządzenia są takie, że niejeden wielki szpital europejski mógłby się powstydzić. Z czasów jeszcze panowania Portugalczyków jest dobrze udotowany, wiele realności w mieście jego jest własnością. Na wstępie spotkawszy Siostrę Miłosierdzia, przedstawiamy się jako Polacy Misyonarze, podró-

żujący do Parany. Uradowana Siostra mówi nam, że są tu i 2 Siostry Miłosierdzia z Polski, jeżeli więc pozwolimy, to zaraz im da znać, że przybyło dwóch polskich Misyonarży. Wkrótce też przybiegają owe dwie Polki, a w jednej z nich poznaję Siostrę Łucyę, którą w domu polskim Sióstr widziałem w Iuvisy we Francyi. Druga, to Siostra Eugenia Waszkowska z Chełmna. Ofiarowały się obydwie na misye zagraniczne i tu zostały przysłane. Obok szpitala wysoko stoi domek, gdzie mieszkają Misyonarze. Pospieszyliśmy do nich i radziśmy byli, że jak u siebie spoczniemy. Konfratrzy przyjęli nas bardzo mile.

Rozkoszowaliśmy się widokiem na wspaniałe wybrzeże i na piękną zatokę. Niestety dowiedzieliśmy się wieczorem z dziennika, że okręt „Itaperuna", który w każdą sobotę wyjeżdża z Rio de Janeiro do Paranagua, dokąd przybywa w poniedziałek, z powodu jakiejś *vis maior* odjedzie dopiero we środę. A myśmy liczyli na ten odjazd, bo i nasi w Paranie mieli nas w poniedziałek oczekiwać z powodu naszego telegramu z Bahii, który donosił, że będziemy w piątek w Rio. Myśmy byli zmartwieni, a gościnni Konfratrzy okazywali zadowolenie, że będziemy musieli u nich dłużej pozostać. Przez 5 dni musieliśmy zwiedzać Rio de Janeiro — a zwiedzić je przecie warto, bo bardzo to ładne i interesujące miasto. Na drugi zaraz dzień poszliśmy do domu centralnego Misyonarzy, gdzie rezyduje Wizytator tamtejszej prowincyi. Dom o wiele wygodniej urządzony, więc nie opieraliśmy się bardzo naleganiom, aby w tym domu zamieszkać. Księdza Wizytatora niestety nie zastaliśmy, był na wizytacyi. Wizytacya zabiera mu dużo czasu, bo prowincya rozległa na całą Brazylię, a domy w liczbie 15 rozsiane w rozmaitych najodleglejszych punktach kraju. Księży prowincya liczy około 100, pomiędzy tymi 2 biskupów (w Wiktoryi i Rio Grande do Sul). Dzieła tej prowincyi pięknie się rozwijają, a między nimi 6 wielkich i małych Seminaryów dyecezyalnych. Konfratrzy z tej prowincyi są przeważnie narodowości francuskiej. Dodam nawiasem, że oprócz tej prowincyi są jeszcze 3 inne

prowincye naszego Zgromadzenia w Ameryce Południowej. Korzystając z czasu, zwiedziliśmy miasto i ważniejsze dzieła, które prowadzą dzieci św. Wincentego. Miasto przybiera teraz całkiem nową szatę. Całe ulice zburzono dla regulacyi miasta i powstają nowe wspaniałe gmachy. Nowa, wielka (bulwar) Avenida nie ma może sobie równej nigdzie; wspaniale też urządzone jest Corso nadbrzeżne. Ponieważ i komisye sanitarne przez swoją wielką czujność i usilną pracę wytępiły niebezpieczeństwo febry żółtej, należy już może obecnie Rio do najpiękniejszych i najprzyjemniejszych miast. Tramwaj elektryczny, dość rozgałęziony, ułatwia komunikacye po tak bardzo między wzgórzami rozsianych częściach stolicy. Z pośród dzieł Sióstr zasługują na wyszczególnienie t. zw. Kolegium t. j. pensyonat dla panien, w którym wychowują się panienki najpierwszych rodzin. Właśnie odbywało się tam zakończenie roku i rozdanie nagród, na którem prezydował JE. ks. kardynał, arcybiskup Rio de Janeiro, Joachim Arcoverde Cavalcanti. Piękny, gotycki kościół przy tem Kolegium został zbudowany wedle planów zacnego ks. Clavelin, sędziwego superyora domu centralnego, który z nadzwyczajną gościnnością nas podejmował i sam przewodniczył w zwiedzaniu miasta. Wspaniałe jest także położenie t. zw. Motoso, wielkiego zakładu dla osieroconych chłopców; pierwotnie przyjmowano doń tylko dzieci z rodzin francuskich, teraz zaś znajdują się tam z małymi wyjątkami same brazylijskie chłopczyki. Tu w tym zakładzie dnia 26. listopada wyczytaliśmy w gazecie smutną wiadomość o śmierci ks. arcybiskupa Fl. Stablewskiego. W domu centralnym Sióstr podziwialiśmy bogato zaopatrzone magazyny dla biednych, wspaniale urządzoną salę, gdzie się gromadzą ubodzy, ładne sale zebrań Pań Miłosierdzia, wogóle zorganizowane tu pięknie i dobrze zaopatrzone dzieła opieki nad ubogimi. Z pewnem uczuciem upokorzenia słuchaliśmy o wielkiej ofiarności na rzecz ubogich ze strony zamożnych mieszkańców stolicy. Niepodobna mi opisywać tutaj poszczególnie wszystkich dzieł Sióstr w tem mieście, tak są liczne i kwitnące. Konfratrzy

zaś obydwóch domów zajęci są również obsługą tych dzieł. Po południu 26. listopada zrobiliśmy wycieczkę do Petropolis. Statkiem przepływa się w godzinie zatokę, a potem znów po godzinie jazdy koleją, z czego przeszło pół godziny koleją zębatą, przybywa się do Petropolis, położonego 800 m. nad poziomem morza wśród wysokich szczytów gór nadmorskich. Petropolis, to willegiatura wszystkich możnych i bogaczów stolicy, w której upały zbyt wszystkim dokuczają. Początek tej osadzie w górach dali Niemcy, a rozwinęła się i podniosła, kiedy cesarz Pedro zbudował sobie w niej swoją letnią rezydencyę. W Rio de Janeiro pałac dawny cesarski, to coś w guście Skarbkowskiego gmachu we Lwowie, tylko mniejszy, rezydencya w Petropolis, choć nie wielka, ale gustowna, wśród wspaniałego parku. Dzisiaj została ta rezydencya prywatną własnością córki wygnanego cesarza. Przebywać jej tu jednak nie wolno, tylko poza granicami kraju. Dlatego wszystko wydzierżawiła zakonnicom *de Sion*, utrzymującym pensyonat. Wszyscy dyplomaci, przedstawiciele państw, a między nimi i nuncyusz apostolski, mieszkają tutaj, a na sesye dyplomatyczne dojeżdżają do Rio. Nasi mają tutaj w jednym domu Seminaryum Internum, Małe Seminaryum i Kollegium, Siostry zaś ładny pensyonat, szkołę i sierociniec. W Kollegium odbywał się właśnie egzamin na zakończenie roku szkolnego. W komisyi egzaminacyjnej zasiada zawsze delegat rządowy, gdyż Kollegium to ma prawo publiczności. Małoseminarzyści odbywają swoje studya razem z kollegiastami. Zwiedziliśmy to wszystko 27. listopada przed południem, a po obiedzie byliśmy na zakończeniu roku szkolnego w szkole eksternów u Sióstr, gdzie dzieci na scenie (sala teatralna stale urządzona) bardzo ładnie się produkowały, poczem wróciliśmy do Rio, aby na drugi dzień wyruszyć w dalszą podróż morską.

Bóg upatrzył nam anioła stróża na tę dalszą drogę w osobie konfratra ks. Rocha (Brazylianin), który jechał z nami do Kurytyby, aby w tamtejszem Seminaryum przewodniczyć rekolekcyom księży dyecezyalnych. Nasz okręt

„Itaperuna“ miał odjechać 28. listopada o godzinie 4. po południu. Żegnani więc serdecznie przez konfratrów, wybraliśmy się już o 3. na okręt. Ale ładowanie okrętu było jeszcze nieskończone i zaledwie o godzinie 7. puściliśmy się w drogę. Podróż ta, jak słyszeliśmy z opowiadania, najuciążliwsza, bo okręt niewielki, mniej wygodnie urządzony, płynie bliżej brzegów, więc kołysze się niesłychanie. Z 45 podróżnych I. klasy tylko 10 uniknęło choroby, a między nimi my trzej. Ale też noc całą jedną i drugą przepędziliśmy na pokładzie, śpiąc na ławce. W kajutach sam widok chorujących usposabiał do choroby. Dnia 30. listopada przed południem przybyliśmy do Paranagua. Okręt stanął w oddaleniu kilku kilometrów od brzegu. Zanim załatwiono formalności wstępne, trzeba było zostać na okręcie, który już opadły roje łódek z przewoźnikami. Jeden z nich, zobaczywszy nas na okręcie, począł ku nam wywijać listem i wołać, że on od Padre Siriaco. Kiedy już wolno mu było do okrętu przystąpić, dowiedziałem się z listu, że ks. Bayer czekał na nasze przybycie w poniedziałek na próżno. Znudziwszy się wyczekiwaniem i nie mając żadnych wiadomości, odjechał do Thomaz-Coelho, a O. Cyryaka, przełożonego OO. Franciszkanów niemieckich, opiekujących się parafią w Paranagua, uprosił, aby na okręt, który nadejdzie z Rio, wysłał przewoźnika po nas z jego listem, a jego samego o naszym przyjeździe telegraficznie powiadomił. Przewoźnik więc ów z listem wyglądał nas tak pilnie z okrętu.

Paranagua to miasteczko portowe, liczące około 10.000 mieszkańców prawie wyłącznie Brazylianów. Dwie tylko są tutaj rodziny Polaków. Miasto położone w kotlinie, oddzielonej od północy i zachodu pasmem gór od wyżyny parańskiej, to też upał tu nieznośny. Klimat też na tym kawałku zupełnie prawie inny, niż w reszcie Parany. Uprawa ryżu, kawy i trzciny cukrowej udaje się tutaj bardzo dobrze. O godzinie 1. pojechaliśmy pociągiem do Kurytyby. Kolej pnie się ciągle w górę, ażeby się dostać na wyżynę Parany, 1.000 m. wysoko. Prześliczna to jazda nad urwiskami skał,

brzegiem wysokich gór, wśród dziewiczych lasów, gdzie liczne wodospady zachwycają, prześliczne widoki czarują, a podziw nowoprzybyłego Europejczyka przedewszystkiem budzą całe laski azalii i innej tak bogatej pod względem barw, roślinności podzwrotnikowej. O godzinie 6. stanęliśmy w Kurytybie, gdzie na dworcu przywitał nas redaktor „Gazety Polskiej", p. Bielecki, i Konfrater z tamtejszego domu, który przybył po ks. Rocha. Razem tramwajem mulim pojechaliśmy do naszych Konfratrów, którzy kierują wielkiem i małem Seminaryum. Seminaryum to, zbudowane znów wedle planów ks. Clavelin, na wielką zakrojone skalę, ale jeszcze nie całe wykończone, położone jest kawał za miastem. Opis jego podały nam już *Roczniki* (Nr. 1. z b. r.). Ucieszyła nas przedewszystkiem wiadomość, że między 10 klerykami tego Seminaryum jest 3 Polaków, że jeden Polak, ks. Rokosz, został świeżo wyświęcony, a nadzwyczaj nas zadziwiło, gdy wszystka służba w Seminaryum mówiła do nas po polsku. Konfratrzy, prowadzący Seminaryum, są przeważnie narodowości francuskiej. Przyjęli nas bardzo mile i przykro im było, gdy w czasie naszej kolacyi, wskutek telegramu, otrzymanego z Paranagua, ks. Bayer zaraz nas do Thomaz-Coelho chciał zabrać. Uznać jednak musieli racyę, a mianowicie, że tam w szkole jednej miał być na drugi dzień popis, na który nasz przyjazd już był zapowiedziany; pojechaliśmy więc jeszcze tego samego wieczora wozem do Thomaz-Coelho. Jazda, choć wśród niezmiernego kurzu, ale przy blasku księżyca, była przyjemna i za 1 $^1/_2$ godziny byliśmy w Thomaz-Coelho u swoich, polskich Konfratrów. Thomaz-Coelho, to jedna z najstarszych i większych kolonii, będąca w tem szczęśliwem położeniu, że niedaleko ma do stolicy Parany, Kurytyby (około 15 km.). Znajduje się prawie w centrum ruchu, co wpływa bardzo dodatnio na dobrobyt kolonistów. Kolej, prowadząca z Kurytyby na południe do Rio Negro (długość linii 160 km.), przecina skraje tej kolonii i ma stacyę Bariguj niemal w samej kolonii, bo od centrum, t. j. od kościoła, odległą tylko 3 km. To też uprawa roli tu postępowa, pług jest w uży-

ciu, jak okiem sięgnąć, ładnie uprawne pola, łany zboża, kukurydzy, fiżonu, kartofli, manioku cieszą oko. Budynków dużo murowanych i dachówką krytych, inne, choć drewniane, ale bardzo porządne. Dobytek Polaków piękny, ładne konie i stada bydła na pastwiskach. Żydów w całej kolonii trzech, utrzymują „wendy“, głębiej zaś w kraju niema ich całkiem. Plebania, obecne mieszkanie Misyonarzy, ładnie murowana, dość obszerna, kościół pod wezwaniem św. Michała niezbyt mały, murowany, o dwóch wieżach; cmentarz ładnie ogrodzony, dzwonnica nowa, osobno wystawiona — wszystko schludne i staranne. O pół godziny jazdy jest drugi kościół pod wezwaniem Matki Boskiej, także murowany i schludny, mniejszy od tamtego. Kiedy myśleli koloniści o budowie kościoła i debatowali nad wyborem miejsca, musieli zaznaczyć swój charakter polski i wystąpić z *liberum veto*. Jedna część kolonistów za jednem była miejscem, inna część znowu gdzieindziej chciała mieć kościół. Do zgody nie przyszło, więc każda część kolonii wystawiła sobie kościół osobny i na 2 niejako podzielili się parafie. Przy Pannie Maryi jest i plebania murowana, gdzie ks. Bayer umieścił szkołę. Do tego kościoła dojeżdżają nasi co niedzielę i święta z nabożeństwami. O tem wszystkiem słyszałem w rozmowach naszych wstępnych, a potem miałem to zwiedzić. Od szkoły tymczasem zacząłem odwiedziny.

Sprawa szkół dla Polaków na obczyźnie, to kwestya żywotna. Gdzie obok kościoła polskiego są polskie szkoły, zapewniony jest byt narodowy. Tutaj kwestya szkół jest bardzo trudna. Są one stosunkowo kosztowniejsze niż gdzieindziej. Ponieważ wszystkie kolonie są rozległe, gospodarstwa jedno od drugiego oddalone, więc trzeba tworzyć stosunkowo nieproporcyonalnie wiele szkół i to mniejszych, aby zadość uczynić potrzebom wszystkich kolonistów. W szkole takiej można zgromadzić dzieci przeciętnie w dobrym razie około 50, a rzadkie są szkoły o większej frekwencyi. Ciężar więc utrzymania nauczyciela daje się więcej odczuwać. Rząd założył szkół swoich po koloniach niewiele, choć nie są one

bardzo Polakom pożądane, jako nie polskie i bezwyznaniowe. W Thomaz-Coelho jest jedna taka szkoła. Nie przeszkadza jednak rząd w otwieraniu szkół prywatnych. Zakładają je sobie więc sami Polacy.

Ponieważ mało rodzin zjednoczyć się może w celu utrzymania szkoły, więc nie stać ich też na utrzymanie nauczyciela „fachowego“. Często też uczy jakiś kolonista, który tylko nieco lepiej czytać i pisać umie. Wszędzie prawie pensyę nauczyciela stanowi opłata od dziecka, uczęszczającego do szkoły, za które rodzice po 1 milreisie (1·40 K.) miesięcznie płacą. Najczęściej zobowiązania wobec nauczyciela bierze na siebie ksiądz, który szkołę zakłada i dlatego zwykle nauczycielowi dopłacać musi. Obecnie już uchwalił Sejm w Kurytybie prawo, że we wszystkich szkołach musi być język krajowy, t. j. portugalski, wykładany jako przedmiot obowiązkowy. Prawo to jest dla Polaków bardzo ciężkie. Kandydat na nauczyciela, który umie dobrze po portugalsku, woli szukać chleba w innym zawodzie, lepiej się opłacającym. Polacy więc, chcąc mieć owego nauczyciela, będą musieli daleko więcej ofiar ponosić.

W Thomaz-Coelho jest, jak wspomniałem, jedna szkoła rządowa, a prywatnych założyli nasi 3. W jednej z nich było właśnie dnia 1. grudnia zakończenie roku szkolnego, na które wybraliśmy się już o godz. 9. rano. Po godzinnej jeździe wśród strasznego upału znaleźliśmy się na „Rosach“. Przed schludnym, drewnianym budynkiem o dwóch izbach, z przybudowaną kuchnią, oczekują nas nasi Polacy i gromadki dzieci, a na czele p. Witołd Żuławski, nauczyciel szkoły. Wchodzimy do klasy, dość obszernej izby, zaopatrzonej w najpotrzebniejsze sprzęty szkolne i egzamin się zaczyna. Pierwszy to egzamin w tej zaledwie od roku otwartej szkole. To też rodzice, ciekawi oglądać pierwsze owoce nauki, przez okna i drzwi powsuwawszy głowy, bo w klasie mało ich tylko się pomieściło, słuchali z natężoną uwagą. I widać było ich radość wielką, gdy słyszeli, jak dzieci ich ładnie czytały, deklamowały, rachowały i odpowiadały katechizm.

Rzeczywiście owoce jednorocznego istnienia szkoły były zadziwiające. Z prawdziwem więc rozrzewnieniem gratulowałem ks. Bayerowi takiej pociechy z zabiegów jego około otwarcia tej szkoły, a zacnemu p. Żuławskiemu satysfakcyi z takich owoców jego pracy. Trudno było rozróżnić, czy większa była radość dzieci, obdarzonych książeczkami i cukierkami, czy rodziców, którzy na to wszystko patrzeli. Miła była pogadanka z poczciwymi naszymi kolonistami. Większa część zpomiędzy nich pochodzi od Gorlic; ciekawie się też dopytywali o swoje strony rodzinne. Pani Żuławska, z domu p. Łobos, bratanka ś. p. ks. biskupa Łobosa, córka p. Łobosa z Prudentopolis, przygotowała tymczasem obiad, na który gościnnie zapraszał p. nauczyciel. Miła dla mnie bardzo była ta uczta w polskiej, choć tak skromnej szkole, a pierwsza w tej nowej, dalekiej, ojczyźnie naszych współbraci. Podziwiając po drodze żniwiarzy, wracamy do domu, dokąd nadjeżdża też z Prudentopolis ks. Mięsopust, aby już umówić ze mną termin mego przyjazdu do jego parafii i sprawę poświęcenia tamtejszego nowego kościoła. Dzień następny, to niedziela I. Adwentu. Od rana widać ludek z lasów i gór, ścieżkami spieszący do kościoła, później nadjeżdżają i fury, a wielu bardzo przybywa konno. Tak, jak przywykli dawniej w kraju, śpiewają różaniec i godzinki z całego serca. Wychodzę ze sumą — wrażenie zupełnie, jak u nas we wiejskim, ładnie urządzonym kościele: ludu pełno, a nabożeństwo od serca. Dziwna tylko jakaś dysharmonia mnie uderza, gdy na chórze śpiewają (gra brat Aleksander): „Spuście nam na ziemskie niwy“, a tu upał w kościele do omdlenia. Tej pieśni przywykliśmy słuchać tylko w zimnej temperaturze. Po sumie lud wszystek przychodzi przed plebanię na moje powitanie, a rzewnie mi się szczególniej zrobiło, gdy z niekłamaną wdzięcznością i serdecznością dziękowali za ks. ks. Misyonarzy. W dzień Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia odwiedziłem drugi kościół, a więc i drugą część parafii. Na sumie znowu tu pełno ludu, po kazaniu ogłosiłem, że im wkładać będę cudowne medaliki, które dla nich przywiozłem na pa-

miątkę; garną się po nie z wielkim zapałem. Szkoła, także przez ks. Bayera założona, a mieszcząca się, jak wspomniałem, w budynku, przeznaczonym na plebanię, prosperuje nie źle, choć do stowarzyszenia i czytelni wpychają się agitatorowie przewrotni. Lud tu miły, serdeczny, w wielkiej części pochodzi z Prus Zachodnich. Pod koniec jeszcze mojej bytności w Paranie zwiedziłem kolonię Krystynę, przydzieloną także do Thomaz-Coelho, gdzie przed niewielkim drewnianym kościółkiem oczekiwali nas poczciwi koloniści i z rozrzewnieniem potem słuchali moich słów zachęty, aby trwali wiernie przy wierze i narodowości. Poczciwy Sarnecki podejmował nas kolacyą, przy której traktował piwem własnego wyrobu. Z dumą pokazywali mi także swoją świeżo zbudowaną szkołę, przy której jest i czytelnia.

Drugie sąsiednie ognisko naszej pracy to Abranches. Jak wspomniałem, objęli je konfratrzy prowizorycznie aż do mego przyjazdu. Tutaj także od 3 lat osiedliły się polskie Siostry Miłosierdzia i kierują szkołą. Wyjechałem tamże już 6. grudnia na egzamin i zakończenie roku szkolnego. Opis tego egzaminu podały już *Roczniki* (Nr. 1. z b. r). Mnie zachwyciły szczególniej odpowiedzi z historyi polskiej i dzielne miny młodych Krakusów i Krakowianek, gdy po egzaminie ubrały się do żywego obrazu. Budynek szkolny nowy, murowany, a bardzo gustowny, położony tuż obok kościoła.

Dnia 9. grudnia była znowu w Abranches uroczystość poświęcenia nowej wieży, o której też już *Roczniki* doniosły. Kolonia Abranches to podobno najstarsza polska kolonia i najwygodniej, bo najbliżej (5 km.) stolicy położona. Koloniści w wielkiej części pochodzą z Prus Zachodnich. Kościół mają, jak widzieliśmy w Rocznikach, ładny, a nowa wieża dodaje mu wiele uroku. Plebania obszerna dosyć, murowana, zaopatrzona w piece, co tu w Paranie rzadkim jest fenomenem, bo też zima (w maju i czerwcu), to jak nasz październik.

Dalszą (chronologicznie drugą) kolonią, w naszej zostającą opiece, to Lucena na południowej granicy Parany. Do

15

tej kolonii ruszyłem 10. grudnia. Aczkolwiek ta kolonia odległa jest od Kurytyby 201 km., a więc na nasze europejskie stosunki niezbyt daleka, to jednak wobec tamtejszych stosunków komunikacyjnych jest to przestrzeń olbrzymia. Kolej, idąca do Rio Negro (jedna z trzech odnóg kolei parańskiej), funkcyonuje tylko dwa razy na tydzień i to wyłącznie w dzień, a na przebycie przestrzeni do Rio Negro (160 km.) potrzebuje 8 godzin czasu. Wyjechawszy więc o 8. rano z Kurytyby, przybywa się o 4. do Rio Negro, skąd pozostaje jeszcze 40 km. drogi wozem wśród gór i lasów. W ten sam dzień niepodobna się puszczać w dalszą podróż. Przybyliśmy więc dnia 10. grudnia o 4. po południu do Rio Negro, zupełnie wyczerpani podróżą wśród zabijającego upału. Na dworcu czekał nas ks. Sołtysik, a przed dworcem kolonista z Luceny, Dąbrowski, z wozem, zaprzężonym w czwórkę, a podobnym do naszych góralskich. Zajechaliśmy do ks. proboszcza parafii Rio Negro, Niemca. Miasteczko Rio Negro zamieszkałe jest przeważnie przez Niemców, Polaków kilku, a reszta Brazylian. Zwiedziliśmy dosyć skromny kościółek i szkołę, w której widnieje portret Wilhelma II. i jego żony. Szkoła stoi dobrze, bo otrzymuje roczną subwencyę paru tysięcy marek z Niemiec. Znużony, bardzo rad byłem, że mogłem się wcześnie położyć, ale niestety noc całą przepędziłem na walce z moskitami. Rano rychło wyjechaliśmy do Luceny. Już odmienny tutaj krajobraz. Rzadki widok wielkich łanów, nie znać śladów pługa, lasów przestrzenie nieprzejrzane. Uprawa pierwotna: spala się lasy, a w ziemię popiołem użyźnioną sadzi się lub sieje bez orania ziarno. Po zbiorze zapuszcza się napowrót las, który za parę lat znów się spala. Jechaliśmy przez takie przestrzenie palących się lasów. W południe pokrzepiliśmy się nieco w zajeździe, nad tym traktem stojącym, jakiegoś Niemca z pod Wiednia. Zbliżamy się do Luceny, otaczają nas koloniści na koniach, co wyjechali nam naprzeciw i wśród obłoków kurzu wprowadzają nas przed kościół pod wezwaniem św. Stanisława, przyozdobiony odświętnie. Obok ładna w stylu szwajcarskim plebania, zbudo-

wana w części z drzewa cedrowego. Liczne rakiety, strzelające w górę, miały świadczyć, że radzi tu są Polacy gościom z Europy. W niedzielę zobaczyłem tłumny lud w kościele, a kiedym po sumie przemawiał do nich, aż serce rosło na widok ich wsłuchania się i rozrzewnienia. Powiedziałem im, że cieszy mnie widok ich powodzenia, ich trzymanie się wiary i polskości, zachęcałem do wytrwałości nadal, zwłaszcza też, żeby na szkoły nie żałowali i sami się kształcili, ale po Bożemu. Po wyjściu z kościoła otoczyli mnie wkoło i każdy miał coś do powiedzenia i do zapytania się. Staruszek Kościański, pochodzący od Inowrocławia, pobiegł do swego ogrodu, aby mi przynieść z wielkim trudem wychodowanych jabłek, które się tu nie udają, bo dojrzewają za wcześnie i nie rozwijają się dostatecznie. Lud miły i do księży bardzo przywiązany. Zrobiłem też wycieczkę na Irasemę o 24 km. odległą od centrum kolonii, ale do Luceny należącą. Jest to kraniec kolonii, przytykającej już do lasów, zamieszkałych przez dzikich Botokudów, których gaj święty, górę zwaną Tajol, widać stamtąd dokładnie. W tej części kolonii jest dużo Rusinów, to też kaplica drewniana na pięknej górze, wybudowana niegdyś wspólnie przez wszystkich kolonistów, przybrała teraz swem wewnętrznem urządzeniem charakter cerkwi. Osiadł tu jeden z OO. Bazylianów, którego stosunek do proboszcza w Lucenie określił ks. biskup jako koadjutora. Dodam zaraz, że przygnębiające wrażenie zrobiło to na mnie, iż aż tu za morza rzucono już waśń między dwa bratnie narody, które do niedawna jeszcze żyły i tutaj w zupełnej zgodzie. Po drodze do tej części kolonii wstąpiłem do kolonisty Pieczarki, pochodzącego ze Sołońca, parafii Kaczyckiej, i oczywista ucieszyłem ich bardzo, opowiadając im o Kaczyce i o Sołońcu. Jest on „wendzistą“ t. j. kupcem i wszelkiego możliwego towaru ma dużo. Dostatek widać u niego i dobrobyt, bardzo są zadowoleni i szczęśliwi. Z powrotem wracając inną linią (św. Piotra), wstąpiliśmy znów do podobnego wendzisty Sieradzkiego, gdzie również cieszył nas widok dostatku, a nadewszystko wielka uczciwość gospoda-

rzy i ich przywiązanie do swoich księży. Podróż tę odbyliśmy wozem, a potem żałowałem, że nie konno, bo jazda wozem wśród tych wybojów i urwisk, to prawdziwa męczarnia. Szkoły polskie w Lucenie są dwie, jedna tuż przy kościele, zorganizowana przez ks. Sołtysika, gdzie uczy bardzo zacna i pobożna nauczycielka, druga zaś w dosyć znacznej odległości, zbudowana i utrzymywana staraniem zamożnego kolonisty Stroki, pochodzącego także ze Sołońca. Dzieci robiły dobre wrażenie i niezły okazywały postęp w nauce. Wielka odległość gospodarstw od siebie, szczególniej tutaj utrudnia uczęszczanie dzieciom do szkoły. Na Irasemie jest szkoła ruska, do której uczęszcza kilkoro dzieci polskich, czytają jednak nieźle po polsku, jak miałem sposobność się przekonać. W niedzielę 16. grudnia wyjechałem z Luceny w drogę do czwartej naszej placówki, t. j. do Prudentopolis, żegnając z pewnem rozrzewnieniem ten posterunek misyonarski, wysunięty na najdalsze krańce cywilizowanej Parany, pod samym bokiem strasznych Botokudów, których dzikości liczne ślady oglądałem. Rzuciwszy po raz ostatni okiem w stronę góry Tajol, która jakby jeden z Botokudów zdaje się kryć poza pasmami gór, wyglądając ciekawie i nienawistnie ku temu wzgórzu w środku Luceny, gdzie kościół św. Stanisława swoją wieżyczką wskazuje w niebo, zwróciłem się z gorącem ku św. Patronowi Polski westchnieniem o wstawiennictwo do Boga, aby Misyonarze polscy mogli tam przez te lasy utorować drogę znajomości Boga prawdziwego i zdrowej cywilizacyi i aby na szczycie Tajolu mogli postawić kościół temu Patronowi Polski, który między niemniej zaciętych i upartych jak Botokudzi bałwochwalców poniósł znajomość prawdziwego Boga i w świętym gaju Prusaków śmierć poniósł męczeńską.

Podróż wozem do Rio Negro była obecnie przyjemniejsza i więcej miała uroku. Po drodze jeszcze w mieście Lucenie, odległem od kolonii Luceny kilka kilometrów, zwiedziłem kościółek, najlichszy może, jaki widziałem, a który należy także do parafii naszych konfratrów. To kościółek Brazylianów,

mieszkańców Luceny. Mieli oni pretensye, aby przy tym kościółku mieszkał jeden z naszych księży, korciło ich bowiem, że Lucena miasto nie ma księdza na miejscu, a ma go polska kolonia Lucena. Oparli się temu nasi i za nieodpowiednie to żądanie uznał ks. Biskup, więc teraz dojeżdżają tam z nabożeństwem. Po zwiedzeniu tego lichego kościółka pożegnaliśmy ks. Sołtysika, który wrócił do domu, a ja z ks. Kołodziejem puściliśmy się w dalszą drogę. Uroczo było, gdy już około 7. godziny zapadł mrok, przystanęliśmy wśród głębokich lasów, aby się posilić. Fantazya roiła naprzód dzikiego zwierza, a przynajmniej niebezpieczeństwo przed jakim zbłąkanym tu Botokudem, a tymczasem nic z tego wszystkiego. Dziki zwierz przekonał się, że nie warto kolonistom polskim pod strzelbę podchodzić i, o ile nie wyginął, usunął się w dalsze i głębsze lasy, a Botokuda już nie ma ochoty do przekroczenia granic swoich rejonów. Za monotonna była ta cisza, więc popiwszy szklaneczką czerwonego wina z winogron luceńskich, puściliśmy się w dalszą drogę. Podziwialiśmy jakąś szczególną właściwość tamtejszych wozów i spryt w powożeniu poczciwego Dąbrowskiego, który wioząc nas w ciemności nocy, opowiadał dużo z dziejów Luceny. Po skałach i urwiskach, na których tutejsze wozy kilka razy by się przewróciły, tamten zawsze, jak pod naciskiem bałwanów pochylony okręt, do równowagi swojej wraca. Już nas wysypywał gdzieś w przepaść i, znowu podtrząsnąwszy na swoje miejsce przerzucił. Przypomniała mi się w czasie tej jazdy wieża pięcionarożna w Norymbergii, w której między narzędziami turtur widziałem kołyskę, najeżoną wewnątrz gwoździami i kolcami, do której kładli skazańca i kołysali go z rozmachem. W naszej kołysce kolce zastępowały walizki, między któremi na pół leżeliśmy. Już dochodziła północ, gdyśmy przybyli do Rio Negro i zajechali do dosyć jeszcze przyzwoitego hotelu. Rano o 6. godzinie siedliśmy na pociąg do Ponta Grossy; w południe w Serinha, przesiadając się do pociągu, który nadjechał z Kurytyby, spotkaliśmy p. Bieleckiego, redaktora „Gazety Polskiej w Brazylii“, który jechał

także na poświęcenie kościoła do Prudentopolis i podróżowaliśmy już nadal razem. O godzinie 5. przybyliśmy do Ponta Grossy; skończyła się jazda koleją, zostawały nam jeszcze 2 dni jazdy wozem. Zajechaliśmy więc na spoczynek do hotelu, którego przyzwoity fiakier czekał na dworcu na gości. Hotel wcale modny. Po kolacyi, którą zaraz podano, poszliśmy zobaczyć jeszcze miasto. Ponta Grossa, to po Kurytybie największe miasto Parany, a nawet pierwszeństwo chce teraźniejszej stolicy odebrać. Zmarły właśnie prezydent Parany nosił się z myślą podobno, aby tutaj przenieść stolicę, jako do centrum Parany i węzła traktów do Stanów sąsiednich. Ma dosyć wielkich, ładnych budowli, duży nowozbudowany kościół katolicki brazylijski i gustowny bardzo, także zupełnie nowy kościół polski, w którym na drugi dzień rychło rano odprawiłem Mszę św. Duszpasterstwo sprawują tutaj księża *Verbi Divini*, między którymi umiejący dość słabo po polsku ks. Tyłłeczek opiekuje się dość licznymi tam Polakami.

Rano zajechała po nas kryta kareta, zaprzężona w 6 koni, obwieszonych dzwonkami; przysłał ją po nas ks. Mięsopust z Prudentopolis, nie chcąc, abyśmy byli zmuszeni jechać zwykłym dyliżansem. Jazda w tej karecie dała mi wyobrażenie o piecu babilońskim. Można sobie wyobrazić, jaka w niej była temperatura wśród tej jazdy przez puste stepy wśród tropikalnego słońca; kiedyśmy spuścili okna, aby przewiew nas nieco ochłodził, tumany kurzu, cisnąc się do wnętrza, dusiły nas. W południe mały przystanek w zajeździe w Conchas, gdzie pokrzepiliśmy się fiżonem, ryżem i kartoflami, a konie liściem palmowym; w rzece Tibagi, w której do niedawna wyławiano dyamenty, ochłodziliśmy nieco nogi i znowu wsiedliśmy do naszej karocy na dalsze poty. Wieczorem wśród wielkiej burzy zajechaliśmy do miasta Kupim, gdzie w zajeździe pokrzepiliśmy się przyzwoitą kolacyą, a na drugi dzień rano w odświeżonej przez burzę atmosferze puściliśmy się ochotniej w dalszą drogę, wśród której znów w południe natrafiliśmy na zajazd, a przed Pru-

dentopolis w odległości 6 km. na oczekujących nas jeźdźców wraz z ks. Mięsopustem i szczęśliwie pod wieczór we środę 19. grudnia wjechaliśmy do Prudentopolis. Mile powitały nas przed plebanią dziewczątka w bieli, ofiarując kwiaty, i gromadka kolonistów, która rakietami dała znać rozległej osadzie, że goście już przyjechali. Prezentują nam zaraz poczciwi rodacy nowy swój kościół, który z wielkim trudem w mgnieniu oka prawie zbudowali, a który miałem w Boże Narodzenie poświęcić. Serdecznie i z niekłamanem rozrzewnieniem winszowałem im tak pięknego kościoła, którego nie opisuję, bo już opis jego podały *Roczniki* (Nr. 1. z b. r.); dodam tylko, że na fotografii, którą oglądaliśmy w *Rocznikach*, robi on wrażenie mniejszego, niż jest w rzeczywistości. Opowiadano mi zaraz, jak przyszło do budowy tego kościoła. Tam w dole, w rynku Prudentopolis stoi kościółek, który przypomina stajenkę betleemską — to kościółek parafialny, w którym gromadzili się wspólnie Brazylianie (około 200 familii), Niemcy (około 20 familii) i Polacy (przeszło 400 familii). Brazylianie do kościoła bardzo mało uczęszczają, zostali więc prawie tylko Polacy i Niemcy. Polaków traktowano tu jak mniej wartościowy naród, nie było dla nich miejsca w ławce ani na chórze, ciężar jednak utrzymania kościoła i księdza spadał prawie wyłącznie na nich. Wobec tego postanowili Polacy wybudować kościół swój własny. Wiele bardzo stawiano im przeszkód ze wszech stron, zaczęto budować naokoło starego kościółka nowy murowany i do tej budowy chciano zmusić Polaków — ale mimo tysięcznych przeszkód postawili rodacy kościół własny, a budowa tamtego murowanego zaczęta stanęła; dlatego też teraz z taką dumą i rozradowaniem kościół swój pokazywali. Z przed kościoła rzuciłem okiem tam na dół, na centrum Prudentopolis, położonego w kotlinie i na sąsiednich wzgórzach. Kolonia cała rozciąga się liniami w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Jest to jedna z najmłodszych osad, bo istnieje dopiero lat 12. Rusini stanowią między kolonistami przewagę. OO. Bazylianie zaczęli tu swą działalność

jeszcze przed przybyciem polskich księży i wystawili dużą cerkiew; do katolików zaś obrządku łacińskiego dojeżdżał od czasu do czasu ksiądz brazylijski z Guarapuawy. Dosyć więc dużo Polaków zostało w tym czasie zaliczonych do Rusinów. Polski ksiądz bawił tu krótko (ks. Rymar), poczem znów brakło własnego duszpasterza, aż dopiero na Wielkanoc 1906 r. przybyli tu nasi konfratrzy. Polacy tutejsi, to przeważnie przybysze z Galicyi od Jarosławia, Zbaraża i nieco z zachodnich stron. Kiedy zostało Prudentopolis świeżo podniesione do rzędu municipium (miasto z okręgiem), prefektem jego został p. Durski da Silva, mówiący po polsku dosyć dobrze, uważający się jednak za Brazylianina, bo urodził się w Paranie; ojciec jego wyemigrował z Poznańskiego do Brazylii po roku 1863, matka zaś pochodziła od Kalisza. Aptekarz miejscowy, p. Łobos, to brat ś. p. ks. biskupa Łobosa [1]). — Kolonia ta ma przed sobą wielką przyszłość; tutaj, zdaje się, skieruje rząd dalszą immigracyę i tu może też powstać ważny węzeł ruchu przemysłowego.

Na drugi dzień zrobiliśmy w licznem towarzystwie zacnych rodaków wycieczkę do wodospadu na rzece St. Joan, którą odbyliśmy na koniach. Wodospad ten, w odległości mniej więcej 4 mil od kolonii, znajduje się wśród głębokich lasów i imponuje swoją wysokością (około 80 m.), oraz wspaniałą grozą skalistych ścian. Mniej wspaniałym jest pod względem obfitości wody. Przewyższa go pod tym względem wodospad Rio dos Patos, który zwiedziliśmy później; chociaż ma tylko czterdzieści kilka metrów wysokości, imponuje wielką masą wody, a niemniej wspaniałem swojem otoczeniem.

Dziwne wrażenie zrobił na nas wieczór wigilijny w Prudentopolis. Obyczajem polskim zasiedliśmy do wigilii, ale jakoś to inaczej wszystko wyglądało w tej gorącej strefie. Po wigilii, wyszedłszy na ganek, to śpiewaliśmy dalej kolędy, to

---

[1]) Niedawno wyczytałem w „Gazecie Polskiej“ z Brazylii wiadomość z Prudentopolis o śmierci tego zacnego i prawego człowieka.

wsłuchiwaliśmy się znów w ich echa, które nas dolatywały z domów polskich. Prześliczna była księżycowa noc, ale nie iskrzyły się gwiazdki śniegu, ani nie skrzypiał mróz, świeciły tylko śliczne gwiazdy na pogodnem niebie i z echem kolęd łączyły się odgłosy dzwonków bydła, tułającego się po pastwiskach i bicie „kowali“ (żab). Do samej północy przesiedzieliśmy na ganku, a rozmowa jak i myśli zwracały się często do kraju, bo tam tylko prawdziwy wieczór wigilijny. O północy pasterka w kościele szczelnie przepełnionym — pasterka wśród upału.... Kolędy śpiewano nieźle i z temperamentem. Dzień Bożego Narodzenia był uroczystością wielką, bo odbyło się poświęcenie nowego kościoła, o czem już było w *Rocznikach.*

O szkole tu wtedy dopiero marzono, obecnie marzenia już spełnione. Dzielni rodacy złożyli kwotę potrzebną na podróż dla 3 Sióstr i posłali ją do Chełmna z prośbą o Siostry Miłosierdzia; szkołę już wystawili, a obecnie już od 3 miesięcy i Siostry mają. Postanowiono tutaj niedogodnościom z powodu wielkich przestrzeni zaradzić tak, żeby przy szkole miały Siostry jakby internat, gdzieby dzieci mogły zamieszkać stale przez czas nauki. Myśl to bardzo dobra i daj Boże, aby się udała na zachętę i na wzór dla innych kolonii.

Dnia 27. grudnia, pożegnawszy serdecznie miłe Prudentopolis, wśród ulewnego deszczu, odprowadzeni kawał przez przedstawicieli poczciwych rodaków, puściliśmy się w podróż powrotną, która mniej była dokuczliwa, bo powietrze chłodniejsze nieco i zamiast pyłu było wielkie błoto. Po trzech dniach podróży stanęliśmy znów w Thomaz-Coelho i zaraz myśleć musiałem o rychłym powrocie.

Nie potrzebuję chyba wspominać, że zaraz w pierwszych dniach mego pobytu w Paranie złożyłem wizyty Najprzew. ks. Biskupowi w Kurytybie, Duardo da Silva. Jest to biskup w wieku około lat 40, który przed 2 laty na miejsce nieodżałowanego Camargo da Barros zasiadł na stolicy w Kurytybie. Pełen gorliwości i poświęcenia, zwiedza często konno

wśród wielkich trudów swą rozległą dyecezyę. W czasie mej wizyty pożegnalnej u niego prosił mnie, abym przysłał jeszcze z 8 Misyonarzy, również prosił bardzo o Siostry Miłosierdzia. I znów z bólem serca musiałem sobie powtarzać, że u nas tak dosłownie się sprawdza zdanie: „Żniwa wielkie, ale robotników mało“.

Mało robotników, a tam ich tak potrzeba. Szczęśliwi tam są Polacy i bardzo zadowoleni ze swej doli. Kiedy ich pytałem, czy im tu dobrze, czy nie tęsknią za krajem, odpowiadali: „Podatku nie płacimy, do wojska nas nie ciągną, chleba mamy poddostatkiem, nie mamy za czem tęsknić.“ Kiedy jeszcze mają księży dobrych, zadowolenie ich zupełne. Jak oni wdzięczni za tych księży, jak mi dziękowali! Ile jednak jeszcze jest tych kolonii, którym brak duszpasterzy. Szkoły dobre, to drugi ważny czynnik w rozwoju naszych tamtejszych kolonii — ale niema znowu dobrych nauczycieli.

Nowy rok przepędziłem w Abranches, a 3. stycznia, pożegnawszy się z konfratrami, wyjechałem o godzinie 6½ rano w towarzystwie ks. Bayera koleją z Kurytyby do Parany, skąd miał odejść w tym dniu okręt „Guaska“ do Santos; tam spodziewałem się natrafić na okręt francuski, odjeżdżający do Europy. Z pewnym żalem żegnałem z okien wagonu ostatniem spojrzeniem rozległą bardzo, choć 35.000 tylko liczącą stolicę Parany; przywiązałem się do tego kraju, widząc tam dobry nasz lud i tak obszerne pole pracy. Choć to aż w Paranie, a jakby u nas po naszych wsiach ten sam lud, mało co nawet ubiorem odmienny, z tymi samymi zwyczajami, z tem samem wielkiem przywiązaniem do Kościoła. Żal mi zaś ściskał serce na myśl, że już się i tu wkradli tacy, co lud ten usiłują na manowce sprowadzić i wydrzeć mu jego skarb największy — wiarę i miłość Kościoła. Przyjechaliśmy do Paranaguy i dowiadujemy się, że okręt „Guaska“ jeszcze z południa nie przybył, innych okrętów też nie było — trzeba było czekać. Zamieszkaliśmy u OO. Franciszkanów. O. Przeor zaprosił nas razem na obiad, który sam ugotował, bo braciszek po-

jechał na rekolekcye do Kurytyby. Na drugi dzień pożegnałem ks. Bayera i namówiłem go, by wrócił do domu, nie wiadomo bowiem było, kiedy okręt nadjedzie, czekałem jeszcze nań do 6. stycznia. W uroczystość wreszcie Trzech Króli po południu na okręcie „Guaska“ odpłynąłem do Santos, dokąd przybyłem dnia 7. stycznia rano, na drugi zaś dzień w południe na francuskim okręcie „Amazonka“ odpłynąłem ku Europie. W Rio de Janeiro i Bahii, gdzie okręt się zatrzymał, odwiedziłem na pożegnanie Misyonarzy, w Pernambucco dnia 14. stycznia oglądałem po raz ostatni brzegi Brazylii, a potem nasza „Amazonka“ skierowała na poprzek Oceanu ku brzegom Afryki do Dakaru, gdzie stanęliśmy dnia 19. stycznia, przebywszy od Pernambucco 1.699 m. m. Po przebyciu jeszcze 1.552 m. m., opuściłem dnia 24. stycznia w Lizbonie okręt, uradowany, że stanąłem wreszcie na brzegu Europy, z którego koleją już wkrótce spodziewałem się dotrzeć do Krakowa. Zatrzymawszy się więc tylko dwa dni w Paryżu, spieszyłem, aby na dzień Matki Boskiej Gromnicznej stanąć w naszym kościółku na Kleparzu i podziękować we Mszy św. Matce Boskiej za Jej tak dobrą, macierzyńską opiekę w tej długiej podróży. A było dziękować za co, gdyż w tej podróży uciążliwej nie chorowałem nigdy, ani żadnego nie doznałem przykrego wypadku, wróciłem owszem pokrzepiony na duchu widokiem żniwa misyjnego, jakie oglądałem i wzmocniony na ciele znakomitym klimatem Parany i zbawiennym wpływem morskiej podróży.

Ks. Słomiński.

Sprawozdanie z Misyi.

(Przeworsk, Mikulice, Zgórsko, Rekolekcye u św. Floryana, u P. Maryi na Piasku, w Stryju).

Skoro tylko skończyliśmy pracę w Piotrkowie, musieliśmy czemprędzej spieszyć na misyę do Przeworska, gdzie konfratrzy już przeszło tydzień pracowali. Równocześnie bowiem miały być prowadzone 2 misye, jedna w Piotrkowie w Królestwie, druga w środkowej Galicyi w Przeworsku. Musieliśmy się rozdzielić. Ks. Dyrektor trupy misyjnej, ks. Rossmann, pojechał do Przeworska, gdzie z początkiem postu czterdziestodniowego rozpoczął wielką misyę na cztery stany wspólnie z ks. Superyorem Krzyszkowskim z Odporyszowa i z ks. Steinsdorferem z Białego Kamienia, my zaś t. j. ks. Truszkowski i ja, udaliśmy się do Piotrkowa. Praca w Przeworsku miała trwać dwa pełne tygodnie, nasza zaś w Piotrkowie tydzień. I tu i tam rozpoczęła się równocześnie, mianowicie dnia 17. lutego, w 1. niedzielę postu. W Piotrkowie skończyliśmy ją po tygodniu, t. j. w 2. niedzielę postu dnia 24. lutego, podczas gdy w Przeworsku tego samego dnia była dopiero połowa misyi, kończyła się rano serya 2-ga dziewcząt, a po południu rozpoczynała się serya trzecia chłopaków.

Z Królestwa do Krakowa przybyliśmy jakby tylko po to, by się przekonać, czy jeszcze istnieje i zaraz spiesznie podążyliśmy dalej na wschód, nad San, do Przeworska. Przyjechaliśmy, gdy konfratrzy już w najlepsze byli zapracowani nad tą 3. seryą. Zaraz też dopomagaliśmy, w czem tylkośmy

mogli. Ks. Steinsdorfer tuż po naszem przybyciu odjechał do Białego Kamienia.

Była to jedna z tych misyi, które planowo i systematycznie prowadzić się dadzą. Nie zawsze to możliwe a już prawie nigdy w Królestwie, choćby dla tej jednej przyczyny, że jako zupełna nowość dla Królewiaków, w których dotąd każdy objaw nawet najskromniejszej swobody i wolności zwłaszcza religijnej bagnetem i nahajką był tłumiony, misye mają nadzwyczajny, wprost nieprzeparty urok i niezmierną siłę atrakcyjną. Gromadzą się więc tłumy olbrzymie z całej okolicy, w promieniu kilkunastu mil, nieraz z kilkudziesięciu parafii. My tymczasem wolimy odprawiać misye parafialne, t. j. przeznaczone dla wiernych jednej parafii z wykluczeniem innych. W ten sposób działalność nasza jest zlokalizowana, oddziałuje terytoryalnie na mniejszą przestrzeń, ale w tej przestrzeni już obejmuje wszystkich bez wyjątku, a również sięgnąć może więcej w głąb, wydając lepsze owoce a zwłaszcza trwalsze. Oczywiście tego rodzaju układ misyi możliwy jest tylko w naszej Galicyi, gdzie wszyscy biskupi ujęli pracę misyonarzy w pewien system tak, iż każda parafia ma swoje misye, można więc wyłączyć tych wszystkich, którzy przybyćby chcieli z sąsiednich parafii, bo i oni albo już mieli misyonarzy albo w najbliższym czasie mieć ich będą.

Przeworska misya właśnie miała ten charakter wyłącznie lokalny. Z okolicznych parafii nikogo nie przyjmowano, ale też z miejscowych wiernych nikogo nie brakło w kościele. A jest to parafia olbrzymia, bo liczy 15.000 dusz, robota z tymi tysiącami ogromna, ciężka. A to nie tylko dlatego, że ich wielu było, lecz także i z innych względów. Nie brak grzechów i występków, nawet jaskrawych, uderzających. Składają się na to różne czynniki; i tak podobno dosyć wielu wyjeżdża z domu, szukając pracy, nie w tej ilości wprawdzie, co skądinąd (np. z Tarnowskiego), ale przecież dosyć licznie; szczególniej z biednych rodzin. Z groszem zagranicznym przywożą i występki zagraniczne. Tu w miejscu mają olbrzymią cukrownię księcia Andrzeja Lubomirskiego, widoczną z głów-

nego traktu kolejowego. Zajętych jest w niej koło 100 robotników a wiadomo, że wszelkie ogniska przemysłu są szczególnie umiłowanym terenem agitacyi socyalistycznej; a zresztą tak doskonałe połączenia mający z światem Przeworsk, nie mógł ujść bacznego oka czujnych apostołów przewrotu. Znaleźli oni zwłaszcza chętny posłuch u kolejarzy i pomiędzy nimi wpływ socyalizmu prawie był we wszystkich kwestyach decydującym. Złamał go dopiero obecny ks. Proboszcz Gondelowski nie tyle polemiką z ambony, jak raczej spokojną, przyjacielską perswazyą podczas kolendy, a jako pamiątkę tej rozmowy zostawiał w każdym domu i w każdej rodzinie broszurki o socyaliźmie, które reszty dokonały. Ludność przemysłowa, robotnicza, nie jest tu co prawda przeważającą, dlatego też plony socyalizmu dosyć chude, owszem znamiennem dla parafii jest to, że stanowczą przewagę ma stan rolniczy. Mają się wcale dobrze, każdy gospodarz ma po kilka morgów gruntu, są też gospodarstwa chłopskie po kilkanaście i więcej morgów, a ponieważ ziemia znakomita, więc dobrobyt wielki. Wsi należy do parafii przeworskiej 14, niektóre wcałe zamożne, ale dwie z nich osławione na całą okolicę z nadmiernie wielkiej ilości karczem, a co za tem idzie, amatorów kieliszka. Wszyscy zdrowi, silni, mocno zbudowani, życie w nich wre i kipi, zdrowie aż tryska z nich. Chłopcy ani chwilki nie ustoją spokojnie, a w kościele nadludzkich wysiłków musi użyć kaznodzieja, żeby ich bodaj przez 5 minut utrzymać w skupieniu. Są bardzo rozbudzeni umysłowo i prawie, że wcale niema analfabetów, mają szkół 12 (jedną z nich prowadzą Siostry Miłosierdzia). Ale ten ich dobrobyt, ta żywość, zdrowie, ta bujność uczucia i wyobraźni, jak dodają im ochoty do życia i urozmaicają je a ich samych czynią sympatycznymi, tak też z drugiej strony popychają ich do różnych wybryków i zboczeń moralnych. Wspomnę tylko o niektórych. Wieś ze wsią nieraz żyje na stopie wojennej; gromadnie walczą przeciwko sobie. Ale jak prędko płomień gniewu wybucha, tak też prędko gaśnie. Jak szczerze przedtem i serdecznie nienawidził ktoś swego przeciwnika,

tak potem równie szczerze potrafi go pokochać i gotów się na znak tej nowej zgody nawet upić z nim na umór. Takimi są dla siebie wzajemnie. Takimi są i w stosunku do P. Boga. Jak grzeszą, to grzeszą, ale jak przyjdzie czas upamiętania, to umieją godnie pokutować, z wszystkich sił swej bogatej natury żałują za grzechy, kajają się i gotowi wszystko poświęcić dla P. Boga, wszystko zrobić dla Niego.

Prawdziwa to pociecha była przemawiać do tych serc gorących. Głosiliśmy kazania z ambony, z której przed wiekami mawiali Słowo Boże Miechowici. Kościół ten jest wspaniały architektonicznie; budowany w XV. w. w pięknym stylu gotyckim o trzech nawach. Strukturą i rozmiarami przypomina krakowski kościół P. Maryi na Piasku z tą różnicą, że przeworski może ma daleko lepiej wykończone i misterniejsze formy a już wiązania sklepień wprost są podziwienia godne. Piękne i obszerne stale są prawdziwą ozdobą kościoła. Ale przytem wszystkiem kościół potrzebuje gwałtownie restauracyi i oczyszczenia, co zresztą niezadługo się stanie, gdyż nowy ks. Proboszcz Gondelowski, jakkolwiek od bardzo niedawna jest w Przeworsku, to przecież gorąco zaprzątnięty jest tą myślą. Słusznie wszakże działalność swoją w tej parafii rozpoczął od restauracyi świątyń żywych.

Miło szła nam praca, w której dopomagali i księża z okolicy i zakon Braci Mniejszych, a braterska serdeczność ks. Proboszcza sprawiała, że jak w domu czuliśmy się u niego. Zakończenie było w niedzielę. Ks. Rossmann i ks. Krzyszkowski zaraz wyjechali, ks. Truszkowski chwilowo pozostał, a ja przez pola, olbrzymiemi śniegami zasypane, udałem się sanną do Mikulic.

Po misyi w Przeworsku miała miejsce maleńka misyjka w Mikulicach 3.—5. marca. Wieś ta należy już do innej parafii, do Ostrowa, ale właściciele jej, pp. Turnauowie, zapragnęli dla swoich ludzi mieć coś w rodzaju misyi, żeby ich moralnie i religijnie podnieść. W Ostrowie samym nie zapowiadało się nic podobnego na najbliższą przyszłość, do Przeworska chodzić byłoby zbyt daleko, więc poprosili, żeby

zrobić to dla ich wsi specyalnie. Nauki wziąłem sam na siebie, bo w tym wypadku jeden najzupełniej wystarczał. Pojechałem zaraz w niedzielę o godz. 3., stanąłem w Mikulicach pod wieczór i już do późnego wieczora ich pouczałem. Znalazłem tu złote stosunki, łączące dwór z włościaństwem. Sami państwo, głęboko religijni, z poczucia prawdziwie chrześcijańskiego dbają troskliwie o tych, którzy w dobrach ich zajęci i rzeczywiście tak szczęśliwie oddziałują na nich, że pod względem religijnym i moralnym jak również intelektualnym korzystnie odróżnia się ta wieś na całą okolicę. W czasie krótkiego pobytu mojego tutaj częstokroć przypominało mi się to, co ks. Kalinka pisze o jenerale Dezyderym Chłapowskim i o stosunkach w Turwi. Nic też dziwnego, że agitacya socyalistyczna, agitacya niezadowolenia i klasowej nienawiści nie znalazła tu dla siebie gruntu podatnego.

Nauki odbywały się w kaplicy pięknej i bardzo praktycznie a trwale wybudowanej ochronki, która stanęła staraniem i kosztem dziedziców. Zawsze słuchaczy było więcej aniżeli miejsc, ochotnie przychodzili. W poniedziałek przyjechali do pomocy w spowiedzi św. miejscowy pasterz ks. Stanisław Turkiewicz z Ostrowa a z Przeworska ks. Prob. Gondelowski i ks. Truszkowski; ks. Rossmanna i ks. Krzyszkowskiego już nie było w Przeworsku. Wieczorem jeszcze było przyjęcie do bractwa wstrzemięźliwości, spis wszystkich przyjętych oddałem ks. Proboszczowi celem wciągnięcia do ksiąg parafialnych. We wtorek rychło rano odprawiłem Mszę św., podczas której jeszcze jedna, ostatnia przemowa i Komunia św. generalna. Budowałem się wielką gorącością ducha, z jaką przystępowali wszyscy do Stołu Pańskiego, dwór i ludek poczciwy.

O 8. godzinie znowu byliśmy na dworcu w Przeworsku, ks. Truszkowski i ja, by stąd pojechać na 3 dni do Zgórska, do ks. Kan. Kowalskiego, z pomocą w spowiedzi św. wielkanocnej. Spowiadaliśmy od rana do wieczora 6., 7. i 8. marca.

W sobotę, 9. marca, wróciliśmy do Krakowa a 10. w niedzielę, rozpoczynaliśmy rekolekcye w kościele św. Floryana na Kleparzu. Trwały one od 10.—17. marca. Po nich nastąpiły rekolekcye w kościele P. Maryi na Piasku od 17. do 24. t. m. Ani jednych ani drugich opisywać nie będę, ponieważ miały przebieg zupełnie takisam jak roku zeszłego. W rekolekcyach na Piasku już ks. Truszkowski nie brał udziału, bo równocześnie sam dawał rekolekcye w Stryju od 17.—22. marca.

Nowo-Radomsk, 13—19. kwietnia.

Po wielkanocy czekały nas misye w Królestwie. Pierwsza z nich w Nowo-Radomsku u ks. Karola Koryckiego, Kanonika katedralnego. Przyjazd nasz w sobotę 13. kwietnia o godzinie 4. Na dworcu oczekiwało nas już kilku księży miejscowych i mnóstwo ludu. Pojechaliśmy na plebanię. Wkrótce stąd pochodem uroczystym z orkiestrą ruszyliśmy do kościoła i zapoczątkowaliśmy misyę.

Był to przeddzień przeniesienia relikwii św. Wincentego. Przykro nam zrazu było, że to święto nasze rodzinne będziemy musieli spędzić wśród obcych ludzi. Ale wynagrodził nam to chyba sam św. Wincenty wielkiemi i bardzo licznemi pociechami, jakich doznaliśmy tutaj. Zaraz zrana dnia następnego, w niedzielę, poprzychodzili wierni z najdalszych okolic, żeby także być uczestnikami misyi. O godzinie $6^1/_2$ miał ks. Dyrektor modlitwy poranne i rozmyślanie z nimi w kościele, a już o tej porze kościół był pełny. Potem o godzinie $7^1/_2$ miałem kazanie, ale nie wszyscy je słyszeli, bo część świeżo przybyłych stała poza kościołem. Suma wyszła o godz. 11. Kazanie podczas Sumy miał ks. Truszkowski, trudno wszakże mówić, bo kościół przepełniony, ścisk tak wielki, że wszyscy się pocą, a na cmentarzu kościelnym jeszcze stały tłumy, także żądne Słowa Bożego. Tam ich dwakroć więcej niż tych, co zdołali pomieścić się w kościele. Kiedy posłyszeli, że misyonarz ma kazanie, zaczęli gwałtownie cisnąć się do drzwi kościelnych, napierają jedni na drugich,

ale już niewielu dostanie się do wnętrza, bo kościół szczelnie nabity, ani ruszyć się nie można. Żal się nam zrobiło tych ludzi tak spragnionych słów żywota, oni zdaleka przyszli, niektórzy o kilka mil i teraz mieliby wrócić do domu nic nie posłyszawszy? Trzeba było zaradzić. Prędko więc kazałem na cmentarzu pomiędzy kościołem a plebanią ustawić stół i z niego zacząłem przemawiać do nich.

Miał Nowo-Radomsk przedtem opinię gniazdka socyalistycznego, gniazdka tylko, bo ostatecznie socyalizm jako czynnik negatywny przedewszystkiem, burzycielski i przewrotowy może swoją akcyę druzgocącą na szeroką skalę rozwinąć tylko tam, gdzie dużo skupia się życia i ruchu, a więc we wielkich centrach przemysłowych, a im spokojniejsze z natury rzeczy gdzieś są stosunki, tem trudniej mu uzyskać znaczenie. Jest tu przemysł, jest, ale nie ten wielki, zadziwiający i imponujący ogromem swoim, co w Łodzi, w tym Manczesterze polskim, co w Zagłębiu Dąbrowskiem lub w Warszawie. Jest tu parę fabryk mebli, jest i fabryka szkła a w nich kilkaset „robociarzy“, ale to wszystko zbyt ciasne pole popisu dla bezbrzeżnie zuchwałej międzynarodówki, która w Królestwie upojona jest krwawymi tryumfami łódzkimi. Nie pogardzili socyaliści naturalnie Nowo-Radomskiem, założyli sobie i tutaj filię. Związki ich były wcale liczne, a niektórzy zwolennicy odznaczali się zaciekłością, dochodzącą do ostatecznych granic. Pod wpływem teroru wielu bojaźliwych i chwiejnych przeszło w ich szeregi i organizacye. Ale napotkali też i na opór. Najzagorzalszym agitatorom kością w gardle stanął miejscowy ks. Chwiłowicz, który silną i pewną ręką pozakładał i dalej prowadzi związki robotnicze „demokracyi chrześcijańskiej“. Znajdują się one obecnie w stanie kwitnącym, co socyalistycznych agitatorów martwi niepomiernie, ponieważ oni i cała ich partya tracą w ten sposób grunt pod nogami.

Stracili go do reszty wskutek misyi. Zrzedły im miny do niepoznania. Wielu nie miało ochoty przychodzić na nauki. Ale zdarzyło się, poszedł jeden, poszedł i drugi. Przy-

szedł z ciekawości, a może i w gorszym zamiarze, a w kościele posłyszał Słowo Boże, które mu oczy otworzyło. O zmierzchu lub wieczorem już można było zauważyć go u konfesyonału oczekującego, aż też na niego przyjdzie kolej. Nic dziwnego; co P. Bóg raz zrobił z Szawłem, to czasem i za naszych dni powtarza. Zdziwił i uderzył wszystkich jeden zwłaszcza wypadek. Był tu pewien robociarz socyalistyczny, zagorzały, zapamiętały niesłychanie. Nikt nie przypuszczał, żeby ten się zechciał nawrócić. Wszyscy wiedzieli, co on zacz i wszystkich oczy w oczekiwaniu ku niemu się zwracały pytająco, kiedy szedł lub wracał z kościoła a on nie tylko porzucił partyę, ale miał nawet tę odwagę, że w obliczu ulicy przystąpił do przechodzącego misyonarza i poprosił o spowiedź.

Inny szczegół. Naprzeciwko kościoła i plebanii, tylko przez ulicę stoi magistrat i więzienie powiatowe. Kiedy przyjeżdżaliśmy do N.-Radomska, lud śpiewał i orkiestra grała, we więzieniu zaś słychać było ciągle melodyę „Czerwony sztandar“, „Marsyliankę“ i „Do broni ludów“. Znajdowali się tam najwidoczniej zwolennicy bezgranicznej swobody, którzy wśród praktyki jej pokłócili się z paragrafami kodeksu karnego i teraz pasowali się na męczenników dla sprawy narodów i społeczeństwa ludzkiego. Nie przestali tych pieśni i następnego dnia. W kościele śpiewano „Przed oczy Twoje Panie“ a przez drogę „Krew naszą dawno leją katy“, w kościele od rana do późnego wieczora pobożne tłumy naprzemian to modliły się rzewnie, to śpiewały, to słuchały kazań a tam o parę kroków w tem schronisku zbrodni i deprawacyi przedrzeźniano nabożeństwa kościelne szałem nienawiści i zemsty piekielnej natchnionemi pieśniami. Żeby jeszcze dodać energii rytmicznej, uderzali do taktu pięściami we drzwi i skrzynie. Na trzeci dzień wczesnym rankiem te same wycia powitały wschodzące nad sprawiedliwymi i grzesznikami słońce. Wszakże już z pewną różnicą, bo nadsłuchując zauważyliśmy, że mniej głosów dziś słychać a te są jakieś chrapliwe, dziś już tylko synowie Izraela wyładowują swe rewolucyjne uczucia. Jakież

było nasze zdziwienienie, gdy czwartego dnia zrana dochodziły nas z tego samego miejsca melodye „My chcemy Boga“, „Serdeczna Matko“ i t. d.

Żniwo w N.-Radomsku mieliśmy bardzo pracowite, ale też bogate. Do spowiedzi i Komunii św. przystąpiło w tych pięciu dniach 9.000. Podziwialiśmy usłużność księży tutejszych. Bardzo chętnie przyjeżdżali z pomocą. W jednym dniu, było to we wtorek, spowiadało księży 28. Ci więc, którzy stale przychodzili przez całą seryę, mogli się swobodnie wyspowiadać. Przypuszczali księża, że napotkamy na wielkie trudności, gdy będziemy zachęcać do wstrzemięźliwości, ale i to przypuszczanie okazało się mylnem, bo rotę obietnicy powtarzali za misyonarzem wszyscy zebrani w kościele a że dobrze pojmowali, do czego się obowiązują i obowiązki te szczerze przyjmowali na siebie, dowodem niech będzie to, że na weselach i chrzcinach jak również na innych uroczystościach rodzinnych od misyi wcale nie podawano żadnych trunków alkoholicznych. Karczmarze i monopoliści z trwogą patrzą się w przyszłość, bo pusto u nich; nawet w jarmarki mniej mają odbiorców niż dawniej w dniu zwyczajnym a i ci, którzy przyszli, to z dalszych stron, co w misyi udziału nie brali, miejscowych tu wcale nie widać. O tem opowiadał nam ks. Jankowski w Kamieńsku, dokąd przybył z pomocą podczas misyi, którą tu odprawiliśmy w czerwcu, a zatem już w 2 miesiące po misyi radomskiej.

Ponieważ mieliśmy tu być tylko 5 dni, dlatego musieliśmy wszystkich sił dobyć z siebie, żeby podołać olbrzymiej pracy. Wracaliśmy też bardzo późno co noc z kościoła, a na spoczynek zdążyliśmy się udać dopiero gdzieś koło jedenastej godziny. Przypominały nam się czasy św. Wincentego, kiedy to misyonarze w Berberyi pracowali nocami na misyach, ponieważ we dnie pogańscy panowie nie chcieli chrześcijańskich niewolników uwalniać od robót. Tak późno wśród ciemności nocnych wracaliśmy z kościoła a jeszcze żal się robiło, bo pozostawialiśmy kościół pełny jeszcze takich, którzy czekając kilka dni z rzędu nie zdołali się dostać do spowiedzi, a mają

tak daleko do domu, a tamci znowu tak bardzo potrzebują spowiedzi, a owi wprost głośno oświadczają, że sumienie ich tak strasznie trapi, że ani chwilki spokojnej ani kąta znaleźć nie mogą. Żal nam, bardzo nam żal, ale musimy już iść, bo już zbyt późna pora a jutro rano rychło znowu rozpocząć trzeba pracę w kościele.

Tak wróciliśmy w czwartek wieczorem do siebie, piąty dzień się kończył. Na jutro zapowiedziana Komunia św. generalna, poświęcenie krzyża misyjnego, pożegnanie i odjazd nasz. Mieliśmy też jutro zaraz opuścić N.-Radomsk i jechać przez Warszawę i Wilno w okolice Dynaburga, żeby tam w północnej części Litwy odprawić kilka misyi. Właśnie siedzieliśmy przy świecy, debatując nad tem, co to jutro będzie, jak to najlepiej urządzić, który pociąg obrać, o której godzinie wyjechać i t. d. i t. d. Szczęśliwymi się czuliśmy, że że nas P. Bóg na Litwę powołuje, cieszyliśmy się z tego, że wolno nam będzie oglądać własnemi oczyma kraj, który dotąd znaliśmy z arcydzieł literatury naszej. Stanęło wreszcie na tem, że jutro w południe wyjeżdżamy. Już była godzina 11-sta w nocy, kiedy nagle ktoś zbliża się szybkim krokiem do naszych drzwi i zapukał. Wszedł ks. Kanonik Korycki, trzymając telegram w ręce, który cały nasz plan wyjazdu na Litwę zupełnie zniszczył: jenerał-guernator wileński nie pozwala na nasz przyjazd.

Pomimo to postanowiliśmy nazajutrz wyjechać do Warszawy, bo zdawało się nam, że tam dowiemy się o jakimś sposobie, który przecież umożliwi misye na Litwie.

Jak zacny i poczciwy nasz ludek polski, o tem przekonaliśmy się na wyjezdnem z N.-Radomska. Przez te parę dni ogromnie się wszyscy przywiązali do nas, mnóstwo ich się zebrało z miasta i ze wsi przy plebanii, nie chcieli nas puścić, z płaczem żegnali, z trudnością tylko dostaliśmy się do powozów, a gdy te ruszyły, obsypano nas wieńcami i bukietami. Jeszcze więcej ich było na dworcu, na peronie ścisk powstał. Z oczu każdemu wyczytać było można, jak serdecznie im przykro z misyonarzami się rozstawać.

Ks. W. Szymbor.

Kilka szczegółów historycznych o Seminaryum Internum, opowiedzianych z okazyi jubileuszu, obchodzonego 17. sierpnia 1907. r. w Krzeszowicach.

Jeszcze brzmi echo 25-letniego jubileuszu Małego Seminaryum, bo zaledwie 4 lata upłynęły od czasu, kiedy dzisiejsi jubilaci święcili pamięć dnia, który był przełomowym w ich życiu i decydował już w pewnej mierze o ich przyszłem powołaniu, bo prowadząc do Małego Seminaryum, stawiał ich niejako na wzniesieniu, z którego przejrzeć mogli pole i zadanie przyszłego swego życia. Był to dzień przełomowy i dla Zgromadzenia, bo wtedy niejako po burzy znów zaświeciło pogodne słońce, a rzucone teraz obficiej ziarno powołań mogło przy błogosławieństwie Bożem zapuścić korzenie w glebie, użyźnionej przez łzy, modlitwy i prace naszych Ojców, głównie ś. p. ks. wizytatora Piotra Soubieille'a. Jesienią rzucone ziarno niewątpliwie cieszy rolnika, kiedy runią swą przy wieczorze roku zdobi żyzne łany tak, iż spocone czoło może odpocząć spokojnie w zimie, snując nadzieje, że żniwo w nowem nie zawiedzie lecie. Tak odpoczywali nasi założyciele Małego Seminaryum przez 4 lata od r. 1878—1882. Atoli rolnika czeka jeszcze chwila, która, odsłaniając na wiosnę zieleniejące się zagony jego w jesieni uprawionej roli, ma okazać, czy ostra pora roku jego nadziei nie zniweczyła, czy je zachowała. Taką chwilą wiosenną dla naszej prowincyi był początek września 1882. r., kiedy Małe Seminaryum miało po raz pierwszy okazać swe niespożyte ziarno w rozkwicie w Seminaryum Internum. Dzień ten nie zawiódł pracowników, a szczęście Zgromadzenia splotło się wtedy ze szczęściem tych, których serce miało odtąd czerpać

obficie z pełni szczęścia, jakie Bóg daje w Seminaryum. Dziś łącząc się na nowo z tą chwilą przez wspomnienie na dobroć Bożą, której dowodów naonczas doznaliśmy tak widocznie, jak nigdy przedtem, przypomnimy sobie, w jakich warunkach znajdowaliśmy się poprzednio, ażeby przez to pobudzić się do wdzięczności dla Opatrzności Bożej. Do tego zmierzać ma tych niniejszych kilka luźnych uwag. Na źródłowe opracowanie jeszcze nie nadszedł czas wskutek zbyt świeżych wypadków, które na razie muszą pozostać w cieple serca, zanim je chłodny, objektywny umysł w historycznej obejmie rozprawie.

Zbyt jasny jest ten dowód i często cytowany, że dzieło Boże, jak okręt miotane burzą i okryte nieraz bałwanami, zawsze prędzej czy później święci swój dzień zbawienia. Nie potrzeba tedy wspominać, że tak całe Zgromadzenie nasze, jak i poszczególne jego prowincye, musiały swe burze przechodzić, że miały też chwile szczęśliwe. Ale sposób, w jaki się to wszystko odbywało, zawsze jest tak różny i tak dziwny, że stanowi w powieści to, co zachwyca, a w historyi każe podziwiać rządy Opatrzności.

Historya naszego Zgromadzenia w Polsce wykazuje, że założone w Warszawie w roku 1651, po pokonaniu pierwszych trudności w czasach, gdy kraj cały potopem wojen był zalany, rozrosło się potężnie tak, iż około połowy XVIII. wieku posiada 40 domów, a zarządza oprócz swych 4 własnych Seminaryów, 20 Seminaryami dyecezyalnemi. Wpływa przez to nie tylko na samo źródło duchowego dobrobytu narodu, kształcąc duchowieństwo, ale i bezpośrednio, odbywając ze swych domów wedle możności misye po wsiach. Historyk, ks. Gawroński, wspomina o nich w tych słowach: „Niema prawie zakątka w całej dawnej Polsce, gdzieby nie odbyli misyi, a zadziwiające nieraz nawrócenia, pobożność i wdzięczność ludu najpiękniejszą były ich nagrodą. Wierni swym zwyczajom i regułom, począwszy od ks. Ozenne, który powstrzymał Misyonarzy od uczęszczania na huczne uczty polskich panów, stali się w czasie rozpasania narodu za Sasów jedynym

jego trzeźwym pierwiastkiem, który, według świadectwa Kitowicza, powstrzymywał naród od zbytku, obżarstwa i pijaństwa. Choć swe soki ożywcze brało Zgromadzenie z zagranicy, wszakże potrafiło je podawać w narodowo przyrządzonym pokarmie i tkwiło w narodzie, że użyję porównania ks. Kajsiewicza o religii i narodowości, jak obraz w murze wrośnięty i weń wpity tak, iż kto chciał obalić mur, nie mógł tego uczynić bez uszkodzenia tem samem obrazu i naodwrót. To też jak za świetnych czasów, kiedy nasz pierwszy wizytator a późniejszy biskup poznański, ks. Bartłomiej Tarło, sprawujący rządy przez 25 lat od r. 1685—1710, załatwiał poselstwa królewskie na dworze węgierskim, jak za czasów Stanisławowskich, kiedy król uważał naszego wizytatora, ks. Piotra Jacka Śliwickiego, za jednego z głównych swych doradców — Zgromadzenie odegrało tak ważną w narodzie rolę, tak też i w niedoli naszej Ojczyzny dzieliło jej smutny los. Upada Zgromadzenie w Polsce od czasów Józefinizmu coraz więcej w części Polski, przypadającej Austryi, traci dom za domem pod zaborem rosyjskim, póki nie zostało ostatecznie zniesione, kiedy w roku 1864. na mocy ukazu z 8. listopada tegoż roku kibitki o północy zajechały przed furtę św. Krzyża w Warszawie, wywożąc na Sybir część naszych konfratrów (ś. p. ks. Kamiński), innych rozpędzono po kraju lub za granicę. Z dawnej świetnej prowincyi warszawskiej został już tylko jeden Stradom, przyłączany kolejno do różnych prowincyi (r. 1853. do Grazu). Dom ten, założony w r. 1686., przechował po upadku prowincyi (1864. r.) dawną tradycyę, a złączony z powstałym w r. 1861. na Kleparzu domem w nową krakowską prowincyę, wiąże nas z początkami Zgromadzenia w Polsce i z czasami św. Założyciela. Właściwą atoli kolebką tej nowej prowincyi, tak jak ją dziś widzimy, jest Kleparz. Oto jego historya:

„W roku 1861. dnia 25. grudnia przybył do Krakowa z polecenia O. gen. Etienne, ks. Piotr Stroever z Kolonii jako superyor nowego domu i zamieszkał wraz z ks. Wiktorem Ożarowskim ze Stradomia w małym domku Sióstr Miło-

sierdzia przy kościele św. Szymona i Judy na Kleparzu. Niebawem przyłącza się do nich ks. Aleksander Popławski, który po ukończeniu Akademii warszawskiej podążył do Paryża i tam przywdział suknię misyonarską, a po ukończeniu Seminaryum przybył do Krakowa. W r. 1862. przenieśli się Misyonarze z Kleparza do domu OO. Pijarów za rocznem wynagrodzeniem 1.200 kor. Mieszkali tam rok. Tymczasem zbudowano przy ul. św. Filipa dom i 6. lipca 1863. r. osiadło tam Zgromadzenie na stałe. Tego samego roku opuszcza ks. Stroever Kraków, udając się do Chełmna. Na stanowisko superyora na Kleparzu przybywa 4. lipca 1863. r. ks. Oudiette z Paryża. Sprawuje rządy do roku 1866. (20. lipca). Z nim mieszkali ks. Ożarowski jako asystent, ks. Jan Siedlecki jako prokurator, ks. Aleksander Popławski jako kapelan św. Łazarza i br. Bartłomiej Voss, pochodzący z Kolonii. Poświęcenia domu i oratoryum na Kleparzu dokonał O. generał Etienne w dniu 3. września 1863. r. Personal zaczął się powiększać. Przybywają: ks. Rademacher w 1864. r., ks. Ernst, ks. Józef Kiedrowski i ks. Leon Bogatko w 1865. r. Czternastego kwietnia 1865. roku zawiadamia O. Etienne superyora w Chełmnie, że ustanowił nową prowincyę polską w Krakowie. Wizytatorem mianuje ks. Oudiette'a. W skład prowincyi wchodzą trzy domy: Kleparz, Stradom i Chełmno. Piętnastego sierpnia 1866. r. przybywa ks. Piotr Soubieille do Krakowa w miejsce ks. Oudiette'a.

W ten sposób położono kamień węgielny pod nową prowincyę. Wyniki to usiłowań piękne i pełne nadziei, zważywszy trudności, na jakie każdy początek natrafia. Odtąd wszakże pracownicy nasi mieli w swem działaniu napotykać na ustawiczną skałę. Kto chce atoli śledzić palec Boży, zauważy, że dobór mężów, którzy wówczas stali na czele pracy, był rzeczywiście opatrznościowym, bo to ludzie pełni energii i nie upadający na duchu mimo zawodów. A zawody były wielkie. Oto dziś przed 40 laty w dzień Wniebowzięcia Najśw. Maryi Panny nasz ś. p. ks. wizytator Soubieille modli się po modlitwach wieczornych za trzech młodzieńców, któ-

rzy dopiero-co zjechali na Kleparz do Seminaryum Internum; błagał, by ci trzej kandydaci stali się prawdziwym początkiem, jutrzenką w rozwoju Zgromadzenia. Ale niestety ci trzej poszli. Odtąd wszakże przyjmuje się co roku nowych młodzieńców, bądź kleryków, a nawet księży, bądź świeckich jeszcze studentów. Ale czy jest jaka nadzieja? Oto co roku wstępuje 3 do 6, ale też co roku prawie tyluż opuszcza Zgromadzenie lub umiera. Dyrektorowie z tych pierwszych lat 15 (1867—1882), księża: Jędrzej Ptaszyński, Jan Coursières, Jan Szczur, Karol Szczepański, Melchior Wdzięczny, pracują i modlą się, ale bezskutecznie. Oto rezultat tego pierwszego okresu: Seminarzystów było 53, to jest 2 księży, 39 kleryków, 12 braci. Z pomiędzy nich ks. Szczur, ks. Hora, ks. Boruta i ks. Kudermann doczekali wprawdzie kapłaństwa, ale zmarli przedwcześnie, ks. Kudermann nawet ani jednej mszy św. nie odprawił, bo zaraz po święceniach ciężko zapadł na zdrowiu i po kilkomiesięcznych cierpieniach umarł 18. lipca 1885. r. Długie lata pracowali ks. Kazimierz Siemaszko (zmarły 1904. r.) i br. Stefan Fochciński (zmarły 1901. r.), dotychczas żyje już tylko jeden brat Ludwik Jan Krasicki. Reszta opuściła Zgromadzenie. — Marne a raczej żadne więc skutki usiłowań, modłów i poświęcenia przełożonych i dyrektorów dla wyrobienia serc i charakterów młodzieńczych. A że usiłowania były wielkie, dowodzą wcześnie, bo już w r. 1870. założone przez ks. Jana Coursières katechizmy i męska Sodalicya Maryańska. Wprawiano do tej pracy kleryków po ślubach św., a nawet seminarzystów, ucząc ich od młodości późniejszego poświęcenia się dla zbawienia bliźnich. Tradycya do dziś przechowana świadczyć może o wielkiej gorliwości owych kleryków pomimo szczupłych sił fizycznych i liczebnych. Ducha Seminaryum z tego okresu odzwierciedlają też pięknie zapiski postanowień, pozostałe po ś. p. ks. Siemaszce z czasu jego nowicyatu, ozdobione na każdej stronicy napisem: „Niech żyje Jezus!“ Znać, z jakim zapałem przejmował się seminarzysta duchem swego powołania, który jego przełożeni zaszczepiać umieli. I nie

wiadomo, co tu więcej podziwiać, czy bezgraniczną ufność naszych Ojców, prawdziwych synów św. Wincentego, czy też niepojęte rządy Opatrzności Boga, który chciał, by Jego opieka i potęga tem więcej zajaśniała, im dłużej trzeba było czekać na jej widzialne dowody. Niebawem też miał Bóg uwieńczyć usiłowania skutkiem. W roku 1878. założono Małe Seminaryum na Kleparzu, a w niem zasadzono pierwsze latorośle. Jak przy założeniu Seminaryum Internum przed 11 laty, tak i teraz ks. Soubieille zanosi Bogu dzięki za objawy Jego dobroci, zwiastującej nam lepszą przyszłość. Ale czy znów nie będzie zawodu jak poprzednio? Bóg doświadcza, ale nie tyranizuje, owszem hojnie nagradza ufność, jeśli człowiek staje się tego godnym. Ks. Soubieille przez bezgraniczną ufność zasługiwał też na nadzwyczajną łaskę. By zrozumieć to wszystko, trzeba poznać jego stosunek do Matki Najśw. Rodem z Gaskonii, niedaleko Lourdes, był on szczególniejszym czcicielem Najśw. Maryi Panny. Jemu to zawdzięcza Polska pierwszy ołtarz Matki Boskiej Lourdeńskiej, postawiony najpierw w publicznej kaplicy na Kleparzu, przeniesiony następnie do nowozbudowanego kościółka św. Wincentego, zanim go nie zastąpił ołtarz większy, dzisiejszy. Tamten zaś znajduje się dziś w kaplicy seminaryjnej. Przed tym to ołtarzem spędzał ks. Soubieille długie chwile, czerpiąc w modlitwie siłę i otuchę do dalszej pracy mimo zawodów i trudności. Jemu też zawdzięczamy kościół pod wezwaniem N. M. P. z Lourdes w Nowej Wsi Narodowej z r. 1894. Ze serca pełnego tchnął więc ś. p. ks. wizytator w nasze Zgromadzenie tę cześć dla Matki Najśw., otrzymując w zamian z Jej strony obfite błogosławieństwa i opiekę nad obydwu rodzinami św. Wincentego. Niczego też ks. Soubieille nie rozpoczął bez Jej wezwania, a nawet najważniejsze dzieła zwykł był zaczynać w dni Jej poświęcone. I tak w dzień Wniebowzięcia 1866. r. przybywa do Krakowa na objęcie rządów prowincyi, w rok potem w tym samym dniu otwiera Seminaryum Internum. To też Matka Najśw. hojnie nagradzała swego sługę, a dziś niema dnia, w którymby Zgroma-

dzenie nie doznało Jej szczególniejszej opieki. Wówczas zaś, gdy ś. p. ks. Wizytator modlił się przed wspomnianym ołtarzem o rozwój Zgromadzenia, w najbardziej krytycznem położeniu przyszła Matka Najśw. z pomocą, zapewniając go głosem wewnętrznym: „Nie bój się, Zgromadzenie będzie!" Na tem zapewnieniu oparta jego ufność, spogląda już teraz spokojnie na pierwszych młodzieńców w Małem Seminaryum, przemyśliwając tylko nad tem, jakby im najczulszą zapewnić opiekę. Znalazł ją w osobie ks. Jana Binka, pierwszego dyrektora Małego Seminaryum. Było to serce wielkie, gorąco młodzieży i wychowaniu jej oddane; to też zasłużył najzupełniej na hołd, jaki mu oddano w czasie jubileuszu Małego Seminaryum przed czterema laty. Pierwsze te latorośle wzrastały pod ciepłem ożywczem swego ukochanego dyrektora aż do czasu, kiedy miały się uszlachetnić przez zaszczepienie w Seminaryum Internum, które odtąd zacznie drugi daleko świetniejszy swój okres. Działo się to we wrześniu 1882. r. Kierownikiem nowych seminarzystów był ks. Eugeniusz Lechevallier, szósty z kolei dyrektor, już od niejakiego czasu zastępujący ks. Wdzięcznego, który niebezpiecznie zapadł na zdrowiu. „Ks. Lechevallier to właściwie w czasie swej dziesięcioletniej pracy (1881—1891), jak mówi jeden z jego wychowanków: „dopiero Seminaryum kleparskie stworzył, on mu kierunek nadał; a drogą raz wytkniętą łatwiej było następcom iść dalej i niejedno udoskonalić."

Jakże wtedy inaczej niż przed 15 laty zabiło serce Zgromadzenia. Oto Matka nasza prawdziwych porodziła synów, którzy jej już opuścić nie mieli, niosąc w ofierze swe życie, swoje zdrowie i siły. Ci synowie, to Czcigodni dzisiejsi Jubilaci: ks. Walenty Ciopalski, ks. Józef Sokołowicz, ks. Jakób Konieczny, ks. Wincenty Rożek i ks. Felicyan Bystrzonowski.

To też nic dziwnego, że Zgromadzenie zdawało się zapominać o wszystkich dawnych cierpieniach, zawodach i troskach. Nowa era się rozpoczyna, zawodu już niema, bo odtąd co roku wychodzi z Małego Seminaryum nowy zastęp

powołań i wstępuje pod opiekuńcze skrzydła Seminaryum Internum. Tu, bliżej serca Zgromadzenia, a bliżej jeszcze serca Bożego, otrzymują obficiej błogosławieństwo Boże, którego raz otwarte źródło nie zna tamy aż do dnia dzisiejszego.

Oto kilka historycznych szczegółów z tego drugiego okresu Seminaryum, 1882—1902. r. Dyrektorom z tego czasu, a zwłaszcza pierwszemu, ks. Lechevallier, należałaby się na tem miejscu, w innych warunkach, osobna, obszerniejsza wzmianka. W tych zaś okolicznościach poprzestaniemy na kilku datach.

Ks. Eugeniusz Lechevallier kieruje Seminaryum Internum aż do roku 1901. Po nim ks. Ludwik Ollé przez rok, do r. 1892. Następnie ks. Wojciech Wdowicki 1892—1896. r., ks. Wizytator Kasper Słomiński 1896--1899. r., ks. Józef Gaworzewski 1899—1902. r. Siedzibą Seminaryum był Kleparz od r. 1867. do 1894. W latach 1894—1896. rok I., ściślejszy, był w Nowej Wsi Narodowej, drugim zaś rokiem i resztą kleryków na Kleparzu kierował ks. Wizytator Słomiński od września 1894. r., póki w r. 1896., gdy znów całe Seminaryum umieszczono na Kleparzu, nie został jego jedynym dyrektorem. Ostatni rok z tego okresu 1901—1902. przebyło Seminaryum na Stradomiu, dokąd po usunięciu się świeckiego Seminaryum kleryków przeniesiono naszą młodzież duchowną. Od roku 1902. nie było przez 3 lata Seminaryum. Dotychczas przyjmowano po kl. IV. z Małego Seminaryum, wyższe zaś gimnazyalne nauki odbywały się częścią w Seminaryum, częścią po ślubach. W r. 1902. postanowiono, że do Seminaryum przyjmować się będzie dopiero po ukończeniu nauk gimnazyalnych, które u nas trwają tylko 7 lat. Stąd owa trzechletnia przerwa. — W roku 1905., gdy pierwsi małoseminarzyści z ukończonem gimnazyum przechodzili do Seminaryum, przywrócono też dawny system przyjmowania po klasie IV. Przez tę przerwę zamknął się niejakò drugi okres Seminaryum Internum. — Z trzeciego okresu pierwszym dyrektorem jest ks. Jan Weissmann, od

sierpnia 1905 r. Z Seminaryum łączy się ściśle czas dalszych studyów, jako bliższe przygotowanie do święceń kapłańskich. Dla zaokrąglenia więc tych szczegółów dodajmy, że wszystkie studya do roku 1896. odbywały się na Kleparzu; od roku 1896. teologia w Nowej Wsi Narodowej, studya gimnazyalne i filozofia na Kleparzu. Od roku 1898. znów wszystkie studya na Kleparzu, a w r. 1901. chwilowo przeniesione na Stradom, w r. 1902. podzielone zostały w ten sposób, że teologia na Stradomiu, a gimnazyalne nauki odbywać się miały na Kleparzu.

Przez ostatnie 25 lat, 1882—1907., a więc od czasu, jak Małe Seminaryum zaczęło dostarczać kandydatów, przyjęto do Seminaryum Internum: 286, t. j. 2 księży, 211 kleryków (z Małego Seminaryum 196, eksternistów wprost do Seminaryum 15) i 73 braci. Dziś prowincya nasza liczy 173 członków, t. j. 88 księży, 30 kleryków na studyach, 16 kleryków w Seminaryum, oraz 39 braci. Ogromna większość, bo 164, pochodzi z naszego Seminaryum; reszta zaś, t. j. 5 księży (ks. Józef Kiedrowski, ks. Antoni Gąsiorowski, ks. Adam Więcek, ks. Franciszek Block, ks. Melchior Wdzięczny) otrzymało suknię Zgromadzenia w Paryżu lub w Warszawie, br. Bartłomiej Voss pochodzi z Kolonii (z dawnej pruskiej prowincyi z przed r. 1873.), br. br. Jan Klecza i Jan Łężny przyjęci jeszcze przed r. 1867., a br. Ludwik Jan Krasicki był w naszem Seminaryum, ale przed r. 1882. Wszyscy pracują w 21 domach naszej prowincyi: w Galicyi (12), na Bukowinie (1), w Ameryce Północnej (4), w Paranie w Brazylii (4).

Na tem zakończyćby wypadło tych niniejszych kilka uwag, które, choć nie wyczerpują dostatecznie materyału źródłowego (z powodów wyżej wymienionych), są jednak pisane w nadziei, że kiedyś przy świetniejszym jubileuszu za 10 lat, kiedy święcić będziemy 50-letnią rocznicę założenia Seminaryum Internum, a 300-letni jubileusz założenia Zgromadzenia (25. stycznia 1617. r. pierwsze kazanie misyjne św. Wincentego w Tolleville), zastąpi je źródłowa historya ca-

łego Zgromadzenia, a w szczególności historya polskiej prowincyi i monografia Seminaryum Internum.

Jeszcze wspomnieć należy o dwóch instytucyach już wyżej wymienionych, w których duch Seminaryum wydaje pierwsze owoce: o katechizmach i Sodalicyach Maryańskich z tytułem „Dzieci Maryi“. Oba te dzieła w szczególniejszy sposób miłe P. Bogu i Najśw. Maryi Pannie, już od r. 1870. założone w domu kleparskim, były pod szczególniejszą opieką Zgromadzenia.

Pierwsze katechizmy, jak świadczą zapiski i akta odnośne, zgromadzone zostały dzięki skrzętności ks. Coursières'a i ks. Wizytatora Soubieille'a, który nie wahał się zniżyć do istot ciałem będących najniżej ziemi, lecz duszą Boga sięgających i z tego powodu w swych zabiegach oparł się aż o progi pałaców książąt Czartoryskich, Sanguszków, hrabiów Potockich, Rzewuskich i Wodzickich, którzy go też hojnie w tem dziele wspierali pieniędzmi. Zyskał też pewne przywileje z konsystorza (jak udzielanie pierwszej Komunii św. dzieciom w kościele misyonarskim na Kleparzu) i odpusty te same, które nadane są katechizmom u św. Sulpicyusza w Paryżu.

Od tego czasu prowadzili katechizmy klerycy misyonarscy, a ks. Siemaszko sam przez długie lata im się poświęcał, póki ich nie przekazał świeżym i liczniejszym siłom. Jest to pole szlachetnej rywalizacyi potomnych z poprzednikami o chwałę Bożą, a zarazem źródło pełne błogosławieństwa, które się objawia w łasce przemawiania do serc najprostszych oraz w praktycznej pedagogii, w której przyszli Misyonarze jako kapłani i katecheci mieli zasłynąć wobec swoich i obcych; że wspomnę tylko uznanie za pedagogię, jakiem obdarzyło gazeta brazylijska jednego z naszych Misyonarzy, a dawnego katechetę na Kleparzu. Jak dawniej u książąt, tak teraz przeważnie u swoich katechizmy doznają pieniężnego wsparcia. Ze szczególniejszą wdzięcznością błogosławią potomni katecheci założoną kasę katechizmową, która wielce się przyczynia do opędzenia kosztów na bi-

bliotekę, na nagrody i rozmaite zachęty dla dzieci. Dzieci, widząc tyle miłości ze strony Zgromadzenia, objawiającej się z okazyi pierwszej Komunii św. lub świąt Bożego Narodzenia, albo z powodu uroczystego zakończenia roku szkolnego, uważają za najmilszą rozrywkę spieszyć w niedziele i święta po południu na katechizm do Ks. Ks. Misyonarzy na Kleparz. Uczęszcza tej dziatwy, od 5-go roku życia i wyżej, do szczupłych lokalów kleparskich około 150 przeciętnie; były lata, że i 200 przychodziło.

Drugą, o wiele ważniejszą instytucyą, jest Sodalicya Maryańska. Wyrosła ona z katechizmów, na które uczęszczała wszelaka młodzież. Młodzież gimnazyalna wskutek gwałtownych, a nieraz szkodliwych prądów świata, potrzebowała jakiegoś silniejszego, moralnego oparcia, na które sam wykład prostych prawd katechizmowych nie wystarczał. Wiadomo też, że dziecko często stawia pytania, na które odpowiedzieć trzeba, a które mogą przerazić i najwytrawniejszego pedagoga, gdy objawiają to, co na nieuświadomione serce może działać demoralizująco. Ileż zaś zagadnień ciśnie się w umysł młodego gimnazyasty! Wobec tego trzeba go odsunąć od niedorosłej do niego dziatwy katechizmowej, a karmić go odpowiedniejszym pokarmem. Uczęszczali też na te nauki terminatorzy różnych zawodów, wogóle starsza młodzież, której nie należało łączyć z dziatwą nieletnią, by nie czuła się upokorzoną i nie zniechęcała do dobrej sprawy lub, co gorsza, źle nie podziałała na młodszych.

Nasuwało to trudności, ale Matka Najśw. pomyślała o opiece nad młodzieżą tego rodzaju, zalecając Sodalicyę „Dzieci Maryi“ i o szczególniejszem błogosławieństwie dla pracowników w tem dziele. Z tym tytułem „Dzieci Maryi“ Sodalicya młodzieży doroślejszej, od tak dawna u nas zaprowadzona, doznała jednak z biegiem czasu rozmaitych przeszkód. Szatan nie zaspał tak ważnej sprawy, bo porywano mu dusze, które na rozmaitych wyższych stanowiskach społecznych mogły być podatnemi jego narzędziami w rodzaju francuskich masonów, albo dać się pociągnąć w objęcia

socyalizmu. Wiedzieli o tych przeszkodach ci, co Sodalicyą się opiekowali, ale to ich nie zniechęcało, bo zbyt byli przekonani, że to dzieło zbożne zginąć nie może i to uczyło młodych bojowników wytrwałości, którą obecnie przyświecają. Wreszcie jednak stowarzyszenie upada. Wznowione atoli ostatniemi czasy, mimo nowych trudności zaczęło się rozwijać coraz więcej. Zostało założone w ściśle określonych granicach pod tytułem: „Sodalicya Maryańska dla uczniów szkół średnich pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia N. M. P. i św. Józefa“, na wiosnę 1904. roku. Ściśle zorganizowana i uwzględniająca potrzeby osobno wyższego i niższego gimnazyum, czy innych szkół, wzrasta tak szybko ta instytucya, że czerpie widocznie z błogosławieństwa i zasług, nagromadzonych przez poprzedników. Oto zwolna rozpoczęto pracę nad ustawami Sodalicyi, których dotychczas do tych warunków zastosowanych nie było. Ustawy te w ogólnym zarysie podano do zatwierdzenia J. Em. księcia kardynała krakowskiego i uzyskano je 8. listopada 1905 r. Aby zaś Sodalisi po wyjściu ze szkół średnich, udając się w różne strony naszego kraju, mogli wszędzie znaleźć przyjęcie w Sodalicyach, rozsianych dość licznie, postarano się o aggregacyę naszej Sodalicyi do rzymskiej „Prima primaria“. Dokument aggregacyi nosi datę 21. listopada 1905. r. — Kierownikiem czyli moderatorem jest zawsze jeden z księży Zgromadzenia. Do pomocy bierze sobie kleryków. W tym nowym okresie gromadzi nasza Sodalicya coraz więcej uczniów ze wszystkich pięciu gimnazyów krakowskich, z obydwu szkół realnych, ze szkoły wyższej handlowej, z seminaryum nauczycielskiego oraz ze szkół wydziałowych. Najwięcej jest gimnazyalistów, zwłaszcza z gimnazyum św. Jacka i Sobieskiego. Liczba ogólna zapisanych dotychczas przechodzi 400. Uczęszcza przeciętnie na zwykłe niedzielne zebrania około 80—100 członków. Uroczyste obchody Sodalicyi, jak przyjęcia i zakończenia roku, wielce się przyczyniają do pozyskania nowych członków. Jak w każdem podobnem stowarzyszeniu, tak i tu kierownictwo zostawione jest samej Sodalicyi, a tylko wpływ

moralny przez konferencye na zebraniach i opiekę zostawia sobie ks. Moderator wraz z pomocnikami. Zważywszy warunki, w jakich się Sodalicya obraca, trzeba przyznać, że robi się dla niej prawie ponad siły. Konieczna też kasa zawsze świeci prawie pustkami, a mimoto znajduje się grosz z dobroczynnych pochodzących rąk na opędzenie potrzeb, a głównie biblioteki. Szczupłe są lokale na tak wielką liczbę, a mimo to frekwencya zawsze wielka i regularna: coś widocznie pociągającego ma w sobie to dzieło, co nie da się wytłómaczyć tak prostą zachętą jak u dzieci, ale tu jawnie w szczególniejszy błogosławi sposób Matka Najśw., z czego dla Niej cześć, a dla opiekujących się Sodalicyą nowa otucha i nowy bodziec do szerzenia Jej czci. Temu zapałowi, zrodzonemu przez żywy udział w Sodalicyi Maryańskiej szkół średnich, zawdzięczać należy powstanie Sodalicyi w tym roku wśród seminarzystów.

Tak się przedstawia w ogólności historya naszego Seminaryum Internum wraz ze swojemi, jego duchowi odpowiadającemi, instytucyami, można zaś z niej wywnioskować, że jak nad niemi, tak nad całem Zgromadzeniem w Polsce spoczywa dziś szczególniejsze błogosławieństwo Boże, a jeśli od czasu do czasu zawieje wiatr przeciwny, to tylko na to, aby prędko zniknąć, a utorować drogę jaśniejszym promieniom powodzenia, którego jutrzenka przed 25-ciu zaświeciła laty.

Jan Ściskalski
ze Zgr. ks. ks. Misyonarzy.

KRONIKA.

Z PROWINCYI POLSKICH.

Kraków-Kleparz. W trzecim kwartale na pierwszem miejscu zanotować wypada rodzinną uroczystość, skromnie, w ścisłem kółku święconą, ale niemniej drogą. Minęło właśnie w dniu 15. sierpnia czterdzieści lat od chwili, w której ś. p. ks. Wizytator Soubieille w rok po swem do Polski przybyciu założył na Kleparzu Seminaryum Internum, nowicyat przyszłych Misyonarzy, podwalinę dla nowej prowincyi. We wrześniu zaś liczymy 25. rok od przejścia do Seminaryum pierwszych wychowanków założonego w r. 1878. Małego Seminaryum. Wypadało przypomnieć sobie te piękne chwile początkowe naszej prowincyi. Na miejsce obchodu wybrano Krzeszowice, gdzie wówczas bawili wszyscy klerycy na wypoczynku, a termin naznaczono na 17. sierpnia; w dniu tym zjechali prawie wszyscy Konfratrzy z trzech domów krakowskich, a nadto kilku miłych gości z prowincyi. O godzinie 8. zrana odprawił najstarszy z Jubilatów, ks. Superyor Ciopalski, uroczystą Mszę św., po której odśpiewano *Te Deum* na podziękowanie P. Bogu za tak liczne dobrodziejstwa w ubiegłych latach naszej prowincyi użyczone. Następnie urządzili klerycy występ muzyczno-deklamacyjno-wokalny. Wyszczególnić należy umieszczony w niniejszym zeszycie piękny odczyt, streszczający pokrótce ważniejsze daty z dziejów Seminaryum w ubiegłem czterdziestoleciu, oraz przecudną kantatę Massenet'a ku czci błog. Jana Gabryela, którego Seminaryum nasze czci jako swego wyłącznego Patrona. Obfity program występu wyczerpano częścią przed południem, resztę pod wieczór. Na finał oświetlenie werandy i ogrodu oraz

ognie sztuczne. Uczestnicy odjeżdżali pokrzepieni na duchu wspomnieniami dawnych dziejów i swoich lat seminaryjnych, z nową otuchą do dalszej mozolnej pracy.

Najwięcej otuchy tej potrzebowali trzej Konfratrzy, wybierający się właśnie w niebezpieczną drogę morską do Ameryki Północnej: ks. Józef Sowiński, przeznaczony na Superyora domu w New-Haven w miejsce ks. Głogowskiego, który się przeniósł do Filadelfii do nowo tworzącego się domu; ks. Marceli Słupiński, przeznaczony do Conshohoken, oraz ks. Józef Janowski do Derby. Serdecznie żegnani przez współbraci, odjechali wczesnym rankiem, 20. sierpnia, w stronę Tryestu, gdzie w tydzień potem, 27. sierpnia, wsiedli na okręt. Po długiej, uciążliwej żegludze stanęli w połowie września na wybrzeżach Nowego Świata, miejscu swego przeznaczenia.

Z końcem wakacyi opróżnił się Kleparz dość znacznie: dziewięciu kleryków, ukończywszy dwuletni nowicyat, przeniosło się na Stradom, gdzie po ukończeniu rekollekcyi, dnia 8. września, złożyli śluby św., a następnie zaczęli dalsze studya teologiczne: Konrad Tyżyński, Jan Ściskalski, Ludwik Pawełek, Ignacy Dudziak, Jakób Malik, Filip Bibrzycki, Stanisław Leśniowski, Michał Sadowski, Wiktor Kwapiński. Ostatni składał śluby św. 27. września. Ośmiu pierwszych zaś otrzymało dnia 6. października Mniejsze święcenia z rąk Najprzew. ks. Biskupa Nowaka. Z pozostałych na Kleparzu większa część przeszła na drugi rok seminaryum, jedenastu zaś złożyło 27. września śluby św.: Stanisław Piasecki, Leopold Petrzyk, Józef Studziński, Anicet Weiss, Jan Nędza, Stanisław Kalla, Jan Lorek, Jan Olszówka, Adam Piasecki, Jan Szulc, Jan Cepurski.

Dla pamięci zapisać też należy, że w tym roku pod koniec jesieni przypada 25. rocznica, jak w naszym kościółku zaczęto odprawiać rekollekcye ludowe. Dzieło to niezapomnianego ś. p. ks. Kowalika. Biedny lud wiejski i robotniczy zawsze spieszył nawet zdaleka do tej świątyni, by u stóp cudami słynącej Matki Boskiej z Lourdes szukać pociechy i ratunku, wylewać swoje łzy i żale, a przedewszystkiem

składać ze swych sumień ciężar przewinień przez generalną spowiedź św. Wśród najgorliwszych pracowników nad temi duszami był obok ś. p. ks. Wizytatora Soubieille'a ks. Antoni Kowalik. Rodem Słowak, urodzony w r. 1834, wstąpił do Zgromadzenia w Paryżu w r. 1856. Pierwsze kilkanaście lat kapłaństwa spędził na pracy w austryackiej prowincyi w Cilli, najstarszym domu tej prowincyi (założonym w roku 1852). Dzień prawie cały przebywał w konfesyonale w kościele pod wezwaniem św. Józefa, istniejącym od r. 1680., a w r. 1860 oddanym Ks. Ks. Misyonarzom. Tam otoczony był ustawicznie ludem wiejskim, tłumnie spieszącym do cudownego św. Józefa. Później uorganizował sobie tę pracę, urządzając wspólne rekollekcye ludowe. Dowiedziawszy się, że lud polski szczególniej podatny jest do tego rodzaju pracy, uprosił sobie pozwolenie O. Generała i pospieszył do Krakowa i tutaj od 17. lutego 1882. do 9. marca 1888. niezmordowanie pracował nad ludem. Poduczywszy się języka polskiego, przesiadywał znów w naszym kościółku, nieustannie spowiadając. A gdy pod jesień, w kilka zaledwie miesięcy po swym przyjeździe, zaprowadził rekollekcye ludowe, kościółek nasz zamienił się niejako w drugie cudowne Cilli. W czasie tych ćwiczeń wstępował też ks. Kowalik na ambonę. A nauki jego, to już nie kazania, tylko urywane zdania, króciuchne nawoływania do pokuty, żałosnym i płaczliwym wypowiadane głosem. Ale lud go rozumiał: szlochania nieutulone i ciżba przy konfesyonałach najlepszym na to dowodem. Dotąd z roku na rok zwiększała się liczba tych ćwiczeń i ich uczestników, a dzieło rozpoczęte trwa już całe lat dwadzieścia pięć. Twórca jego, ks. Kowalik, resztę dni swoich przeżył na zbożnej pracy w ukochanem Cilli i tam też poszedł do nieba po nagrodę 9. sierpnia 1902.

Trzeci jeszcze jubileusz, w tym czasie przypadający, zanotować możemy. Pierwszy odnosił się do wewnętrznego naszego rozwoju, kształcenia i wychowywania naszych członków Zgromadzenia, drugi dotyczy pracy nad biednymi, zwłaszcza wieśniakami, ulubionej misyi P. Jezusa. Trzeci od-

nosi się także do ukochanej przez Zbawiciela pracy nad dziateczkami. W styczniu 1908. r. przypada 25. rocznica, jak ks. Wizytator Kiedrowski zaczął wydawać *Roczniki Dziecięctwa P. Jezusa*. Stowarzyszenie to, tak błogie przynoszące owoce biednym dziateczkom pogańskim, a szczególniejszego rodzaju Apostołom, członkom „Dzieła Dziecięctwa" tyle przywilejów i łask duchownych, istnieje w Polsce od 35 lat. Zaprowadzone zrazu w Krakowie przez słynnego ks. Goliana w roku 1872., dostało się na prośbę naszych Konfratrów w ręce naszego Zgromadzenia, 1879. Początkowo zajmowali się niem ks. ks. Szczepański i Olszański. Ks. Wizytator Kiedrowski, objąwszy po nich jego kierownictwo, spostrzegł od razu, że koniecznem jest jakieś peryodyczne pisemko, redagowane w tonie i nastroju dla dzieci przystępnym i ponętnym, i zaczął wydawać kwartalne zeszyciki, r. 1883. Następcy jego w dyrekcyi Stowarzyszenia na całą Polskę, ks. Felicyan Bystrzonowski, ks. Jan Dihm, ks. Jan Rossmann, ks. Wizytator Słomiński, ks. Emanuel Dziewior, ks. Lucyan Lach, ks. Jan Rzymełka, oraz obecny Dyrektor ks. Jan Sosnowski, utrzymują wiernie tę tradycyę, a jak Stowarzyszenie coraz bardziej się rozszerza po obszarze całej Polski, a nawet wśród emigrantów w dalekiej Ameryce, tak *Roczniki* coraz bardziej się udoskonalają i wzrastają w liczbę abonentów.

Praca apostolska była w tym czasie obfita, jak zwykle. Zwykła grupa misyjna Konfratrów kleparskich, ks. ks. Rossmann, Truszkowski i Szymbor, przy pomocy Konfratrów z prowincyi, dała w tym czasie trzy misye: w Regulicach (14—18. lipca), w Polanie w dyecezyi przemyskiej (1—9. sierpnia), w Wyszkowie w dyecezyi płockiej (2—9. września); trzech innych Konfratrów, ks. Superyor Konieczny z Witkowa, ks. Odrobina i ks. Steinsdorfer odprawili dwie krótkie misye w Płokach i w Kościelcu w dyecezyi krakowskiej (7—20. września). Dawano też rekollekcye, n. p. dla Tercyarzy w Poznaniu (ks. Truszkowski, z końcem lipca). Coraz częściej zapraszają nas także z rekollekcyami czy Najprzew. ks. ks. Biskupi, czy też przełożeni zakonów. I tak były rekollekcye

dla OO. Augustyanów od 30. czerwca do 9. lipca, dla księży świeckich we Lwowie dwukrotnie, 19—23. sierpnia, oraz 23—27. września (ks. Superyor Lewandowski), dla księży dyecezyi krakowskiej w Kętach, 23—26. września (ks. Wizytator Słomiński). Nadto dawał ks. Superyor Lewandowski rekollekcye klerykom Seminaryum w Płocku, 8—13. września. Ostatnia ta praca szczególniej dla nas miła, bo Seminaryum płockie było niegdyś pod zarządem Konfratrów z prowincyi warszawskiej, 1710—1864. Było to jedno z dwudziestu Seminaryów, które za czasów Rzeczypospolitej były w ręku naszych współbraci.



Ś. p. ks. Kajetan Sakowski.

Po półtrzecia roku przerwy śmierć zrobiła znów pośród nas bolesny wyłom. Z tak bardzo nielicznego już grona starych pracowników zabrała znagła jednego, który w doświadczeniu kapłańskiem, w znajomości kapłańskiego życia i jego potrzeb był niezrównanym mistrzem, w odrodzeniu kapłańskiego ducha zasłużonym pracownikiem, a dla młodych niedościgłym prawie wzorem pracy, poczucia obowiązku, sumienności i wytrwałości. Głos powszechny znających ks. Sakowskiego oddawał mu zawsze to świadectwo. Należąc do tych, którzy nie w samem zaraniu dnia życia weszli na pole pracy naszego powołania, lecz dobrze już około południa, zdwojoną gorliwością i wytężeniem sił czas czynu i zasługi nad zwykłą miarę przedłużył i stanął w pierwszym szeregu między tymi, co od świtu pracowali. Lata jego powołania przypadły na okres, kiedy polska prowincya Zgromadzenia szczególnie szybko się rozwijała, rosła liczba powołań, ale też rosła i potrzeba mądrych przewodników, którzyby doświadczeniem i wytrawnym sądem zaprawiali młodych do prac swego zawodu. Była to także epoka niezwykle ważna dla Kościoła w Galicyi, jeszcze nie zamknięta, na której dalszy rozwój obecnie patrzymy. Długo uśpiony duch religijny bądź jako reakcya przeciw rosnącej niewierze i bezbożności, bądź też pod wpływem prądów przenikających już wcześniej społeczeństwa katolickie na zachodzie, począł się i u nas budzić a idące szerokim szlakiem od stolicy Piotrowej ożywcze tchnienie, silnie ten nowy ruch podniecało. Episkopat odro-

dzony przeważnie nowymi siłami, zrozumiał wcześnie znaczenie i potrzeby chwili i pierwszym niemal jego krokiem w odpowiedzi na nie *była* troska, aby zapewnić swoim dyecezyom dobrych kapłanów. Z natury rzeczy miały służyć do tego przedewszystkiem seminarya, które wówczas niestety nie odpowiadały zgoła swojemu przeznaczeniu. Wszczął się więc szczęśliwy proces ich odrodzenia, o którym dziś można powiedzieć, że jest już ukończonym (choć nie chcemy przez to utrzymywać, żeby z biegiem lat poziom seminaryów nie wymagał coraz wyższego wzniesienia), proces, który odbył się cicho, jak wiele wewnętrznych spraw Kościoła, ale musiał mieć, jak każda prawdziwa, głęboko sięgająca reforma, swoje wielkie trudności, zapotrzebował ludzi niezwykłych a był sam faktem dla kościoła bardzo doniosłego znaczenia. Przeobraził on seminarya z zakładów równających się bursom w zakłady ściśle wychowawcze dla celów kapłańskich i tak je wewnętrznie ustroił, aby przez swoje kierownictwo i urządzenia mogły prawdziwie wyrabiać młodego człowieka, dopełnić w przychodzących nieraz z otoczenia na pół spoganizowanego chrześcijańskiego ukształcenia umysłu i serca, zmusić ich do wewnętrznej pracy nad sobą i ułatwić im więcej, albo mniej, ale zawsze dosyć, odtworzenie sobie ideału kapłańskiego, umiłowanie go i szczere do niego dążenie.

Jeżeliśmy w tym procesie odrodzenia seminaryów, mimo szczupłej liczby starszych kapłanów i mimo w zawiązku dopiero będącego rozwoju naszej prowincyi, mogli wziąć znaczący udział i oddać dyecezyom w tej ważnej sprawie a tak odpowiednio do naszego powołania pewne usługi, zawdzięczamy to w największej mierze ś. p. ks. Sakowskiemu. W dwóch dyecezyach wprowadził on seminarya na nowe tory, odgrywając w ich reformie przodującą rolę; przez lat 18 wychował szeregi kapłanów, którzy zwolna wnosili na pole pracy i powołania kapłańskiego nowe pojęcia i aspiracye a do nowych czasów, jak i do nowych walk, jakie ich czekały, o wiele lepiej, niż ich poprzednicy, byli przygotowani. Pośród nas był nauczycielem w trudnej a wzniosłej sztuce wychowania

sług Bożych, wprowadzał młodszych w tajniki swego doświadczenia, odświeżył i podniósł wysoko tradycye przekazane nam tak gorąco przez św. Wincentego pracy około uświęcenia kapłanów i spotęgowania ducha kapłańskiego. Zasłużył zaiste w pełnej mierze, aby postać jego, choć już nieobecnego między nami, pozostała na długie lata głośnem dla nas memento, żeśmy zawsze i wszędzie, gdzie i o ile tylko możemy, powinni się przyczyniać do podnoszenia siebie i drugich na wyżyny ideału kapłańskiego. Jego pamięci poświęcamy niniejsze wspomnienie.

Urodził się ks. Sakowski roku 1840 w Sokalu. Wraz z młodszym bratem, z którym łączyła go szczególnie serdeczna miłość, a który jako lekarz w Horodence bardzo młodo padł ofiarą swojego zawodu, osierocając rodzinę, wychował się pod energiczną ręką ojcowską. Powaga i męskość miały w wybitnym stopniu cechować jego ojca. Chłopczyna rósł w dobrych usposobieniach duszy, a zwłaszcza patryotycznie gorąco był nastrojony. Brzozy, graby i leszczyna, nieco już dziś podstarzałe na stokach wysokiego zamku we Lwowie, mogłyby nam opowiedzieć, jak wiele chwil przepędzał wśród ich zarośli jako gimnazyasta, gdzie wraz z zaufanymi kolegami szukał bezpiecznego schronienia, aby czytywać polskie książki. Niezwykła zaś radość zapanowała wśród tego młodego grona, kiedy dostawszy od bogatszego kolegi wielką wówczas rzadkość ściganą przez policyę, „Dziady“ Mickiewicza, przepisane własną ręką, przyniósł na tę biesiadę literacką. Po ukończeniu gimnazyum wstąpił do seminaryum duchownego we Lwowie i odbył ze wzorowymi postępami tak zw. wówczas dwuletni kurs filozofii i 4 lata teologii. Należał do najpoważniejszego kółka alumnów, którzy uczyli się najczęściej razem, a w chwilach wolnych i późnymi wieczorami z wielkiem zamiłowaniem oddawali się studyom literatury.

Przy końcu sierpnia 1864 r. otrzymał święcenia kapłańskie, poczem rozpoczął dziesięcioletnią pracę wikaryusza kolejno w Husiatynie, Trembowli i Żółkwi. W Husiatynie pozostawał tylko pół roku, ale z tych krótkich, a jak mawiał,

najuboższych dni, bo nim nadeszła pierwsza miesięczna pensya w kwocie 17 złr., nie było i świecy za co kupić, wyniósł gorliwy kapłan rzewne na całe życie wspomnienie. Po drugiej stronie Zbruczu pod zaborem rosyjskim leży miasteczko tegoż samego imienia, lub raczej druga połowa Husiatyna, z którą z konieczności ciągła a łatwa, bo tylko przez most, była komunikacya. Otóż tędy pod różnymi pozorami przechodziło wówczas bardzo wielu dawnych unitów, co chociaż jeszcze po rozbiorze Polski zostali łaskawie na schizmę nawróceni, lub jako dzieci rzekomo nawróconych na schizmę wpisani, czuli jednak potrzebę u katolickiego kapłana się wyspowiadać i w katolickim kościele duszę swoją chlebem żywota zasilić. Tych prawdziwych wyznawców przyjmował ks. Sakowski z wielką zawsze pociechą serca a nie potrzeba dodawać, z jaką gotowością.

W Trembowli znalazł o wiele trudniejsze dla siebie warunki. Parafia była ogromna, bo chociaż z ówczesnej utworzono później już trzy odrębne, liczy dziś przeszło 10.000 dusz, proboszcz nie zajmował się niczem poza kancelaryą, do tego był przykry, drugi wikaryusz słaby, cała więc praca spadała na niego, a to tem więcej, że się od niej nie uchylał. Gdy nadszedł czas wielkanocny, trzeba było dziennie do 100 a niekiedy i znacznie więcej czekających do wieczora wyspowiadać. Po pięciu latach, czując się wyczerpanym, prosił o przeniesienie i otrzymał posadę w Żółkwi. I tu jednak z powodu, że proboszcz był wiekowy, ciężar duszpasterstwa spadał przeważnie na jego pomocnika. Ale że parafia była nie tak rozległa i liczna, a warunki ówczesne w Żółkwi złożyły się bardzo korzystnie, otworzyło się dla ks. Sakowskiego nowe jeszcze pole pracy obywatelskiej, do której przynosił wiele uzdolnienia. Był wtedy starostą w Żółkwi hr. Kazimierz Badeni, późniejszy namiestnik i prezydent ministrów. Młody jeszcze wówczas, a jak zawsze przedsiębiorczy i sprężysty w administracyi urzędnik, postanowił przeciw przewadze żydowskiej w radzie miejskiej wprowadzić do niej część inteligencyi miejscowej, a między innymi i ks. Sakowskiego. Fakt

okazał się bardzo szczęśliwy, gdyż istotnie rozpoczął się wtedy okres rządów miejskich obfity w najlepsze zarządzenia i uchwały, dość wspomnieć, że w tym czasie sprowadziło miasto Siostry Felicyanki i oddało im szkołę, która do dziś pod ich kierunkiem jako wydziałowa bardzo wiele robi dobrego, zawiązała się straż ogniowa, uratowano od upadku szpital miejski. W tej ostatniej zwłaszcza sprawie oddał ks. Sakowski miastu i ubogim rzetelną przysługę. Przez złą administracyę szpital subwencyonowany przez kraj doszedł do zupełnej ruiny finansowej, bo ciężące na nim długi z roku na rok coraz więcej wzrastały. Podniosły się głosy, aby szpital zwinąć i w ten sposób choć część pierwotnej fundacyi uratować. Ks. Sakowski oparł się temu zamiarowi, a widząc, że nie można inaczej sprawy rozwiązać, przyjął na siebie dozór nad administracyą z obowiązkiem uregulowania interesów szpitala. Zajął się sam sprowadzaniem potrzebnych dla szpitala dostaw, oszczędzał i rachował, za co miał tę pociechę, że go ubodzy błogosławili, a zakład lepiej prowadzony doczekał się później ukrajowienia. W czasie czteroletniego pobytu w Żółkwi czynny, a hojnie uposażony w towarzyskie przymioty ks. wikary, zawiązał liczne stosunki ściślejszej znajomości, jak z hr. Badenim, z rodziną Starzyńskich, rodzicami dzisiejszego wiceprezydenta Izby i innymi w okolicy obywatelskimi domami, wśród których zażywał powagi i zaufania. Miał przyobiecanych kilka prezent na probostwa, ale że otworzyło się najpierw w Mostach wielkich, miasteczku powiatu żółkiewskiego, zachęcony więc przez kolatora podał się i otrzymał je w r. 1874. Instytucya odbyła się 24 marca. Parafia była niewielka, złożona z 2.000 dusz, w miasteczku stały trzy szwadrony konnicy, był sąd powiatowy. Nowemu proboszczowi, jak to często bywało w ostatnich dziesiątkach lat ubiegłych, trzeba było zacząć pracę od postarania się o własny dach, gdyż plebanię znalazł zniszczoną, podłogi, drzwi i okna zbutwiałe i niemożliwe do zamieszkania. Odrestaurowawszy więc wszystko z gruntu, umeblował się skromnie, ale gustownie, co tak jednak wydawało się niezwykle piękne parafianom nie przy-

wykłym widzieć na plebanii podobnych porządków, iż w chwilach, gdy nie było w domu proboszcza, przychodzili, aby się ucieszyć widokiem jego mieszkania i mówili z pewną dumą, że to może i w całej okolicy nie ma drugiej takiej plebanii. Pole należące do plebanii nowy ks. proboszcz wydzierżawił, gospodarstwa żadnego nie prowadził, utrzymywał jedynie przy plebanii piękny kwiatowy ogród, który stanowił jego najmilszą rozrywkę. Kuchni w domu nie miał, co przychodziło mu o tyle łatwiej, że w miasteczku była dobrze prowadzona restauracya. Na probostwie mieszkał jedynie ks. proboszcz, chłopak odźwierny do posługi i wielki pies, przywiązany wiernie do swego pana. W duszpasterstwie wprowadził ks. Sakowski w swej parafii wiele urządzeń i zbawiennych praktyk, o których w owym czasie mało jeszcze gdzie myślano. Założył bractwo Różańca, wprowadził zwyczaj, że kiedy w jakiej wiosce jego parafii ogień zniszczył chałupnika lub gospodarza, ks. proboszcz ogłaszał o tym wypadku z ambony, a każdy, czem mógł, choćby snopkiem słomy przychodził pogorzelcom w pomoc. Powoli wciągały się i dwory w tą praktykę, co razem stanowiło dla dotkniętych klęską wielką ulgę. Wiedząc, że odrodzenie parafii może się dopiero rozpocząć z nowem pokoleniem i że zasiewem społeczeństwa chrześcijańskiego jest młodzież, łożył w niej najwięcej starania około wpojenia katechizmu w umysły i serca dziatwy. Do pierwszej spowiedzi i Komunii św. przygotował ją z wielkiem poświęceniem i zapałem. Jeszcze będąc w Żółkwi, gdy poschodziły się z odległych wiosek na katechizm przed 1-szą Komunią św. dzieci nie umiejące często czytać i nie znające głównych prawd wiary, prowadził je najpierw przed wielki ołtarz do cudownej a przepięknej figury ukrzyżowanego Zbawiciela i tam rozpoczynał swoją katechizacyę od najprostszych pytań: Któż na tym krzyżu wisi i dlaczego? Potem przechodził całą najświętszą postać Pana Jezusa tak wyrazistą w tym ołtarzu od twarzy i głowy ukoronowanej do nóg gwoździami przebitych, opisując szczegóły męki Jego, a niebawem z ócz dziatek spływały na stopnie ołtarza w kroplach

łez ich opanowanie dla Boga serca. Nauka już była odtąd łatwiejsza. Dzień pierwszej Komunii św. stawał się świętem dla całej parafii. W wilię dnia zamożniejsi gospodarze zwozili z odleglejszych wiosek dzieci, które po spowiedzi nocowały w zabudowaniach plebańskich, aby rano bez trudności mógł je ks. proboszcz przygotować modlitwą z niemi odprawianą i ostatnią nauką, poczem procesyonalnie prowadził je do kościoła. Rodzice wraz z rodzeństwem uradowani i zbudowani, że pasterz ich tak się gorliwie zajmuje ich dziećmi, zbiegali zewsząd świątecznie przystrojeni i wypełniali kościół, patrząc z przejęciem pobożności na rozpromienione oblicza swych synków i córeczek. Uroczystość kończyła się na plebanii śniadaniem i pamiątkami, jakie ks. proboszcz rozdawał.

Pracując z wylaniem dla dziatwy, nie uchylał się i od starszych. Inteligencya miasteczka, mianowicie wojskowość i obywatelstwo z okolicy skupiało się chętnie koło plebanii, a proboszcz bez uszczerbku dla swej powagi i czasu umiał najlepsze z nimi utrzymywać stosunki. Korzystała z tego parafia. Jeden z poruczników, artysta-malarz, wymalował do ołtarza obraz św. Józefa, żołnierze znowu wiedząc, że ks. proboszcz używa wpływu u ich przełożonych, strzegli się, aby żadnych skarg ze strony ludności na nich nie było.

Obok zajęć duszpasterstwa proboszcz w Mostach, podobnie jak wikary w Żółkwi, znalazł czas i ochotę także do obywatelskiej służby. Wybrany na członka Rady powiatowej, wykonywał z ramienia wydziału powiatowego nadzór nad budową prowadzonego gościńca z Mostów do Krystynopola. Pięć lat gorliwej pracy zjednały ks. Sakowskiemu naokół szacunek i uznanie, oraz silnie przywiązały do niego serca parafian. Że było to przywiązanie szczere, może służyć za dowód, iż później przez wiele lat, gdy zostawał we Lwowie, dawni jego parafianie często go odwiedzali u św. Kazimierza, a jeszcze w 27 lat po opuszczeniu parafii, rok przed śmiercią, gdy z powiatu żółkiewskiego przybyła pielgrzymka do Krakowa, uczestnicy jej z Mostów odszukali swego dawnego proboszcza na Stradomiu i przyszli mu złożyć swe uszanowanie.



Ś. p. ks. rektor Sakowski.

Kiedy jednak tak dobrze było z nim jego parafianom i wiele składało się warunków, aby i jemu z nimi było dobrze, w duszy tego kapłana łaska budziła nowe, wyższe jeszcze pragnienia — ofiary, uświęcenia się, udoskonalenia — przez wyrzeczenie. W jego podręcznej biblioteczce znaleźliśmy piękne dziełko w języku francuskim, opatrzone aprobatą i pochwałą wielu biskupów, które widocznie nie tak czytał, jak raczej studyował, bo nad swój zwyczaj poczynił w niem liczne podkreślenia, notatki i uwagi. Książka ta, napisana przez ks. Giraud, pod tytułem: „De l'esprit et de la vie de sacrifice dans l'etat religieux", maluje, jak nam się zdaje, dobrze jego duszę i tłómaczy najlepiej, dlaczego po tak pomyślnej pracy na parafii wbrew najgorętszym prośbom tych wielu, co go w Mostach szanowali i kochali, wbrew uznaniu, jakie znajdował u swej władzy i szacunkowi, jakim go zawsze otaczał ks. arcybiskup Morawski, opuszcza ten posterunek, aby już w pełni męskiego wieku rozpoczynać nowy zawód Misyonarza. Ofiara, to najmilszy temat jego nauk. Gdy mówił o jej potrzebie i istocie, stawał się najwymowniejszym, w kazaniach wracał często do przedmiotów o ofierze wogóle, o ofierze na Górze Kalwaryi i o ofierze Mszy św., a w tematach, jakie corocznie klerycy brali do opracowania, nigdy tego nie mogło brakować, żądał zaś, aby go gruntownie i dogmatycznie obrabiano. Dlatego po wielu latach z nim pożycia nie pomylimy się twierdząc, że jego powołanie poczęło się od ducha ofiary, który go prowadził do wyrzeczenia się, do zamiłowania życia pokuty i wyniszczenia w warunkach więcej sprzyjających, niż je miał u siebie.

Ale z jakiejkolwiek strony łaska przemawiała do niego i jakkolwiek uświadamiała się w jego duszy, dość, że owocem jej było stanowcze już postanowienie, jakie powziął, opuszczenie parafii i wejścia na łono jakiegoś zgromadzenia duchownego, a tylko się jeszcze wahał, dokąd się zwrócić. Opatrzność użyła następującej okoliczności, aby skierować jego kroki do naszego Zgromadzenia. W archidyecezyi lwowskiej odprawiali wówczas z wielkim pożytkiem misye przew. ks. Kie-

drowski i ś. p. ks. Bąkowski, a dopomagał im któryś z młodszych konfratrów. Proboszcz z Mostów poznał ich już w jednej z okolicznych parafij, przypatrzył się ich pracy, która nadzwyczaj przypadła do jego upodobań i pragnień i w chwili, gdy już robił starania, aby się zapewnić, czy może być przyjęty do Zgromadzenia, uprosił tych misyonarzy o misye dla swej parafii. Zetknięcie bliższe rozwiało resztę wątpliwości, a urok, jaki swoją płomienną duszą i pracą rozlewał naokół ks. Kiedrowski, wywarł i na ks. Sakowskim wielki wpływ, o czem nieraz w późniejszem życiu wspominał. Pozostało już tylko ostatni krok uczynić, odprawić rekollekcye, które też odbył w Starej wsi, pod kierunkiem swego kolegi z ławki szkolnej, dzisiejszego prowincyała O. O. Jezuitów, ks. Baudisa, poczem utwierdzony w swem postanowieniu powrócił, aby wnieść rezygnacyę z probostwa. W lipcu 1879 r. żegnany z żalem przez swą parafię, zarówno inteligencyę z miasteczka, obywatelstwo jaki lud, wyjechał na Kraków do domu centralnego w Paryżu, aby tam odprawić seminaryum. Po dopełnieniu większego aktu wyrzeczenia, nowe życie wymagało wielu drobnych ofiar z codziennych nawyknień i przyzwyczajeń. Pierwszą, jak w żartach wspominał, złożył w przeddzień przybycia do Paryża, w wilię swego Patrona św. Kajetana, kiedy wyjeżdżając z Kolonii, sięgnął po raz ostatni po cygaro, a etui, które już nie miało oddawać usługi, wyrzucił przez okno pociągu dla przygodnego nabywcy.

W seminaryum głębokie wrażenie wywarły na nim konferencye i listy św. Wincentego, oraz jego życie, w których rozczytując się z zamiłowaniem, przejmował się podziwem i uwielbieniem dla ducha wielkiego apostoła czynu. Odtąd też z wiernością i pietyzmem będzie on szukał w tej bogatej skarbnicy normy i wskazówek, czy to w pracach więzienia i seminaryum, czy dla swych nauk lub w spełnianiu urzędu superyora, dyrektora Sióstr i prowincyonalnego doradcy.

Pod ożywczem tchnieniem tego ducha przejęty nowym zapałem gorliwości, powraca następnego roku po uroczystości Przeniesienia Relikwii do kraju, gdzie Opatrzność przygoto-

wała mu na początek pracę w więzieniu, szczególnie drogą dla każdego misyonarza, bo wszakże to wśród niej potęga miłości św. Wincentego może w największym blasku wystąpiła. Został mianowany kapelanem w więzieniu Brygidek we Lwowie. Znajomi przybywając z Mostów mówili niekiedy z lekkim przekąsem: Ks. Proboszczu, nie chciałeś mieć dobrych parafian za owieczki, masz teraz złodziei; ale ten godny syn św. Wincentego dlatego właśnie, iż jak powtarzał, tyle nędzy ludzkiej tam znalazł i poznał, że trudno sobie to może wyobrazić, kto tego nie dotknął, oddał się z całą właściwą sobie sumiennością temu nowemu, niezwyczajnemu duszpasterstwu. Wprowadził i tutaj Bractwo Różańca, z czego zbierał pocieszające owoce, bo kiedy nadeszła niedziela, z takim zapałem jego parafianie śpiewali Różaniec, iż można było na chwilę zapomnieć, że się jest między samymi przestępcami. Doświadczywszy, że znaczna część więźniów znajduje się po wyjściu w trudnem położeniu, nie mając dla siebie żadnego punktu oparcia i że często brak zajęcia i utrzymania bywa powodem ich powtórnego upadku, zakrzątał się około założenia stowarzyszenia „Opieki nad uwolnionymi więźniami“, do którego weszli ludzie wpływowi, a które dziś rozporządza znacznym kapitałem. Ale największą może okazał cnotę, że się w tej pracy poniekąd niewdzięcznej, żadnymi nie zniechęcał zawodami, chociaż było ich aż nadto wiele. Oto jeden tylko z wielu przykładów: Wychodził z więzienia po odsiedzeniu dłuższej kary za kradzieże więzień z zawodu szewc. Ks. Sakowski napróżno wysilał całą swoją gorliwość i wymowę, aby go skłonić do spowiedzi i przyrzeczenia, że zaprzestanie swego rzemiosła złodziejskiego, nie miał on do tego żadnej ochoty. Po kilku przecież dniach zgłasza się sam dobrowolnie do domu św. Kazimierza i prosi o spowiedź, mówiąc, że słowa Ojca duchownego brzmią mu ciągle w duszy i dlatego postanowił już życie odmienić a teraz chce się dobrze wyspowiadać. Po spowiedzi ks. Sakowski polecił Bratu, aby zakupił dla niego skóry i narzędzi potrzebnych, postarał się o warsztat i stanęło na tem, że miał wyrabiać obuwie,

a ks. Sakowski przyjął na siebie troskę o zbyt jego produktów. Cóż kiedy nie upłynął tydzień, przychodzi szewc i mówi: Ks. Dobrodzieju, jużem wszystko sprzedał i dziwię się, że się też ksiądz chce poświęcać dla złodziei. Namiętność złodziejska jest tak wielka, że złodziej prawdziwy nigdy swego rzemiosła nie porzuci. A jednak i w tych duszach praca i poświęcenie dla nich znalazły oddźwięk uznania i wdzięczności, bo kiedy ks. Sakowski wyjechał w Poznańskie, aby jako dyrektor Sióstr udzielać rekollekcyi, więźniowie sądząc, że już niema wrócić, złożyli się na Mszę św. w tej intencyi, by uprosić powrót swego dobrego ks. kapelana.

Nadeszła wreszcie epoka w życiu tego gorliwego misyonarza najdłuższa i najbogatsza w zasługi, jego prac około wychowania kleru. Ksiądz arcybiskup Morawski szukając dla swego seminaryum spirytualnego, prosił ks. wizytatora Soubieille, aby tę posadę mógł objąć ks. Sakowski, jakoż w grudniu 1883 r. rozpoczął w niem swoje kierownictwo duchowne. Seminaryum lwowskie było wówczas w tym mniej więcej stanie, w jakim wszystkie prawie seminarya galicyjskie, gdzie naleciałości czasów i ducha józefińskiego swobodnie jeszcze panowały, a zaledwie słabe tu i ówdzie czyniono próby, by się z nich otrząsnąć. Takie początki odmiany na lepsze starał się wprowadzić już poprzednik ks. Sakowskiego, Najprzew. ks. arcybiskup Weber, który jednak jako młody wówczas jeszcze ksiądz znajdował w tem usiłowaniu trudności nieraz niezależne od siebie. Największym brakiem tych seminaryów było, że nie dawały alumnom rzeczywistego kierownictwa duchownego, nie miały w swym planie i urządzeniu systematycznej pracy obliczonej na wyrobienie w klerykach kapłana według myśli Bożej, człowieka duchowego, bodaj dobrego chrześcijanina. Byli wprawdzie przełożeni, był t. zw. ojciec duchowny, ale rola ich ograniczała się bądź do dozoru, bądź, nawet kiedy lepiej byli dobrani, do podania jedynie sporadycznie w formie nauk czy medytacyi tego lub owego pokarmu duchowego, wyrwanego z całokształtu duchownego życia lub obowiązków seminarzysty, co zaiste nie było do-

stateczne, aby wywrzeć pewien nacisk na mniej ochotnych, dopomódz ochotniejszym do przebycia długiej drogi wewnętrznego wyrobienia i uświęcenia, a choćby sprostowania wielu pojęć dalekich od zasad ewangelii, i dopełnienia w sobie braków wychowania chrześcijańskiego. Można powiedzieć, że sumienie, wola, serce i umysł alumnów leżały pod względem duchownym odłogiem, bo seminarya nie stały na tej wyżynie, aby je do pracy zaprawić i w niej nimi kierować. Za tem szło fałszywe stanowisko kleryków do seminaryum i traktowanie go nie jako zakładu wprawdzie w wyższem pojęciu ku celom kapłańskim, jednak wychowawczego, ale jako bursy swobodniej lub mniej swobodnie urządzonej. O tę swobodę toczyła się cicha, ale ciągła walka wszystkich i każdego z osobna. Ci co wychodzili z seminaryów w tych warunkach, zawdzięczali, co mieli w sobie dobrego, albo swemu otoczeniu chrześcijańskiemu, wśród jakiego wyrośli, albo wyjątkowo szczęśliwym okolicznościom. Ale z czasem takiego dobrego otoczenia w społeczeństwie nurtowanem niewiarą i obojętnością było coraz mniej, a do seminaryum coraz częściej przychodzili kandydaci, którzy w powołaniu kapłańskiem nie widzieli nic innego prócz zawodu dającego utrzymanie, a z pojęć chrześcijańskich zaledwo okruchy ze szkół przynosili. Niezrozumienie życia chrześcijańskiego było w nich uderzające, stąd zupełna niezdolność, aby i z tych nielicznych sposobności, jakie w seminaryum znajdowali do wyrobienia siebie, mogli korzystać.

Na te to właśnie najgorsze lata przyszedł ks. Sakowski, na lata obniżenia się powołań kapłańskich zarówno pod względem materyału jak ilości, tak, że musiano we Lwowie począć przyjmować kandydatów bez egzaminów maturycznych, a niebawem połowa alumnów tego egzaminu nie miała. Ciesząc się zupełnem zaufaniem ks. arcybiskupa Morawskiego, a u ówczesnego rektora ks. kanonika Monasterskiego, mawiającego: „Wy róbcie, ja się na tem nie rozumiem, będę się tylko modlił“, znajdując wszechstronne poparcie, wziął się od razu, choć zwolna, do wprowadzenia nowego porządku

rzeczy. Przynosił ze sobą wiele przymiotów i darów ułatwiających mu tę pracę: wybitne zdolności, niejednostronne, umysł wnikający zawsze w jądro rzeczy, charakter równomierny, a jeśli z przewagą na jaką stronę, to tylko na korzyść rozumu, w woli energię i siłę niezwykłą do przeprowadzania konsekwencyi raz powziętych postanowień, uczucie niewidoczne na pozór, ale w głębi silne choć męskie, duszę, jakeśmy widzieli, podatną pod działanie łaski i serce ku ideałom obrócone, wreszcie znajomość życia duchownego nauką i własnem doświadczeniem nabytą, doświadczenie kapłańskie z wielu prac wyniesione, a do tego biegłość słowa i silne zdrowie. Miał słowem choć w małej postawie niezwykłą duszę. Do tej charakterystyki jedno dodamy, aby była zupełną, odznaczał go pewien pessymizm w sądzie, a w słowie gryzący dowcip, co niekiedy wraźliwszych, lub nie znających go bliżej, do niego zrażało.

Pierwszą rzeczą, na której przeprowadzenie wpływał, był większy rygoryzm w zachowaniu ustaw seminaryum, oraz wprowadzenie niektórych nowych.

Czuwał, aby było utrudnione alumnom uczęszczanie do miasta z odwiedzinami do znajomych i krewnych. Za swego rektorstwa w seminaryum krakowskiem przyjął za normę, że tylko raz na miesiąc każdy alumn mógł otrzymać licencyę wychodzenia na miasto w towarzystwie drugiego, zniósł doszczętnie zwyczaj wyjazdów na Święta Bożego Narodzenia, Wielkanocne i ferye mniejsze, a nawet przeprowadził mimo silnej opozycyi, że alumni wycofali się zupełnie ze stowarzyszeń akademickich. Czynił to dlatego, że uważał za potrzebne, by alumn oderwał się na czas seminaryum od otoczenia, z którego wyszedł, aby z tem większem spokojem i skutkiem oddać się mógł tej przeobrażającej pracy, jaka go tam czekała. Przestrzegał również surowo, aby praca naukowa odbywała się w milczeniu i powadze, przyczynił się do wprowadzenia ścisłego porządku dnia, a już szczególniej czuwał, by wszyscy brali udział w ćwiczeniach pobożnych.

Aby zaś rygoryzm ustaw i życia w seminaryum oprzeć nie tyle na dozorze, ile raczej na współpracownictwie sumienia alumnów, jął ich przez cały rok pierwszy teologii w codziennych konferencyach wieczornych, zamiast czytania duchownego, zapoznawać z celem, naturą, urządzeniami i praktykami tej instytucyi, jaką jest seminaryum. Po wstępnych, ogólnych wiadomościach, odnoszących się do powołania, oraz do zadania i godności stanu kapłańskiego, przechodził po kolei cały porządek dnia i obowiązki kleryków; uczył jak alumn ma wstawać i czynić z powagą znak krzyża św., jak się modlić i medytować, jak czynić rachunek sumienia, gruntownemu i szczegółowemu zapoznaniu z ofiarą Mszy św. poświęcał przeszło miesiąc, a dalej jak się uczyć, jak obcować z drugimi, jak swej godności kleryka szanować, jak jeść i odpoczywać. Słowem wszystko, co wypełnia życie alumnów, wchodziło w te pogadanki duchowne, które z siłą słowa, z ciepłem, z ogromnym darem obserwacyi, z akcentem na stronę sumienia i godności osobistej wypowiedziane z repetycyami tego, co było mówione poprzednio, stanowiły dla alumnów I. roku codzienną duchową biesiadę, przy której prostowały się fałszywe sądy, rozjaśniał coraz więcej widnokrąg nowego życia, a nastrój ich wewnętrzny podnosił się stopniowo do wyżyny ich powołania. Resztę czasu w tych konferencyach do końca roku poświęcał na omówienie głównych zasad życia chrześcijańskiego. Z ascetyką w ścisłem znaczeniu zapoznawał alumnów w konferencyach tygodniowych, miewanych do wszystkich lat, oraz w przedmiotach medytacyi z nimi odprawianej.

Rozumiał dalej ks. Sakowski, że seminaryum ma być czasem przepływu obfitych łask Bożych przez dusze kleryków, czasem ćwiczenia się w duchowej szermierce z łaską, pokonywania z jej pomocą złych skłonności natury, a zaszczepiania dobrych, dlatego powinno ono w obfitej mierze otworzyć dla nich źródła jej błogiego działania i dać im pełną sposobność wykonywania zalecenia apostoła: Ćwicz się ku pobożności, albowiem cielesne ćwiczenie do mała jest poży-

teczne, lecz pobożność do wszystkiego jest pożyteczna. Dawne seminarya i pod tym względem miały wielkie braki. Nie znały one wcale tej pierwszej praktyki w wewnętrznej pracy nad sobą, by czynić często przegląd swoich postępów w cnocie, swoich zwycięstw nad złą skłonnością; nie umiały wpoić w przyszłych kapłanów potrzeby bliższego związku duszy z Najśw. Sakramentem i wskazać im, ile siły i dźwigni leży dla kapłana w zbliżeniu do eucharystycznego życia Jezusa. W murach seminaryum podobnie jak wśród społeczeństwa wiał pewien chłód dla Eucharystyi, były przecież takie, gdzie w całem zabudowaniu wraz z kaplicą napróżnobyś szukał przechowywanej Tajemnicy Ołtarza. Spowiedź i Komunia św. częsta nie były w użyciu, czytania duchownego albo wcale nie było, albo w małej tylko dozie. Ks. Sakowski począł stopniowo usuwać te braki, wprowadził codzienny rachunek sumienia szczegółowy, aby zaś z niego alumni korzystali, uczył ich i zachęcał usilnie do pewnego porządku i systematyczności w pracy nad postępem duchownym. Zaprowadził codzienną przez wszystkich adoracyę Najśw. Sakramentu, spowiedź tygodniową, częstą Komunię św., a ponadto starał się jeszcze, aby jego wychowankowie i przez prywatne praktyki, odpowiadające usposobieniu każdego, podtrzymywali w sobie i rozwijali ducha pobożności.

Wszystko to przecież stanowiło dopiero jedną stronę tych usiłowań, które podejmował w celu duchownego wyrobienia swych wychowanków, drugą może ważniejszą, a niezawodnie trudniejszą była praca nad każdym i z każdym z nich pojedynczo, praca, wymagająca dużo czasu i poświęcenia, choć najwięcej jej śladów i szczegółów pozostanie na zawsze w ukryciu. Uważał ks. Sakowski za swój obowiązek delikatną ręką niejako dotknąć duszy i sumienia każdego z seminarzystów, przez szczerość swych intencyi i działania starał się obudzić w nich zaufanie i dopomódz do współpracownictwa ze sobą. Jego roztropność następnie tak kierowała tem zaufaniem, że bez nacisku umiał ich pobudzić do szukania u siebie rad, wskazówek zachęty i przestróg, do zwierzenia

się z owocami swej pracy wewnętrznej, z trudnościami, pokusami i złudzeniami, jakieby na drodze powołania napotykali. Wzajemny ten stosunek zaufania i roztropnego kierownictwa zachował wiele powołań od zwichnięcia, a urabiał bardzo dodatnio dusze przyszłych kapłanów.

Tak wyglądał w krótkim zarysie plan tej obszernej działalności, jaką ś. p. ks. Sakowski rozwinął w seminaryum lwowskiem. Tego planu trzymał się on odtąd ściśle przez lat dziewięć. W jego przeprowadzenie włożył bardzo wiele pracy, a trzeba podnieść, że umiał i potrafił w niezwykłej mierze pracować. Pewne o niej pojęcie mogą nam dać pozostałe po nim całe stosy nauk, konferencyi i medytacyi w tym dziewięcioletnim okresie napisanych, nie miał bowiem nigdy zwyczaju przemawiać bez dokładnego i dosłownego przygotowania tego, co mówił. Obowiązków swoich w seminaryum, które zajmowały mu większą część dnia, z niezwykłą sumiennością i akuratnością dopełniał. Gdy już był rektorem w seminaryum krakowskiem i dawał rekollekcye klerykom przed święceniami, żalił się pewnego dnia: Taki niemiły — mówił — miałem dziś wypadek. Właśnie dzwonią na naukę rekollekcyjną, gdy wchodzi ks. prałat X. ze Lwowa ze swoim gościem z zagranicy. Nie prosiłem ich już aby siadali, lecz tylko parę słów stojąco zamieniłem i przeprosiłem, że muszę iść z nauką; nie wiem czy nie było im to przykro, lecz czyż mogłem uczynić inaczej. Mimo to znalazł jeszcze czas, aby udzielać w ciągu roku niejednej seryi rekollekcyi ośmiodniowych i pięciodniowych po różnych instytutach zakonnych i zakładach wychowawczych, głosić słowo Boże po kościołach lwowskich, całe zaś wakacye przepędzał bądź na pracy rekollekcyjnej dla Sióstr w prowincyi poznańskiej, bądź na wizytacyi biskupiej towarzysząc na niej dzisiejszemu Najdost. ks. Kardynałowi Puzynie, podówczas biskupowi sufraganowi lwowskiemu i rektorowi seminaryum.

Chcieć już dziś zestawić wszystkie rezultaty jego pracy podjętej około wychowania kleru i odmierzyć wpływ, jaki ona wywarła na odrodzenie duchowieństwa u nas, byłoby

przedwcześnie, ale zaznaczyć się godzi, że odbierał za nią bardzo wiele dowodów uznania i wdzięczności ze strony Najprzewielebniejszych Księży: Arcybiskupa Morawskiego i biskupa Puzyny, jak później w dyecezyi krakowskiej ś. p. Kardynała Dunajewskiego.

W r. 1892 objął po ks. Gołaszewskim urząd rektora w seminaryum dyecezyalnem w Krakowie i spełniał go aż do przejścia tego seminaryum w nowym gmachu pod zarząd dyecezyalny w r. 1901. Rozwinął i tutaj zupełnie analogiczną działalność do tej, jakąśmy wyżej opisali, z tą jedynie różnicą, że pomagali mu w niej według jego myśli i planu młodsi jego konfratrzy. Zaufanie, jakiem go obdarzał ks. Kardynał Dunajewski, było wielką w tych latach pociechą jego duszy. Łaskawy ten pasterz przepędzał niejeden dzień roku, jak dzień imienin, dzień Nowego Roku, w seminaryum wśród grona przełożonych i alumnów, a powagą swoją popierał szczodrze wszystkie przedsięwzięcia i reformy, jakie nowy rektor wprowadzał. Dom stradomski otrzymał piękną pamiątkę po ś. p. ks. Sakowskim — park założony przy domu na części warzywnego ogrodu. Wszystkie dzikie drzewka zasadził w nim własną ręką, a figurę Najśw. Panny, wzniesioną w pośrodku, poświęcił uroczyście ks. Kard. Dunajewski. Niestety wcześnie, bo już w parę lat po przybyciu do Krakowa, poczęły się objawiać u ks. Rektora pierwsze ślady jego powolnej lecz ciężkiej choroby, paraliżu nerwów. Ubezwładnienie dotknęło najpierw prawą rękę, to najważniejsze narzędzie jego wielogodzinnej wśród dnia pracy, często późnymi wieczorami i nocą, aby przygotować nauki i medytacye na dzień następny. Stopniowo przechodziło na cały organizm. Tylko pod naciskiem ks. Kardynała Puzyny dotrwał do r. 1901. na stanowisku rektora seminaryum. Ostatnie sześć lat życia spędził w domowem ustroniu, oddalając się coraz bardziej od otoczenia obcego, z cierpliwością i podniosłością duszy znosząc wzmagające się dolegliwości swej choroby. Do końca życia miał tę pociechę, że mógł codziennie odprawiać Mszę św. i choć z wielkiem dla siebie utrudzeniem,

wyjeżdżał kilka razy na tydzień, aby spowiadać u Sióstr Miłosierdzia, oraz w niektórych klasztorach żeńskich. Stopniowy postęp choroby kazał oczekiwać jeszcze cięższego stanu zupełnej niemocy, podobało się jednak Dobroci Bożej skrócić dni próby i odwołać znagła swego sługę do siebie. W nocy z czwartku Bożego Ciała 30 maja na piątek przyszło niespodziewanie uderzenie krwi do głowy i przerwało wątłą już nić życia. Nad ranem, Brat oddający mu od lat szeregu codzienne usługi, znalazł już tylko ciało zimne. Pogrzeb tego czcigodnego konfratra, żyjącego od kilku lat w zupełnem zaciszu, dał nowe świadectwo, że chowano prawdziwego ojca kleru. Wśród nieprzeliczonego szeregu duchowieństwa świeckiego i zakonnego, wyprowadził zwłoki z kościoła Jego Emin. ks. kardynał Puzyna i mimo burzy i ulewnego deszczu doprowadził je do końca ulicy, a następnie objął kondukt Najprzew. ks. biskup Nowak. Zgromadzenie otrzymało liczne dowody współczucia, oraz wyrazy czci dla zmarłego od Najprzew. ks. ks. Biskupów i wielu kapłanów. Z czcią i smutkiem tem większym, że rozłączenie było tak nagłe, złożyliśmy jego zwłoki do wspólnego grobowca naszych współbraci, co już pielgrzymkę ukończyli, ale zarazem z kojącem wiele ten ból uczuciem, że unosimy drogą i trwałą po nim spuściznę, pamięć jego cnót i prac.

R. I. P.



Ś. p. Paweł Baron.

Jeszcze nie upłynął miesiąc, jak orszak pogrzebowy zaprowadził do grobu dnia 2. czerwca b. r. spracowaną głowę staruszka, kapłana naszego Zgromadzenia, ś. p. ks. Kajetana Sakowskiego, kiedy podobny orszak towarzyszy trumnie, kryjącej w sobie zwłoki młodzieńca pełnego nadziei, który jeszcze nie wypłynął na pełne morze życia. Był nim ś. p. Paweł Baron. Ujrzał światło dzienne dnia 10. grudnia 1885. r. w Karbowej pod Katowicami, gdzie też przepędził wiek dziecięcy do roku 1898. W tym roku opuścił dom rodzinny, by przygotować się w Małem Seminaryum na Nowej Wsi Narodowej do stanu kapłańskiego w naszem Zgromadzeniu.

Ś. p. Paweł Baron należał do tych dusz, które na pozór nic nie mają zadziwiającego w swych czynnościach, ale których całe życie i zachowanie się nie minie bez silnego wrażenia na tych, którzy z niemi żyli przez czas dłuższy. Stąd też po jego zgonie dał się odczuć brak, jak brak tonu w akordzie. Barwę zaś tego tonu stanowił jego charakter już wyrobiony i tak piękny, według słów tych, którym swą duszę otwierał, jak wykończony, wzniosły posąg. Stąd chlubą stał się i ozdobą Seminaryum, w którem od września 1905. r. czerpał ostatnie promienie i barwy do przystrojenia swej duszy. Mówię: ostatnie, bo to, co przyniósł ze sobą z Małego Seminaryum, potrzebowało już tylko wykończenia. Bez chęci idealizowania go, trzeba przyznać, że czas swój 7-letni w Małem Seminaryum, zrazu na Nowej Wsi, a potem na Kle-

parzu, przepędził jako dobry i sumienny uczeń, owszem przewyższył wymagania. „Wzrastał w latach, w mądrości, w łasce u Boga i u ludzi“.

Wątłe jego zdrowie już w II. klasie zmusiło go do dwumiesięcznej przerwy w naukach, a odtąd aż do końca skutki tego się powtarzały i mimo to nikt nie usłyszał nigdy z uśt jego skargi. Nie uważał się za chorego, pracował zawsze jak przy najtrwalszem zdrowiu, a choć targał przez to może resztę sił, rozwinął jednak swe zdolności, któremi zajaśniał w ostatnich latach, a któremi potrafił pokierować umiejętnie. Przez sumienne i pełne zamiłowania studya przyrodnicze mógł godnie zająć w przyszłości odpowiedni posterunek w Zgromadzeniu, co już zainicyował w pewnej mierze przez uporządkowanie muzeum na Kleparzu, gdzie ślady jego pracy, pełnej zawsze ładu w sporządzaniu katalogu i preparatów, stały się miłą i drogocenną po nim spuścizną. Z innej strony przez swe wykształcenie muzyczne dał dowód, jak chce wniknąć we wszystkie potrzeby życia. Praca, to jedno, czem nam świecił; i dziś jeszcze, gdy spoglądamy na miejsce, gdzie się uczył, zdaje się nam tam błyszczeć jego rozpalone nauką oblicze, które podnosi z ponad książki tylko bądź dla powtórzenia z pamięci, bądź dla zaczerpnięcia powietrza.

Jak umysłem przygotowywał się do przyszłego swego zadania, tak też i sercem zadzierżgnął wśród otoczenia węzeł miłości. Dziwnie naprawdę miłe i łatwe było z nim pożycie, lecz by je zdobyć i utrzymać, nie szczędził ze swej strony zaparcia się siebie, że wspomnę tylko jego delikatne czuwanie nad jednostajnością. Dla niej to poświęcił nieraz pozwolenie na wyjątkowe rzeczy przy stole lub co do spoczynku, a jeśli się zważy to, że każde tego rodzaju umartwienie umiał roztropnie ukryć, to wydadzą się tylko jako słabe odbicie jego umartwień, następujące o nim wyrażenia: „Nikomu krzywdy nie wyrządził, gdy się poczuwał do tego, przeprosił delikatnie, był bez pretensyi“ i t. d. — Jak to miłe jego pożycie w małem kółku torowało mu na zewnątrz drogę do przyszłego powołania, tak wewnątrz miał napotkać, według

świadectwa swego kierownika duszy na piętrzące się trudności. Lecz przezwyciężywszy je raz, szedł odtąd za jego wskazówką, jak za jedyną gwiazdą zbawienia, będąc pewnym, że odtąd już nic, chyba śmierć zdoła go odłączyć od Zgromadzenia. I tak się też stało. Zanim wszakże choroba przykuła go do łoża, pozwolił mu Bóg jeszcze ostatnie odnieść tryumfy zaparcia się siebie. Przełożonym tylko, a zresztą nikomu nie daje poznać, że chory: ze złowrogiego kaszlu tłomaczy się żartem, a krwotoki ukrywa, wszystkim zwiastunom choroby przeczy pracą. Jednem z ostatnich jego zajęć przed chorobą był udział jego w przedstawieniu, urządzonem na powitanie ks. Wizytatora z zamorskiej podróży. Już bowiem w tydzień po tej uroczystości 14. lutego zerwały się ostatecznie jego siły na przechadzce, do której celu już nie doszedł. Na drugi dzień w piątek wziął razem z Chrystusem krzyż swej niemocy do łoża, by już nie powstać. Przewieziony następnie do szpitala św. Łazarza, cierpi odtąd przez przeszło 4 miesiące, naśladując cierpliwość Zbawiciela i zgadzając się z Jego świętą wolą. I tu prowadzi dalej żelazny tryb swego życia, ukrywa swe cierpienia, skarga nie postoi na jego ustach, dla odwiedzających zawsze uprzejmy, z uśmiechem przyjmuje pocieszające zapewnienia, że wróci do zdrowia, ale nigdy nie wyczekuje, jakby ich nie pragnął. Już świadczą fizyologiczne odruchy, jak bardzo cierpi, gdy wkońcu przychodzą jeszcze cierpienia moralne: staje przed nim jako mara na łożu śmierci obawa, że nie umrze w Zgromadzeniu. Ta szlachetna obawa wyrażała się też jako ostatnie echa jego zacnej duszy wówczas, kiedy już leżał w stanie nieświadomości, a tylko zapewnienia jego spowiednika o próżności tej obawy działały jako kojący balsam na ranę, zadaną jego przywiązaniu do Zgromadzenia i powołania. Po złożeniu ślubów św. i przyjęciu ostatnich Sakramentów pozostał już w tym stanie nieświadomości aż do śmierci. Zgasł, jak niegdyś św. Wincenty, o godzinie zwykłego rannego wstawania o $3^3/_4$ rano i w analogicznym dniu, bo **27.** czerwca. W dniu zaś jego imienin złożono mu w pogrzebowej uroczystości

obfite życzenia „wiecznego spoczynku“, poprzedzone rozbiorem na konferencyi jego cnót.

Gdy się przypatruje życiu ś. p. Pawła Barona, nasuwa się pytanie: skąd czerpał tę siłę do pracy nad sobą, która każe podziwiać w tak wczesnym wieku piękność jego charakteru? Oto z dwóch źródeł: z Najświętszego Sakramentu i z rąk Najświętszej Maryi Panny, bo te nabożeństwa go cechowały. Niegdyś, jako chłopiec jeszcze, kiedy choroba groziła mu przerwą w naukach, zwierza się w poufnej rozmowie, że miał sen, w którym Matka Najśw. obiecała mu swą pomoc. Odtąd zachowuje dla Niej prawdziwą miłość dziecięcą, żywi ją, choć w ukryciu, ale tem goręcej. Dyrektor jego z lat ostatnich Małego Seminaryum dał mu świadectwo, że kiedy w dzień święta Matki Boskiej nie było ogólnej Komunii św., on prosił, by mógł na Jej cześć przyjąć Najśw. Sakrament. Pałał też gorąco tem życiem eucharystycznem, potęgowanem codzienną Komunią św. i o ile mu na to jego zajęcia pozwalały, przepędzał czas na jak najczęstszych odwiedzinach Najśw. Sakramentu. Jak wieczna lampa świeciła jego dusza blaskiem, spływającym z tych dwu źródeł, czysta i pokorna, której, według świadectwa jego spowiednika, niewinność była pełnym udziałem, a spowiedź oczyszczała z niej tylko jakby drobny pyłek z posągu.

Niepodobna tu wspomnieć wszystkich jego cnót, bo pokorne jego życie ukrywało je głęboko, ale jak już tu na ziemi miła ich woń przebijała się czasem z ukrycia, tak dziś trwale i bez osłony, ufamy, wznosi się bez przeszkody przed tron Najwyższego.



Zmarli Misyonarze:

Br. Antoni Conti, w maju w Rzymie, żył lat 76, w Zgromadzeniu 51.

Kler. Józef Hoebeli, 26. maja w Perryville (Stany Zjedn.), żył lat 51, w Zgromadzeniu 5.

Ks. Jan Vivens, 14. lipca w Sao Luiz de Maranhao (Brazylia), żył lat 35, w Zgromadzeniu 11.

Br. Augustyn Lecul, w lipcu w Buenos-Aires, żył lat 36, w Zgromadzeniu 16.

Ks. Achilles Berardini, 17. lipca w Rio de Janeiro (Brazylia), żył lat 70, w Zgromadzeniu 51.

Ks. Cornagliotto, 23. lipca w Marianna (Brazylia), żył lat 84, w Zgromadzeniu 60.

Ks. Jan Villa, 22. lipca w Jaro (wyspy Filipiny), żył lat 42, w Zgromadzeniu 27.

Ks. Wincenty Romano, w sierpniu w Lecce (Włochy), żył lat 63, w Zgromądzeniu 28.

Br. Pennaroli, 7. sierpnia w Piacenzy (Włochy), żył lat 69, w Zgromadzeniu 23.

Br. Kasper Logan, 10. września w Barcelonie, żył lat 56, w Zgromadzeniu 27.

Kler. Józef Villegas, 5. września w Madrycie, żył lat 22, w Zgromadzeniu 6.

Ks. Alfons Chappel, 26. września w Paryżu, żył lat 73, w Zgromadzeniu 51.

Ks. Antoni Canduglia, w Nan-Ngan, żył lat 46, w Zgromadzeniu 27.

Ks. Antoni Coindard, we wrześniu, na Madagaskarze, żył lat 52, w Zgromadzeniu 14.

Ks. Ludwik Droitecourt, 6. października w Konstantynopolu, żył lat 65, w Zgromadzeniu 36.

Ks. Jan Grimm, w październiku, w Quito, żył lat 65, w Zgromadzeniu 33.

Siostry Miłosierdzia:

S. Albertyna Truskolawska, 4. czerwca w Rozdole, żyła lat 33, w Zgromadzeniu 7.

S. Karolina Polaczek, 2. sierpnia w Zakładzie Helclów w Krakowie, żyła lat 74, w Zgromadzeniu 47.

R. I. P.

MAKSYMY ŚW. WINCENTEGO A PAULO

wydał X. Jan Dihm ze Zgrom. Ks. Ks. Misyonarzy.

Książeczka ta zawiera krótkie zdania i myśli na każdy dzień roku, wyjęte z pism i listów św. Wincentego a Paulo, założyciela Ks Ks. Misyonarzy i Sióstr Miłosierdzia. Trafne te myśli są owocem miłości Bożej, pojętej w sposób prosty i naturalny i dlatego trafiają prosto do duszy, ucząc ją kochać Boga i bliźnich.

Pięknie broszurowane, z okrągłymi brzegami 50 hal. (50 fen.), oprawna 80 hal. (80 fen.).

ŻYWOT BŁOGOSŁAWIONEGO REGIS KLETA.

Podaje żywot i śmierć męczeńską tego Błogosławionego w Chinach, oraz krótki opis katolickich misyi w tym kraju po ich objęciu przez Ks. Ks. Misyonarzy w r. 1783.

1 Kor. (1 mar.).

NAŚLADOWANIE JEZUSA CHRYSTUSA

Tomasza a Kempis

z cennemi uwagami do każdego rozdziału, które pomagają do rozwinięcia w rozmyślaniu myśli zawartych w złotej książce Tomasza a Kempis.

Broszur. 1 Kor. (1 mar.), opr. 1·50 Kor. (1·50 mar.).

MIESIĄC CZERWIEC

poświęcony czci Najsłodszego Serca Pana Jezusa

przez X. Ulaneckiego, Misyonarza.

Książeczkę tę bardzo polecamy tak wiernym jak kapłanom, pragnącym pouczyć lud o czci do Najsł. Serca P. Jezusa, jak je wielbić modlitwą myślną i ustną oraz praktycznem zastósowaniem w życiu.

Opr. 1 Kor. (1 mar.).

PRZEWODNIK GRZESZNIKÓW.

Książka do poważnego czytania, o której Papież Grzegorz XIII. powiedział, że autor, ogłaszając to dzieło, więcej przyniósł pożytku Kościołowi św., aniżeli gdyby był przywrócił wzrok ślepym i słuch głuchym; a inny Papież, że księga ta więcej dusz pozyskała Jezusowi, niż obejmuje liter.

Opr. 3 Kor. 20 hal. (3 mar.).

Na liczne żądania wiernych, sprowadzają Ks. Ks. Misyonarze

Wodę z cudownej groty N. M. P. z Lourdes,

pzarz której pobożne użycie już tylu wiernych uzyskało zdrowie. Rozsyła się ją w litrowych butelkach, w starannie opakowanych skrzynkach. Równie można nabyć i Nowennę z opisem cudów N. M. P. w Lourdes.

Kraków, drukarnia Związkowa, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Rok XIII. Nr. 4.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO a PAULO.

Kwartał IV.



KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Ks. Ks. Misyonarzy.
1907.

TREŚĆ ZESZYTU.

Przywilej dla Polaków w Brazylii, otrzymany od Stolicy Apostolskiej, str. 277
Misye na Podlasiu r. 1907, str. 280.
Historya Zgromadzenia w Irlandyi, str. 328.
Zgromadzenie nasze na Filipinach, str. 338.
Kronika, str. 344.
Uchwała św. Kongregacyi Soboru Trydenckiego o codziennej Komunii św. str. 360.
Uchwała św. Kongregacyi Soboru Trydenckiego o Komunii św. dla chorych nie mogących być na czczo, str. 363.
Ś. p. ks. Wilhelm Schmidt, str. 365.
Zmarli Misyonarze, str. 371.

Prenumerata wynosi rocznie **7 Kor. (7 Mk.)**

Upraszamy uprzejmie o łaskawe nadsyłanie kosztów prenumeraty na rok 1908 pod adresem: Redakcya „Roczników obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo“ — Ks. Ks. Misyonarze, Kraków, Kleparz L. 19.

Przywilej dla Polaków w Brazylii, otrzymany od Stolicy Apostolskiej.

Beatissime Pater!

Infrascriptus Visitator Congregationis Missionis provinciae Polonorum, ad genua Sanctitatis Vestrae provolutus, hunc supplicem humillime porrigere audet libellum.

Visitando colonias Polonorum in Brasilianae reipublicae regiones migrantium, quorum ibidem saluti presbyteri Congregationis Missionis polonicae provinciae operam navant, statim perspexit mandatum Beatitudinis Vestrae inter functiones sacras cantum latinum tantum adhibendi ibi fere impossibile, Polonis vero emigrantibus esse durissimum. In medio enim aliarum nationum dispersi, summo gaudio ducunt se e dissitis locis in sacellum suum congregatos diebus saltem festivis in communi laudes Deo persolvere et piis canticis in lingua patria redactis animos aliquatenus sursum erigere posse, canticis eo vel magis piis et salutaribus, quippe quae ut plurimum veritates fidei catechetico modo concinnatas exhibent ac per hoc eas iugiter in memoriam revocant. E contra valde pertimescendum, si dicta consolatione orbati fuerint, permultos fore, qui longissimum illud iter ad sacrum audiendum facere nullatenus curent. Accedit quod iam nunc illis in regionibus inveniantur hostes, qui hoc Polonorum amore erga patriam moresque paternos utantur ad illos ab Ecclesia catholica retrahendos. Qui procul dubio, si dictum de cantu latino mandatum introductum fuerit, hanc occasionem arripient ad plurimos ad schisma pertrahendos.

Velit ergo Sanctitas Vestra dignanter indulgere, ea est precatio enixa, quam orator audet proferre, ut Poloni in

dissitis a patria regionibus possint continuare morem illum intra sacras etiam functiones pios hymnos patria lingua decantandi.

Quam gratiam a Beatitudine Vestra benignissime concedendam fore confidens ad pedes Sanctitatis Vestrae provolutus Apostolicam Benedictionem pro Missionariis provinciae Polonorum humillime deprecatur

obedientissimus filius

Gasparus Słomiński
Visitator Congr. Miss. prov. pol.

Cracoviae, tertio Idus Octobres MCMVII.

Iuxta preces in Domino
die 24. Octobris 1907.

Pius PP. X.

Ojcze Święty!

Niżej podpisany Wizytator Księży Misyonarzy w Polsce ośmiela się u stóp Waszej Świątobliwości złożyć następującą prośbę.

Kiedym zwiedzał w Brazylii kolonie Polaków, wśród których pracują polscy Misyonarze, zauważyłem zaraz, że niemożliwem tam będzie zachowanie przepisu Waszej Świątobliwości co do łacińskiego śpiewu w czasie nabożeństw kościelnych. A dla Polaków jest to ogromnie przykre. Żyją bowiem wśród obcych; to też największą to dla nich pociechą, że mogą przynajmniej w dni świąteczne gromadzić się z najdalszych okolic na wspólną modlitwę w kościele i podnosić się na duchu pobożnemi pieśniami w języku ojczystym; tem bardziej, że pieśni te po większej części zawierają prawdy katechizmowe, a tem samem ułatwiają ich powtarzanie. A gdyby ich pozbawić tej pociechy, wielu znajdzie się takich, co nie zechcą podejmować tak dalekiej drogi na

mszę św. Już też krążą tam nieprzyjaciele wiary, którzy chcą skorzystać z tego przywiązania Polaków do ojczyzny i zwyczajów narodowych, by ich odwodzić od Kościoła. Jeżeli przeto rzeczone rozporządzenie wejdzie w życie, nie omieszkają zapewne wyzyskać tej okazyi dla propagandy schizmatyckiej.

Niech więc Świątobliwość Wasza raczy przychylić się do mej prośby, a pozwoli Polakom na obczyźnie nadal śpiewać polskie pieśni w czasie nabożeństw kościelnych.

Spodziewając się przychylnej odpowiedzi, upadam do stóp Waszej Świątobliwości z prośbą o Apostolskie Błogosławieństwo dla polskich Misyonarzy

posłuszny syn

Ks. Kasper Słomiński
Wiz. Ks. Ks. Misyonarzy w Polsce.

Kraków, 13. października 1907.

Odpowiedź Ojca św.:

Przychylamy się do prośby, w Panu.
Dnia 24. października 1907.

Pius X., Papież.

Misye na Podlasiu r. 1907.

„W drugim kwartale, po Nowo-Radomsku w dyecezyi włocławskiej, nastąpił szereg misyi najpiękniejszych może ze wszystkich, jakie kiedykolwiek zanotowały kroniki naszego Zgromadzenia w Polsce. Zawezwano nas na Podlasie, do tego ludu, co długie lata trwał w świętej wierze mimo srogiego ucisku, trwał w ciężkiej niedoli i wytrwał, doczekał się lepszych czasów. Całomiesięczna praca na tej ziemi, zroszonej najlepszą krwią ludu podlaskiego, zamieniła się w jeden wielki, nieustający tryumf Kościoła katolickiego". Tak pisały *Roczniki* nasze w chwili, kiedyśmy wracali z Podlasia z wrażeniami, których drugi raz doznać można chyba tylko wracając z katakumb rzymskich. A i tu różnica, bo w katakumbach opowiadają dzieje srogich prześladowań i okrucieństw cezarów pogańskich i bohaterską wierność męczenników świętych jedynie niemi świadkowie; nam zaś o nadludzkich cierpieniach, o kaźniach i więzieniach, o torturach i nahajkach, o konfiskatach majątkowych i Sybirze, o wściekłej piekielnej nienawiści katów i heroicznej śmierci ofiar męczeńskich opowiadali ci, którzy sami tego doświadczali lub przynajmniej na to patrzeli.

Oni bronili dogmatu jedności Kościoła Bożego i prymatu następcy św. Piotra, oni obstawali przy tem, do czego zobowiązali się już przed dawnymi laty ojcowie ich, powołując do życia wiekopomne dzieło Unii brzeskiej 1596 r. Wiadomo, że twórcami jej byli Michał Rahoza, metropolita całej Rusi i biskupi Cyryl Terlecki, Hipacyusz Pociej. Oni to przekonawszy się, że patryarcha Carogrodu, Jeremiasz II., nie jest następcą św. Piotra, uznali prawdziwość Kościoła Bożego w kościele rzymskim i udali się do papieża Klemensa VIII.,

oddając Ruś całą jego zwierzchnictwu. Czasem najświetniejszego rozwoju Unii była epoka bezpośrednio po synodzie w Zamościu 1720 r. Ale rozpoczęły się też dla niej chwile bolesnych doświadczeń. Niesłychane trudności towarzyszyły już samemu powstaniu Unii i pierwszemu jej rozwojowi. Mnożyły się zaś i piętrzyły z latami, a kiedy lwia część rozdartej w troje Polski znalazła się pod berłem schizmatyckiej Rosyi, rozpoczęła się systematyczna walka przeciwko Unii i unitom. Od pierwszego rozbioru Polski aż do 1796 r., do śmierci Katarzyny II., straciła cerkiew unicka 8 milionów wiernych, 9316 parafii i 145 klasztorów bazyliańskich. Swobodniej nieco odetchnęły resztki Unii za Pawła I. i za Aleksandra I. Za Pawła I. liczono jeszcze unitów 1,398.50, parafii unickich 1.388, klasztorów bazyliańskich 91. Mikołaj I. szedł śladami Katarzyny, znalazłszy godne narzędzie w osobie niecnego apostaty Józefa Siemaszki. Ten w dniu 25. marca 1839 r. całą cerkiew unicką, spętaną więzami zdrady, pokrytą obficie ranami i krwią męczeńską, powalił u nóg Mikołaja, błagając w jej imieniu o łaskawe przyjęcie do cerkwi prawosławnej. „Błagonadariu Boga i prinimaju“ odrzekł car i na pamiątkę tego zdradą i zbrodnią epokowego dnia kazał wybić medal z napisem, wyglądającym jak szydercze bluźnierstwo, jak policzek wymierzony prawdzie i sprawiedliwości: „Odtorgnutyje nasiljem 1596, wozsojedinieny lubowiu 1839“. To było epitafium dla Unii w carstwie, tu ona już oficyalnie skonała.

Pozostało jednak jeszcze cośkolwiek unitów w Królestwie kongresowem, mianowicie w dyecezyi chełmskiej. Było ich 250.000 w przeważnej części Podlasian. Jak gorzkie oni chwile przeżyli, ile się dla wiary nacierpieli i jak strasznie nad temi ofiarami niewinnemi się znęcano, o tem mieliśmy na miejscu się dowiedzieć, wezwani na Podlasie, na tę ziemię krwią męczeńską przesiąkniętą.

*
* *

Żyrzyn 1—8 maja.

Dosyć dawno już upragnioną i omawianą była misya w Żyrzynie. Wreszcie JE. ks. biskup Jaczewski z Lublina przysłał nam gorące zaproszenie na cały miesiąc maj, który przebyć mieliśmy na Podlasiu wśród pracy misyjnej. Cztery mieliśmy odprawić misye: w Żyrzynie, w Lubartowie, w Radzyniu i w Międzyrzeczu.

Pierwszą z pośród nich miała być misya w Żyrzynie. Wszakże dzień przyjazdu naszego nie był jeszcze dokładnie ułożony. Pojechaliśmy jednak już naprzód do Warszawy, ks. Rossman, ks. Truszkowski i ja, aby w danym wypadku już bliżej być celu i tu oczekiwaliśmy odpowiedzi proboszcza żyrzyńskiego, ks. Bronisława Garyckiego. Nadszedł wreszcie telegram, który na środę wzywał nas na stanowisko; w środę rano mieliśmy wyjeżdżać z Warszawy, aby jeszcze w tym samym dniu pod wieczór rozpocząć misyę. Ale ta środa, to 1. maja, dzień tradycyjnie święcony w historyi socyalizmu bezrobociem, gwałtami, orgiami i krwawym szałem. Dzień przedtem już głuche posłuchy krążyły o jutrzejszem święcie socyalistycznem. Wszyscy tylko o tem myślą, o tem mówią, i przed tem drżą z obawy, co dzień jutrzejszy strasznego przyniesie z sobą, przypominają sobie krwią broczący terror z przed roku i krwią nasyconą zemstę represyi tuż po nim, przypominają sobie bolesne ofiary, jakie ostatnie dwa lata wydarły rodzinom i ludzkości. Ogarnia wszystkich dziwna trwoga, bezsilne, beznadziejne, apatyczne przerażenie. Miasto całe, wszystkie sklepy, wszystkie kramiki, hotele, restauracye, kawiarnie, zarzucone są proklamacyami socyalistycznemi. Jakaś niewidzialna tajemnicza ręka rozsiała je po wszystkich miejscach publicznych i prywatnych mieszkaniach, po wszystkich ulicach i placach. Wciśnięto w garść odezwę dorożkarzowi, każą jutro świętować; tramwajarzom grożą cichą, ale straszną niechybną zemstą, jeżeli jutro nie staną; specyalne odezwy są do robotników fabrycznych; do najlepszych sklepów i magazynów wchodzi po 3 lub 4 młodych ludzi i od razu obrawszy obronne stanowisko, ścianę za plecami, od-

zywają się ze stanowczem żądaniem, żeby jutro były zamknięte. Ich pewność siebie odbiera stronie przeciwnej wszelką odwagę.

Wszyscy w oczekiwaniu, w naprężeniu nerwów, w niepewności, co się jutro z nimi stanie, poddają się jakiejś gorączce; ruch uliczny i kołowy i pieszy w codziennych warunkach już nadzwyczajnie żywy w Warszawie, prawdziwie wielkomiastowy, teraz przybiera jeszcze większe rozmiary, wzmaga się, potęguje. W mieście tem, prawie milionowem, wre jak w ulu od ruchu dzisiejszego, gorączkowość go cechuje, bo każdy spieszy dziś zrobić, dziś kupić, dziś się zaopatrzyć w to, czego jutro nie dostanie prawdopodobnie. Chyba nawet w przededniu walnej bitwy lub oblężenia od nieprzyjaciół, nie mógłby być inny nastrój. Od godziny 5 i 6 pod wieczór coraz liczniejsze patrole widać, od czasu do czasu całe oddziały wojska miarowym krokiem przechodzą, to znowu watahy kozaków na małych, zwinnych koniach mkną po drewnianym, klockowym bruku ulic warszawskich, akby na przestrogę i groźbę, że wszystko gotowe w każdej chwili do krwawej represyi, gdyby tylko gdziekolwiek śmiał głowę podnieść bunt lub anarchia.

Nazajutrz rano miało się wrażenie miasta umarłych. Tak cicho, tak spokojnie. Dorożki nie jeżdżą, tramwaje stoją, sklepy i hale targowe zamknięte, nikt nie sprzedaje, nikt nie kupuje. Szerokie, rojne, ludne ulice zwykle pełne życia, teraz pustkami świecą. Głucho wszędzie, pusto wszędzie — tylko gęste patrole przechadzały się czatując po chodnikach, z pułku żandarmskiego co parę kroków spotkać można dwójki dobrze uzbrojone, a kozaków na koniach, z karabinami nabitymi, opartymi o prawe kolano z palcem prawej ręki na kurku, w pogotowiu do wystrzału, całe szwadrony. Poza tętentem kopyt końskich, poza monotonnym odgłosem maszerujących piechurów, nic nie mąci spokoju — grobowa cisza.

Wśród tej złowrogiej ciszy udaliśmy się na dworzec kolei nadwiślańskiej, dokąd bagaże już wczoraj przywieźliśmy w obawie przed zastojem ruchu kołowego i pokazało się, że

przezorność nasza nie była zbyteczną. O godzinie 9. wyjechaliśmy koleją nadwiślańską w kierunku południowo-wschodnim od Warszawy. Jechaliśmy tędy po raz pierwszy, więc ciekawiła nas okolica; ale już poza imponująco szeroką Wisłą, poza przemysłową Pragą z olbrzymiemi fabrykami i sterczącymi kominami przestała interesować: przeważnie nędzne pola i liche lasy, skarłowaciałe na gruncie jałowym, piaszczystym. Sąsiadował z nami w pociągu pewien ksiądz, jak się dowiedzieliśmy po przedstawieniu się, wikaryusz z Włodawy w gubernii siedleckiej, a więc przez dłuższy czas wspólną mieć będziemy drogę. Bardzo żywy i ruchliwy, miał już czas i sposobność prawie z każdym pasażerem naszego wagonu się zapoznać i parę słów wymienić. W tym samym wagonie jechał też ks. Gralewski, poseł z Warszawy do pierwszej i drugiej Dumy, wytrawny znawca szkolnictwa w Królestwie i referent tego przedmiotu w Dumie; i na tem polu cieszy się tam bezwzględnem uznaniem, że w opinii publicznej od jego zdania niema apelacyi. Jako dotychczasowy rektor kościoła popijarskiego, był on atrakcyą dla arystokracyi i inteligencyi warszawskiej, jako najsłynniejszy obecnie mowca religijny. Nie wiedzieć, słusznie czy niesłusznie pomawiany jest o modernizm. Teraz najżywotniejszem jego marzeniem dźwignąć z głębokiego upadku szkolnictwo w Królestwie. Założył już nawet szkołę według myśli i doświadczeń swoich dla naszych potrzeb najodpowiedniejszą i po niej się spodziewa, że będzie zaraniem nowej epoki w szkolnictwie krajowem. Istnieje ona w Starej Wsi pod Celestynowem i tam właśnie w tej chwili on się udaje. Dowiedziawszy się od owego wikaryusza włodawskiego, że jesteśmy misyonarzami z Krakowa, przysiadł się do nas, z czego byliśmy radzi, bo z ust kompetentnych, jak się nam zdawało, mogliśmy się poinformować o niektórych bodaj objawach z życia Królestwa, które nas bądź co bądź od całego z górą roku żywo obchodziło. Zaraz też nadarzyła się okazya. Ów ksiądz z Włodawy bez ogródki żadnej postawił mu pytanie, jak właściwie pojmować stanowisko duchowieństwa wobec Macierzy szkolnej. Jak zresztą

się zastrzegł, nie robił tego w formie jakiegoś interwiewu czy czegoś podobnego, tylko sam dla siebie, radby zdania zasięgnąć jako wskazówki, jako rady dla własnego użytku, jako dyrektywy, ponieważ i we Włodawie zakłada się taka szkoła, a jego zapraszają na prefekta. Duchowieństwo a Macierz szkolna — była to w owych dniach (a jest i po dziś dzień jeszcze) kwestya bardzo gorąco roztrząsana i rozpatrywana z tysiąca punktów widzenia. Dotąd lwią część pracy cywilizacyjnej pod egidą Macierzy brało na siebie duchowieństwo, a już na prowincyi, Macierz i szkolnictwo o tyle prosperowały, o ile miały poparcie, współudział i pracę księdza ze sobą; bez duchowieństwa kroku postąpić nie mogło i to nie tylko dlatego, że ono jest najofiarniejsze i najochotniejsze do poświęceń a zatem i najprzystępniejsze dla szlachetnych ideałów, ale i dlatego, że na tutejszej prowincyi jest ono jeżeli nie jedynym, to najważniejszym czynnikiem kulturalnym a ponadto, że zawsze jeszcze ludek nasz prędzej nakłoni ucha swemu pasterzowi, jak komukolwiek z laików choćby najżyczliwszych dlań. Tymczasem tu i ówdzie, gdzie na gruncie przygotowanym przez księży, uczuły się kółka Macierzy pewnemi i silnemi, gdzie poznały, że stać już mogą o własnych siłach, na własnych nogach, zaczęto niedwuznacznie usuwać ich od wpływu i znaczenia, miejscami, jak n. p. w Siedlcach, dochodziło do przykrych i pożałowania godnych awantur na niekorzyść księży prefektów, czasem nawet z pośród grona kierowniczego padały słowa, nieprzychylne księdzu, wrogie Kościołowi, wrogie religii. Kilka takich faktów — a wyłoniła się kwestya zasadnicza: jaki charakter pod względem religijnym winna mieć Macierz szkolna? wyznaniowy czy bezwyznaniowy? a jeżeli wyznaniowy — to katolicki czy niekatolicki? „Katolicki!“ zgodziła się jednomyślnie większość. A skoro katolickim ma być, niech będzie otwarcie katolickim i to w zasadzie zarówno jak w praktyce i nowa powstała alternatywa: wprowadzić ten wyraz „katolicki“ w program Macierzy czy nie. „Wprowadzić!“ wołali gorętsi katolicy, ale inni już zamilkli. Tym ostatnim się zdawało, że starczy, by

szkoła była faktycznie katolicką, a martwe paragrafy statutów niechby pozostały niezmienionymi, bez dodatku „katolicki“, tak jak to dotąd było. Główny zarząd Macierzy interpelowany i proszony o wprowadzenie dodatku „katolicki“ stanowczo się oparł, tłómacząc się, że przecież są w kraju i dzieci ewangelickie, którym niepodobna odmówić przyjęcia do szkoły ja przytem bardzo wielu katolików, zobojętniałych dla wiary zraziłoby się zbytniem afiszowaniem prawowierności. Dosyć, że najwyższe prezydyum Macierzy ani słyszeć nie chciało o takiej poprawce. I to rozdzieliło umysły. Pytano, co dalej robić? jakie stanowisko księża mają obierać w przyszłości wobec szkół Macierzy? Gorętsi stawiali rzecz na ostrzu miecza: albo Macierz będzie z zasady katolicką, albo my się usuwamy; do szkolnictwa bezwyznaniowego ręki przykładać nie będziemy, nie możemy. Inni mówili sobie, że lepsza szkoła zła, niż żadna szkoła i radzili nagiąć się do warunków istniejących i w nich według sił działać. Wreszcie inni przyzwyczajeni od wieków ani palcem nie ruszyć bez wyraźnego rozkazu z góry, nie łamali sobie głowy nad takiemi zagadnieniami, jeno z rezygnacyą stoików oczekiwali rozstrzygnięcia sporu w sferach wyższych. Chaos się spotęgował. Stąd też nic dziwnego, że często i coraz częściej zwracano się do ks. Gralewskiego z pytaniami, jako do tego, który najbliżej z tą sprawą się styka. Tak było i w tym wypadku. A on zapytany tak wprost, równie otwarcie zaznaczył swoje stanowisko bezwzględnie przychylne dla Macierzy.

— Sądzi więc ks. poseł, że nie należy się nam usuwać od szkół Macierzy? — spytał wikary.

— Nigdy, przenigdy. To właśnie byłoby fatalną pomyłką taktyczną. Oni, jakkolwiek z trudnością, może wreszcie dojdą do tego, że gdybyśmy im nie pomagali, i tak obejdą się bez nas, a wtedy tem mniej dopilnować zdołamy kierunku religijnego szkoły. Nie tylko usuwać się nie wolno, ale właśnie księżom trzeba najwięcej tam robić i tam zapomocą rzetelnej pracy i zasług dobijać się decydującego wpływu, aby mogli nadać ton szkole, tchnąć w nią katolickie przekonania.

Spiesznie kończył, bo już stacya Otwocki a zaraz następna stacya to Celestynów, gdzie on ma wysiadać razem z kilku profesorami swojej szkoły. Pociąg dojedzie do Celestynowa za 18 minut. Wynosi więc ks. Gralewski czem prędzej na platformę maszynki rachunkowe, tace, tablice, stołki, kredę, ławeczki, wszystko przybory szkolne do owej szkoły w Starej Wsi, która podług jego myśli stać się ma wzorem i nowym typem innych szkół polskich. Nie przewidywał zapewne, że wygnanie z kraju tak rychło zniweczy mu najdroższe jego prace, najstaranniej wypielęgnowane zamysły.

Nas pociąg unosił jeszcze dalej; do celu mieliśmy jeszcze 3 godziny jazdy kolejowej, przez Iwangród i Gołąb do Puław. W Puławach wysiedliśmy, już było po południu wpół do 2. To owe sławne Puławy, wspaniała niegdyś rezydencya książąt Czartoryskich, z najpiękniejszymi na całą polską ziemię ogrodami, gdzie młody carewicz, Aleksander, u boku księcia Adama, przyjaciela lat młodocianych, snuł szlachetne plany dla uszczęśliwienia narodów pod berłem rosyjskiem zostających. Nie ziściły się plany, wystygła przyjaźń, zniszczały ogrody, uległa zepsuciu rezydencya, dziś nie staje Czartoryskich, nie masz słynnej dawniej biblioteki, nie ostała się nawet nazwa miejsca, bo z Puław zrobiono nowotwór, dziś Puławy nie są Puławami, jeno Nowo-Aleksandryą z kilku szkołami średniemi i szkołą wyższą rolniczą, gdzie trwalej od wszystkich innych teoryi przyjmują się teorye skrajnego socyalizmu agrarnego.

Zostawiwszy Puławy na uboczu, pojechaliśmy powozem w czwórkę zaprzągniętym w kierunku Żyrzyna. Po drodze Końsko-Wola, gdzie spoczywa Kniaźnin. Dawniej wszystko (Puławy, Końsko-Wola, Żyrzyn i t. d.) było własnością Czartoryskich. Wygodnym i tanim sposobem konfiskaty przeszło na własność rządu, który to drogą licytacyi sprzedawał dalej przeważnie za bezcen. Zrazu mieliśmy bity gościniec, potem koła zapadały po osie miejscami w piachy, gdzieindziej w błota. Czas był bardzo kapryśny. Opóźniona wiosna zsyłała nam naprzemian to jasne promyki młodego słońca, to znowu

ulewne deszcze. A kiedy na-nowo błysło słońce, to wszystko weselej, pogodniej wyglądało na świecie i pierwszy skowronek spróbował wzbić się w powietrze i śpiewał, ale niedługo, bo wkrótce nowe strugi deszczu spadły z nieba i zmyły wyrywnego śpiewaka. Jechaliśmy tak przez 2 godziny znosząc potulnie wszystkie grymasy niestałej pogody wiosennej. Ilekroć deszcz ustawał, wychylaliśmy głowy z powozu łowiąc chciwie wzrokiem widoki. Jazda z początku wśród pól, jeszcze bardzo słabo się rozwijających, potem wśród lasów olbrzymich, dostarczała widoków bardzo urozmaiconych, tem milszych dla oka, że teren lekko falisty. Ks. Rossmann utrzymywał, że wszystko tu jak koło Witkowa, ks. Truszkowski znów widział w krajobrazie same podobieństwa z Piłatkowcami i z okolicami Jezierzan. Wszystkim nam się tu pododobało, każdy porównywał z tem, skąd najmilsze wyniósł wspomnienia.

Wreszcie zdaleka zauważyliśmy okrągły kościółek we formie jednej kopuły, oryginalny, jak się go tylko rzadko w budownictwie kościelnem spotyka, budowany jak panteon. To przepiękny kościół w Żyrzynie, cel naszej niemal całodziennej podróży. Wzorem dlań podobno był kościół św. Aleksandra w Warszawie. Prymasowskie Skierniewice również mają podobny kościół parafialny. Może to wszystkie tego kształtu kościoły mają to do siebie, że akustyka w nich wyborna, ten przynajmniej w Żyrzynie ma wprost świetną, co również dodatnio wpływa na śpiewność ludu doń uczęszczającego, zauważyliśmy bowiem, że bardzo pięknie i równo i swobodnie śpiewają.

Rozpoczęliśmy misyę jeszcze w tym samym dniu o godzinie wpół do 6. Zamiast nieszporów była litania do Najświętszej Panny przed wystawionym Najświętszym Sakramentem. Kazanie było na podwórzu przed kościołem, ponieważ dosyć wiele ludu już dzisiaj się nagromadziło. Z każdym dniem następnym napływało coraz więcej, jakkolwiek zaprowadziliśmy podział na stany, który wcale nie sprzyja gromadzeniu się nadmiernemu wiernych. Przybywali oni z od-

ległych parafii, schodzili się z promieni kilkumilowych w kompaniach z chorągwiami kościelnemi, z krzyżem i śpiewem. Były nam te kompanie bardzo nie na rękę, bo przecież jasno zdawaliśmy sobie z tego sprawę, że kompanie te, które dziś przychodzą a jutro (a może jeszcze i dziś) odchodzą wysłuchawszy dwu, najwyżej trzech kazań, wyrwanych z całości cyklu kazań misyjnych, nie mogą dostatecznej korzyści z nich odnieść, owszem nieraz ze szkodą to może być dla takich przygodnych słuchaczy, zwłaszcza, jeżeliby zbyt jednostronnie poddając się wrażeniu, z niem wracali do domu odległego, gdzie oczywiście nie znajdą sposobności by się uspokoić. Uniknąć tego mogą tylko ci, co przez cały czas uczęszczali na kazania misyjne, te bowiem w system ujęte i wzajemnie w nim się uzupełniając, dają pewną całość w sobie zamkniętą pod względem nauki, a o ile zmierzają do wyrobienia odpowiedniej dyspozycyi, czy poważnego nastroju w słuchaczach, przechodzą całą skalę uczuć ludzkich. W ten sposób to, co wczoraj wydawało się wątpliwem, dziś znajduje wyjaśnienie, a na to, co w jednej nauce niepokoiło, przerażało, wstrząsało sumieniem, w drugiej podaje się lekarstwo. Nie usuwaliśmy oczywiście tych, którzy przybywali z obcych parafii czy to w kompaniach z polecenia swych pasterzy, czy za własną inicyatywą, bo okrucieństwem wielkiem z naszej strony byłoby pozbawiać słowa Bożego, choć w ułamkach, tych, którzy jak zbawienia czekali tej misyi i trudzili się kilkugodzinną mozolną i przykrą drogą, aby je posłyszeć. Widywaliśmy już tutaj takich, którzy cierpieli dla wiary św. A przytem ludek ten niezmiernie nam się podobał i jakkolwiek zaniedbany i nieoświecony, to jednakże tyle zacności, tyle poczciwości, tyle dobrej woli znaleźliśmy, że jak z wosku można z niego wyrabiać prawdziwe święte dzieci Boże, tyle dobrego materyału, że budować zeń można wspaniałe świątynie żywe. Serce rosło patrzeć, jak ochotnie wszystko spieszyło do kościółka; nikt w domu nie chciał pozostawać dla dopilnowania gospodarstwa, a matki pozabierały z sobą na misye dzieci wszystkie, nawet najmniejsze, żeby tylko nie

potrzebowały dla nich w domu zostać. W kościele z tem naturalnie było źle i niewygodnie, bardzo to przeszkadzało, ale ilekroć nauka wypadła na cmentarzu kościelnym, matki z dziećmi posiadały na trawie i kamieniach, inni na stopniach, prowadzących do kościoła, na dzwonnicy i na dachu stodoły plebańskiej, na płotach i na drzewach i wszyscy z niestrudzoną uwagą pochłaniali wprost słowa misyonarza. Przypominały się nieraz opowiadania z ewangelii o Zacheuszu, który także wdrapał się na drzewo, aby stamtąd zobaczyć Pana Jezusa, o rzeszach, które siadłszy na trawniku u wybrzeży jeziora Genezaret, słuchały Boskiej nauki Zbawiciela, o matkach, które niemowlęta swoje przyprowadzały do P. Jezusa, i my patrząc na te ukochane rzesze, na te wsłuchane oblicza ze łzą wzruszenia w oku, patrząc na ten głód, z jakim pochłaniano nasze kazania, na te ofiary i poświęcenia, jakie ponosili oblęgając od rana do wieczora kościół i z płaczem dopraszając się spowiedzi św., patrząc na tę bezgraniczną miłość Bożą w tych złotych prawdziwie sercach ludu polskiego, nieraz także mówiliśmy sobie w głębi duszy, co kiedyś P. Jezus powiedział, gdy niezliczone tłumy wychodziły za Nim na puszczę: „żal mi tego ludu“. Żal go nam było, niewymownie żal, bo ten świetny materyał nie jest wyzyskany, ta gleba ugorem leży, chwastami i ostami porosła. Rozbujały zielska wad i grzechów, zaległy grube, egipskie ciemności umysłowe, zabobony najgrubszej formy i gusła zapuściły głębokie korzenie, kiełkuje już i socyalizm i bandytyzm, idący od Puław i Baranowa. Ale pobieżnie tylko nań spojrzawszy, nie myślę dłużej nad tym smutnym obrazem się zatrzymywać. bo i żal i boli — tem bardziej, że ten lud nie zawinił, on niezasłużenie w tem hańbiącem jarzmie chodzi. On mógł dziś posiadać wolność dzieci Bożych! Straszna odpowiedzialność cięży na tych, którzy ludu tego zaniedbali, nie wychowali i którzy ustawami i karami zabraniali chwasty wyrywać i nad nim pracować.

A jednakże praca na takiej roli jest niesłychanie wdzięczną, bo niemal na poczekaniu wydaje owoce pocieszające.

Nam też, jakkolwiek tu nas postawiło wymodlone posłannictwo Boże i ono samo w sobie dla nas było wystarczającą pobudką i podnietą do działania a zarazem winno było być nagrodą za trudy, nam praca ta sprawiła niewymowną przyjemność i pociechę, tę, jaką dać może pewność, że żaden wysiłek, żadna kropla przelanego potu, żadne słowo na marne nie pójdzie, ale zejdzie niezadługo i wyda obfity plon.

Trwała misya żyrzyńska pełny tydzień. Oprócz zwyczajnych nabożeństw misyjnych zarządził ks. Dyrektor drogę krzyżową w południowej porze, raz dlatego, żeby ludzi pożytecznie zająć a potem i dlatego, że OO. Bernardyni, którzy w okolicy odprawiali już przedtem misye (n. p. w Kurowie, w Kazimierzu nad Wisłą i t. d.) toż samo czynili. Sądził zresztą, że nam to tem bardziej wypada robić, ponieważ mamy z reguły propagować nabożeństwo do Męki Pańskiej. Odprawiał ją zawsze wspólnie z ludem jeden z pośród misyonarzy. W dni zwykłe mieliśmy słuchaczy 2—3000, w niedzielę i w środę (zakończenie misyi) po 10000. Wyspowiadało się 4—5000. W niedzielę do Komunii św. generalnej, kończącej seryę żeńską, przystąpiło 2300, a w środę rano kończyła się serya męska i drugie tyle otrzymało Komunię św. Do bractwa wstrzemięźliwości wszyscy obecni przystali. W połowie misyi a więc w niedzielę urządziliśmy uroczystość oddania parafii pod opiekę Matki Najświętszej.

Od tego też dnia począwszy brali udział w misyi pp. Wesslowie, którzy są właścicielami Żyrzyna i sąsiedniego Kębła. Przyjechali oni tutaj naumyślnie na czas misyi z Warszawy, gdzie stale mieszkają. Leży im na sercu dola tutejszego ludu, dla niego wybudowali ten piękny kościółek, dlań prosili o misye, a w poczuciu, że w troskliwości oń najlepiej im dopomoże przyświecanie własnym przykładem w spełnianiu wszelkich obowiązków religijnych, już do końca byli stałymi uczestnikami misyi.

Mamże dodać, że przykro nam się zrobiło, kiedy nadeszła ostatnia nasza godzina na miejscu, skąd tyle miłych wspomnień wynieśliśmy? Pożegnaliśmy się już z ks. probo-

szczem, który prawdziwie braterskiem sercem do nas przylgnął, pożegnaliśmy się i z pp. kolatorstwem, poszliśmy pożegnać się jeszcze z P. Jezusem, ostatni pokłon oddać w tym kościele. Uklęknęliśmy przed wielkim ołtarzem. Ale tłumy, czekające na pożegnanie nasze, tuż za nami weszły do kościoła, w jednej chwili kościół był pełny. I oni klęknęli; rzucili się na twarze przed P. Jezusem; powstał głośny płacz i szlochanie. Oni wiedzieli, że to po raz ostatni wstąpiliśmy do ich kościółka, że z tej ambony już więcej do nich przemawiać nie będziemy, że oni już odtąd słów naszych słuchać nie będą. Dla nas już czas, wstajemy od modlitwy, chcemy wychodzić — płacz się jeszcze spotęgował. Nie wiemy, co począć; ci ludzie nie chcą nas puścić, ani się nie ruszają z ziemi. Musieliśmy prosić i przedstawiać, że droga czeka nas daleka, z czasem musimy się liczyć. Wreszcie powstali, puścili nas. Powóz już czekał, ubrany w wieńce. Wyjeżdżaliśmy z Żyrzyna o godzinie 3., żegnani okrzykami wzruszonych, wdzięcznych tłumów.

Lubartów (8.—15. maja).

Opuściwszy Żyrzyn, mieliśmy przed sobą daleką drogę do odbycia, przestrzeń blisko 7-milową. Przez cały czas misyi żyrzyńskiej dziwnie piękna nam pogoda sprzyjała, nie opuściła nas i tym razem. Bardzo opóźniona wiosna teraz starała się powetować, co przez spóźnienie zaniedbała. Słońce dobrze przygrzewało, pola i łąki stały już w pełni stroju zieleni i kwiecia. W całej przyrodzie już ruch się zrobił, wszystko odżyło po długim, zimowym letargu, z lasów tylko jeszcze chłód wiał i martwota. Zrazu banderya kilkudziesięciu koni nam towarzyszyła aż do granicy parafii, do wsi Kotliny. Wzdłuż drogi stały chaty a mieszkańcy ich, którzy przybywali też na misye do Żyrzyna i tam nas poznali, wybiegali gromadnie przed domy i z rozrzewnieniem nam zasyłali ostatnie pożegnanie. Jechaliśmy już dosyć długo, już banderya dawno zawróciła do domu, już coraz rzadziej nas poznawano,

jeszcze ten i ów przechodzień, samotnie przebywający równinę drogą piaszczystą, domyślał się, że to misyonarze, bo coś o tem słyszał, ale reszta obojętnie mijała; snać już dotąd nie doszła wieść o misyach. Coraz bardziej czuliśmy się obcymi. Wreszcie zauważyliśmy przed sobą zbitą masę domów, z wieżą, z kościołem w środku. To miasteczko Michów. Tu według umowy postój i wymiana koni. Były też już nasze konie dobrze zgrzane i wymęczone, nie zdołały nas dalej powieść. Wstąpiliśmy do kościoła parafialnego a potem do ks. proboszcza. Przyjął nas ogromnie serdecznie, z całem wylaniem serca, spodziewał się nas o godzinę wcześniej i razem z ludem zebranym w kościele nas oczekiwał. Nie mogąc się doczekać, odprawił z nimi krótkie nabożeństwo majowe i posłał do domów. Jeszcze resztki stały przy kościele, kiedyśmy przybywali. Niktby nie przypuszczał, że ten pełen serca ksiądz jest zarazem i bardzo wojowniczy. Michów bowiem to gniazdo socyalizmu i bandytyzmu. Puławy a raczej Nowo-Aleksandrya ze swoją wyższą szkołą czy nawet akademią agrarną jest na całą okolicę rozsadnikiem idei socyalizmu agrarnego, teoryi komunizmu i zasad „co twoje to i moje“, idei, które w praktyce objawiają się we formie rozbójniczych napadów na dwory i plebanie, we formie złodziejstw i łotrostw najgorszego gatunku, rozbijania kas rządowych, karczem i monopolów, we formie piekielnej nienawiści klasowej i zbójeckiego bandytyzmu. Co jeszcze dziwniejsza, przykładają rękę zbrodniczą do deprawacyi ludu tutejszego i galicyjscy apostołowie przewrotu. Tu też w całej okolicy grasował ów sławny „Lis“, który pod Lublinem w kuźni umiał się bronić przez parę godzin przed oddziałem wojska rosyjskiego, uzbrojonego w bagnety i karabiny a nawet w armatę, bronił się, dopóki jak sito podziurawiony od kul rosyjskich nie padł bez ducha. Wśród takich owieczek, w takiem otoczeniu nic dziwnego, że musi się mieć na baczności, to też zawsze ma przy sobie brauning, ma mauzera i dubeltówkę, czyli jak nas sam objaśnił, w każdej chwili 48 nabojów gotowych do wystrzału. Wiedzą zresztą o tem wszyscy naokół

i nie zrobił jeszcze z nich użytku, bo to właśnie, że wszyscy o tem wiedzą i to, że znany jest jako niezrównany strzelec, który nigdy na włos nie chybi i jaskółkę w locie przeszyje, czyni go postrachem bandytów i innych towarzyszów, wyszkolonych na czerwonym katechiźmie.

Niedługo tu mogliśmy bawić, nam spieszyło się w dalszą drogę. Odwoził nas jakiś gospodarz michowski. Zaraz za Michowem droga była twarda, kamienna, dalej znowu piachy. Ale niedługo. Wkrótce wydostaliśmy się na drogę, wzdłuż której z jednej i z drugiej strony były pobudowane regularnie domki drewniane a nawet z cegły. Gospodarstwa tu jedne podobne do drugich. Przy każdym domku nadto nie duży ale piękny sad. A wszędzie czysto, schludnie, wzorowy porządek. Od razu ta wieś uderzyła naszą uwagę, bo tak bardzo różniła się od tych wszystkich, przez które dotąd przejeżdżaliśmy. Dowiedzieliśmy się od naszego gospodarza, że to Stary Bór, osada niemiecka. W tej samej chwili, kiedy nam opowiadał, że w tej wsi są „same śwaby i niemce“, zauważyliśmy po prawej stronie budynek drewniany, obszerniejszy od wszystkich innych, z okiennicami zamkniętemi, z krzyżem niedużym drewnianym na szczycie. To ich bethaus, gdzie się schodzą na wspólną modlitwę, jakkolwiek nie mają żadnego pastora ni ministra. Są oni anabaptystami. Minęliśmy ich, wóz nasz dalej nas unosi.

Dzień miał się już ku schyłkowi i słońce ostatniemi promieniami ziemię obdarzało, gdy przejeżdżaliśmy przez miasteczko Kamionkę, własność Konstantego Zamoyskiego. Mieszka on tuż obok w Kozłówce, gdzie ma wspaniały pałac i park a buduje milionowym nakładem jeszcze wspanialszy kościółek, raczej kaplicę, która ma być cackiem i zbiorowem arcydziełem wszystkich sztuk plastycznych. Za miastem wśród niezmierzonych łanów sterczały w szczerem polu po prawej i lewej naszej ręce maleńkie laski z pozłacanymi od słońca zachodzącego szczytami, utrzymywane w celach myśliwskich, dopiero znacznie dalej już na samym krańcu widnokręgu czerniły się lasy gęste, wielkie.

Przejeżdżaliśmy właśnie przez skrzyżowanie dróg. Tam na prawo, najdalej o 2 mile, leży Lublin. Żałowaliśmy, że tylko domyślać się go nam wolno, nie mogliśmy tam być, tam, gdzie przed wieki w kościele dominikańskim przedstawiciele dwu narodów bratnich losy przyszłe połączyli ściśle z sobą zrazu politycznym węzłem a potem w Brześciu i religijnym.

Ciemno już było zupełnie. Wzrok daremnie się sili. Kompletnie nic nie widać, jeden drugiego nie widzimy. Urywa się też rozmowa. Milczkiem brniemy w tych ciemnościach już trzecią godzinę. Tymczasem zamigotało przed nami światełko. Za chwilkę znikło i znów zabłysło. Zdawało się nam, że to nasz wzrok, zmęczony ciemnościami nocnemi a spragniony światła, domyśla się go nawet tam, gdzie go niema, że to złudzenie. Ale nie, znów zabłysło. Teraz już nie ginie. Wyraźnie je widzimy wszyscy. A tam drugie, tam trzecie, czwarte, dziesiąte. Jest ich coraz więcej. W miarę, jak się zbliżamy, coraz nowe się wychylają, już ich świeci cały szereg. To miasto, to Lubartów, zawyrokował nasz woźnica. Wjechaliśmy w ulice miasta — a tu gwarno, rojno, pełno ruchu, jak w ulu, trudno i przejechać. Im bliżej kościoła, tem wolniej i ostrożniej jedziemy, bo coraz więcej ludzi, a kramarze, których legiony całe już stoją z obu stron ulicy, głośno zachwalają swój jedynie dobry towar.

Strudzeni, znużeni, okurzeni jak młynarze, z piaskiem na płaszczach, z piaskiem w oczach, uszach i zębach, stanęliśmy na plebanii, spragnieni spoczynku. Dochodziła już 10. godzina. Wcześniej jeszcze niż my przyszła do Lubartowa wieść, że nas w drodze bandyci napadli. Byliśmy jednakże w tem szczęśliwem położeniu, że mogliśmy stroskanych tą wieścią uspokoić, że my sami dopiero tu się o tem dowiadujemy.

Ponieważ pora już była tak bardzo spóźniona, nie rozpoczęliśmy oczywiście misyi w tym dniu tylko w następnym. Był to czwartek, dzień 9. maja, święto Wniebowstąpienia Pańskiego. Jeżeli w Żyrzynie mieliśmy wielu uczestników

misyi, to wobec tłumów, garnących się na misyę lubartowską, byli oni zaledwie 4-tą częścią. Kiedyśmy zaraz w pierwszym dniu oświadczyli księżom miejscowym, że i tu zaprowadzimy podział na dwa stany i, o ile tylko się da, przestrzegać tego będziemy, wyrazili pewne powątpiewanie i obawę, czy to nie popsuje efektu misyi i czy będziemy mieć dostateczną ilość słuchaczów. Znać było po nich, że trochę się obawiają, że wprost drżą na samą myśl, że doznamy przykrego zawodu, jak nie będziemy mieć do kogo mówić a oni wstydzić się będą musieli za swoich parafian. Ale próżne były to obawy. Wyprowadzili nas w uroczystym pochodzie z plebanii do kościoła, tysiące piersi zaśpiewały staropolską pieśń „Kto się w opiekę“. Kościół tutejszy, pochodzący z czasów saskich, jest w bardzo pięknym baroku wybudowany. Facyata kościoła imponująca i niezmiernie bogata w ornamentykę architektoniczną, w głównych zarysach zupełnie jest powtórzeniem linii rzutu poziomego kościoła. U wspaniałego portalu procesya się z nami zatrzymała — nastąpiła ceremonia, jak przy wizytacyi kanonicznej. Nie można było wszystkich puścić do kościoła, mogłoby powstać jakie nieszczęście. To też utworzył się tuż za nami łańcuch potrójny z mężczyzn silnych, który miał wstrzymać napór z podwórza. Znacznie większa połowa została na dworze. Kościół, jakkolwiek bardzo obszerny, nie umiałby wszystkich pomieścić. Z obu stron wielkiego ołtarza są galerye, ampory, również już przepełnione. O 11. godzinie wyszła suma a po niej dopiero pierwsze kazanie misyjne z polnej ambony. Ale dotąd mógł brać udział ktobądź w misyi bez różnicy stanu, po południu zaś miejsca w kościele miano ustąpić już wyłącznie dla kobiet — i od tej chwili miała nastać możliwość gorzkich zawodów według trwożliwych przewidywań. Było przykro co prawda tym, którzy zdaleka przybyli a nie mogli już korzystać z wszystkich popołudniowych nabożeństw, nie bylibyśmy im gwałtem bronili, ale oni sami wobec poprzedniego rozporządzenia nie śmieli się narzucać. Ustąpili. A i tak kościół nawet jednego stanu nie obejmował.

Zdumiony był proboszcz miejscowy, ks. prałat Mech, pobożnością i poczciwością swoich parafian. Pełen dobroci dla nich, często nam o nich mówił: „oni są dobrzy, oni są dobrzy“, ale żeby tylu tych dobrych było i żeby oni tak dobrymi byli, tego nie przypuszczał. Lubartów jest większem miasteczkiem powiatowem. W samem miejscu jest kilkanaście tysięcy mieszkańców wprawdzie nie bardzo skorych do Boga i do Kościoła, ale teraz iskrą Bożą zelektryzowani i tak silną Jego łaską pobudzeni, że nie mogli jej się oprzeć, spieszyli korzystać z darów Bożych. Przybywały inne tysiące z wiosek okolicznych, bo u nich misyi nie było i nie będzie. Dotarła wiadomość o misyi w Lubartowie i do dalszych parafii i miast, a ponieważ Lubartów ma stacyę kolejową, więc łatwo było pociągiem przyjechać, były też wagony przepełnione pątnikami, zdążającymi na misye.

Na niedzielę zapowiedział ks. Dyrektor ofiarowanie parafii pod opiekę Matki Najświętszej, a zatem kto żył, mógł i miał być obecnym. Nadeszła niedziela, dzień 12. maja. Zaraz zrana miała miejsce Komunia św. wspólna dla pierwszej żeńskiej seryi; ze szczerą, budującą, prostą pobożnością przystąpiło 4500 kobiet do Stołu Pańskiego. Po dziękczynieniu otrzymały błogosławieństwo apostolskie. Było już dobrze po godzinie 10-tej. Jedni nie ustępują, a drudzy w nieprzejrzanych tłumach napływają. O tem, żeby się do kościoła dostać można, ani marzyć. Cmentarz, jakkolwiek bardzo duży, przecież, zdaje się, dla tych wciąż napływających jeszcze będzie za mały. Wyszła suma o godzinie 11. Po niej kazanie Misyonarza, zastosowane do chwili: parafia dziś ma być oddana pod opiekę Matki Najświętszej; kazanie jest przygotowaniem tych falujących tłumów do tego ważnego dla nich aktu. Skończyło się kazanie i teraz wychodzi procesya z Najświętszym Sakramentem Ołtarza naokoło kościoła z pieśnią „Serdeczna Matko“. Procesyę prowadzi ks. prałat, bo i jego parafia i on sam ma być przez Misyonarzy dzisiaj oddany „serdecznej Matce, opiekunce ludzi“. Doszli wszyscy do ołtarza Matki Boskiej, wszyscy padają przed Nią na ko-

lana, klęczy i pasterz, a Misyonarz z ambony odmawia akt, w którym prosi Matki Bożej o opiekę nad wszystkimi, nad sierotami i biednymi, nad starcami i młodzieżą, nad owieczkami i pasterzem. Głośne szlochanie towarzyszy słowom misyonarza, a na znak potwierdzenia tego, co misyonarz mówił do Matki Najśw., wszyscy z pełnej piersi, wezbranej uczuciem serdecznej miłości dla tej Najukochańszej Matki, zaśpiewali „pod Twoją obronę“. Lud zaśpiewał, organ pełny zabrzmiał, śpiewali księża, śpiewał lud, śpiewali wielcy i mali, młodzi i starzy; „pod Twoją obronę“ śpiewali ci, co byli wewnątrz kościoła, „pod Twoją obronę“ dopraszało się trzy razy jeszcze więcej ludu poza kościołem, 20.000 ludu zacnego śpiewało, 20.000 ludu błagało z głębokiem wzruszeniem: „nie racz gardzić naszemi prośbami“, 20.000 głosów dobijało się do nieba: „o Pani, o Pani nasza, Orędowniczko nasza, Pośredniczko nasza, Pocieszycielko nasza!“ a w tych wołaniach niebo odróżniało wyraźnie głosy tych, którzy kiedyś krew przelewali dla Boga i dla Matki Boskiej. Kamienieby się poruszyły od takich błagalnych wołań, a Matka Najświętsza nie miałaby ich wysłuchać?!

Tak zakończyła się jedna połowa misyi, a ks. prałat przez dłuższą chwilę nie mógł wyjść z pod silnego wrażenia, jakiego dziś doświadczył. Druga połowa misyi podobnyż miała przebieg z tą różnicą, że ochota mężczyzn, ich obietnice i przyrzeczenia, ich poprawa i skrucha daleko większą jeszcze są pociechą dla tych, którzy nad nimi pracują. I jak w pierwszej seryi wyspowiadanych i wykomunikowanych było 4500 osób, tak też i druga trzydniówka zakończyła się Komunią św. 4000 mężczyzn. Widać stąd, jak wielką i mozolną i usilną była praca, ale też, jak wydatną była pomoc księży kondekanalnych; przez cały tydzień spowiadało stale księży 20—25. Najlepiej dobrą wolę mężczyzn osądzić można po tem, że gdy mowa była o bractwie trzeźwości, to ani jeden nie znalazł się taki, coby nie zechciał obietnicy złożyć.

Jeszcze tylko błogosławieństwo apostolskie, jeszcze procesya z krzyżem i uroczyste poświęcenie krzyża misyjnego,

jeszcze tylko jedna, ostatnia przemowa do ludu i do księży obecnych, a już nam trzeba było myśleć o pożegnaniu. Ks. prałat tak wzruszony, że ciągle powtarzał: „Coście wy zrobili, coście zrobili z tego ludu!“ Po przemowie misyonarza miał i on powiedzieć do nas słowo pożegnania, ale czuł się bezsilnym. „Uwolnijcie, proszę Was, uwolnijcie mnie od tego przykrego obowiązku“ i ze łzami dodawał „ja dziś tego nie zrobię, ja nic dziś nie mogę, ja nie jestem w stanie i słowa jednego przemówić; wybuchnąłbym chyba głośnym płaczem“. Zastąpić go musiał ks. Boratyński, jego wikary, który przez cały tydzień niezmordowanie pracował zaraz od pierwszych brzasków dziennych aż do późnego wieczora.

Niezadługo potem o godzinie 3. po południu już byliśmy w drodze do Radzynia, trzeciego miejsca naszej pracy misyjnej w tych stronach.

Radzyń 15.—22. maja.

Z Lubartowa do Radzynia mieliśmy 50 km. do przebycia, posłużyliśmy się koleją.

Dojeżdżaliśmy do rdzennego Podlasia. Wprawdzie już zarówno w Żyrzynie jak i w Lubartowie mieliśmy unitów pomiędzy uczestnikami misyi, zwłaszcza zaś w Lubartowie, dokąd ich wielu przybywało z różnych stron, ze względu na wielką łatwość komunikacyi, ale przecież było to wyjątkowe, sporadyczne, to jeszcze nie samo Podlasie, jeszcze nie arena, na której występowali wielkoduszni bohaterowie wiary. Do niej teraz się zbliżaliśmy, wjeżdżaliśmy teraz na nią — na tę ziemię krwią męczeńską nasyconą, na to pole walki, gdzie z jednej strony szalało i pieniło się barbarzyńskie, szatańskie okrucieństwo, a z drugiej stawały do boju: wierność dla Kościoła Bożego, miłość Boża i bezbrzeżna gotowość na ofiary i poświęcenia, na arenę, na której tak krwawe rozgrywały się tragedye. Wjeżdżaliśmy z wrażeniem, jakie ogarnąć może chrześcijanina zbliżającego się do koloseum rzymskiego, do więzienia mamertyńskiego lub do katakumb. I tu widzieliśmy katakumby — te knieje i bory czarne, gdzie prześladowani unici pokryjomu gromadzili się na modlitwę, na na-

rady, a także dla przyjęcia Sakramentów św., gdy znalazł się jakiś ksiądz przejezdny. Widzieliśmy jakby nowe mamertinum, bo w radzyńskiem więzieniu powiatowem jęczały ofiary prześladowców, zarówno księża jak wierni, a koloseum zastąpił plac przed cerkwią, gdzie biedni unici nie chcąc dopuścić schizmatyckiego popa do wnętrza, stali i klęczeli modląc się, podczas gdy żołdactwo znęcało się nad nimi.

O tem myśleliśmy, kiedy pociąg nasz dojeżdżał do stacyi Bedlno, gdzie już przezacny ks. Dziekan Osiński nas oczekiwał. Od Bedlna do Radzynia parę jeszcze wiorst, które odbyliśmy powozami. Stanęliśmy w Radzyniu po godzinie 5. po południu, 15. maja. Zastaliśmy na plebanii licznie zebranych księży, którzy już dziś przybyli z sąsiedztwa do pomocy w Spowiedzi św. Zaraz też w procesyi poszliśmy wszyscy do kościoła, gdzie ks. Dziekan w pięknem przemówieniu przedstawił ludowi zebranemu czas obecny jako chwilę miłosierdzia Bożego i do tego miłosierdzia Bożego gorąco apelując, rozpoczął misyę. Kościół był ludem zapełniony, ale bardzo wiele na razie się go nie zgromadziło; wszakże z każdym dniem następnym tłumy wzrastały coraz bardziej. Na tych ludzi płomiennem sercem przywiązanych do wiary św., patrzeliśmy jak na istoty nie z tego świata. Bo też straszne ta ziemia przechodziła chwile.

Kiedy car Mikołaj I. w r. 1839. wyrzekł pamiętne słowa „błagodariu Boga i prinimaju“, w tejże chwili przestała Unia i przestali unici istnieć oficyalnie jako tacy w imperyum rosyjskiem, Unia była zgładzona. Pozostało jeszcze tylko w obrębie Królestwa Kongresowego 250.000 unitów, a mianowicie w dyecezyi chełmskiej, do której należało Podlasie. Był wtedy biskupem chełmskim ks. Szumborski, po nim od r. 1851 Jan Teraszkiewicz. Jeden i drugi szczerze wierni Rzymowi, nie dosyć stanowczymi okazali się wobec zakusów rządowych, nieraz czynili ustępstwa.

W r. 1863. rządy dyecezyi przechodzą w ręce gorliwego biskupa Michała Kalińskiego. Początek jego rządów przypadł w chwili dopiero co stłumionego powstania polskiego i naj-

straszliwszej mściwej represyi rządu na wszystkiem, co polskie i katolickie, a tem samem i na Unii chełmskiej, posądzanej o zbytnie bratanie się z Polakami i Łacinnikami. Nadto najnienawistniejsze polskości i katolicyzmowi osobistości stanęły u steru rządu w Warszawie, a mianowicie główną dyrekcyę spraw religijnych katolickich objął z początkiem r. 1864. kniaź Czerkaskij, tatar z pochodzenia, najzaciętszy wróg polskości i katolicyzmu, mający prawdziwie mongolskie instynkta, a który choć sam w nic nie wierzył, chciał mimo to wszystkich nie tylko na Rosyan, ale także na prawosławnych przemienić. Dzielnie mu pomagał namiestnik Królestwa hr. Berg. Naprzód Czerkawskij nie dopuszcza Kalińskiego do konsekracyi. W r. 1864. otrzymuje ukaz, mocą którego całe duchowieństwo staje się zależnem nie od swego biskupa, ale od komisyi. W końcu tegoż roku znosi klasztory bazyliańskie w Chełmie, Zamościu, Białej, Lublinie. Został tylko jeden jeszcze w Warszawie. Aby jednak ideę swą przeprowadzić do końca, potrzebował Czerkaskij księży. Takich jednak, którzyby zaprzedali cerkiew, niewielu znalazł w dyecezyi chełmskiej. Postanowił sprowadzić ich z Galicyi. Przybyło ich rzeczywiście kilku, ludzi bez czci i wiary i nimi obsadza rozmaite posady. Nie dosyć na tem; zmusił biskupa do zaprowadzenia wykładów w seminaryum w języku rosyjskim. Wreszcie zażądał, by rok rocznie wysyłano dwu alumnów na naukę języka rosyjskiego do akademii w Kijowie lub do Moskwy. Biskup odmówił. Wtedy Czerkaskij sam kilku alumnów wybrał i przymusowo wysłał. Papież Pius IX. przeciwko temu protestował przez sekretarza stanu Antonellego. Napróżno... rząd odpowiedział papieżowi wywiezieniem biskupa Kalińskiego do Wiatki, 3. października 1866. r., gdzie biskup w kilka dni umarł. Zarząd osieroconej dyecezyi oddał rząd Wójcickiemu, znanemu już z sympatyi dla schizmy. Papież nie uznaje Wójcickiego. Ten wszakże poparty przez rząd, znosi kapitułę chełmską, wprowadza do seminaryum podręczniki rosyjskie, poza murami zakładu zabrania nawet mówić po polsku. Na profesorów powołuje owych niegodziwców, których z Galicyi spro-

wadził dla propagandy schizmatyckiej. Smutne przysługi świadczyła unia Galicyi braci swojej podlaskiej. Ogółem przez cały czas prześladowania Unii sprowadzono z Galicyi stu i kilku popów ruskich, a z tej olbrzymiej liczby tylko jeden pozostał wiernym Kościołowi, wszyscy inni bez wahania przeszli na schizmę, zaprzedali sumienie. Wreszcie wydaje okólniki, nakazujące oczyszczenie liturgii unickiej, to znaczy, że kazał z niej wyrzucić wszystko, co katolicyzm przypominało choćby z daleka, a powprowadzać, co do schizmy zbliżało. W r. 1868. dyecezya chełmska otrzymała prawowitego pasterza w osobie ks. Michała Kuziemskiego, oficyała i kanonika lwowskiego. Wszakżeż wkrótce i on okazał się słabym wobec naporu rządu; ulegał rządowi; ale czując, że pokłócił się z własnem sumieniem, poprosił o zwolnienie z obowiązków biskupa 1871. r.

Rządy dyecezyi pochwycił przybłęda apostata z Galicyi, Marceli Popiel, z polecenia ministerstwa. Ten pchał cerkiew ku schizmie. Okólnikiem z r. 1873. zniósł wszystko, co różniło Unię od schizmy, zabronił we mszy wymieniać imię papieża, do święceń kleryków sprowadził prawosławnego archiereja, gdy zaś alumni z tych rąk święceń przyjąć nie chcieli, wygnał ich wszystkich, sprowadziwszy na ich miejsce nowych z Galicyi, których w pierwszym roku wyświęcić kazał. By wreszcie złamać opór księży prawowiernych, sprowadził szumowiny duchowieństwa ruskiego z Galicyi i niemi poobsadzał dziekanie. By zaś i zewnętrzną formą nie różnić się od prawosławnych, zapuścił brodę i wąsy. Duchowieństwo i lud zastawili się o swoją wiarę. Wskutek tego jenerał-gubernator Kotzebue polecił gubernatorowi siedleckiemu Gromece, parochów unickich osadzić we więzieniach, lud zaś siłą zmuszać do przyjęcia prawosławnego duchowieństwa. Papież Pius IX. dla wyratowania unii głośno podniósł skargę przeciwko Popielowi i potępił całą jego działalność w encyklice z 13. maja 1874. r. Na tę encyklikę Popiel odpowiedział prośbą do cara, w której dla siebie i dla ludu podlaskiego, jako o największą łaskę, błaga o przyjęcie do cerkwi prawosławnej. Poparł go

energicznie przy zbieraniu dobrowolnych (!) podpisów Kotzebue i gubernator siedlecki Gromeka bagnetem i nahajką. Poczem odprawiono dwie uroczystości wozsojedinienia: w Białej i w Janowie 1875. r., na które zjechał arcybiskup prawosławny Joanicyusz, by dokonać aktu uroczystego przyjęcia.

Urzędownie więc Unia była zniesiona i na Podlasiu, żyła ona jednak dalej w sercu ludu wiernego, który za nic od wiary odstąpić nie chciał. Okropne są dalsze dzieje Unii, przypominają one całą zgrozę prześladowań pierwszych chrześcijan. Unici ani chrzcić, ani grzebać, ani małżeństw zawierać nie chcieli przed prawosławnymi świaszczennikami. Z małżeństwami szli za granicę, przeważnie do Krakowa; sakramenta przyjmowali wśród największych trudności od kapłanów łacińskich. Rząd jednak nie ustępował. Kiedy cesarz Aleksander III. na tron wstąpił 1881. r., unici po kilkakroć składali podania na imię cesarskie, by im pozwolono spełniać obrządki swej wiary, ale napróżno. Lud jednak się nie zrażał, czekał. Kiedy za Mikołaja II. robiono spis ludności, unici zapisywali się mimo protestacyi urzędników, na wyznanie katolickie. Rząd czuł, że przeciwko tej silnej wierze ludu nic nie podoła. Książę Imeretyński, jako generał-gubernator warszawski, złożył na imię cesarza memoryał, w którym proponuje nadać wolność unitom. Na jego jednak projekt nie zgodzono się. Dopiero z dniem 17. kwietnia 1905. r., gdy Mikołaj II. wydał ukaz o tolerancyi, wybiła dla nieszczęśliwego ludu godzina wolności. Do cerkwi unickiej wszakże wrócić już nie mógł, bo tej nie było, zapisał się więc na obrządek łaciński.

Wszystkich Rusinów, którzy wskutek ukazu tolerancyjnego przeszli na obrządek łaciński, podaje statystyka dyecezyi lubelskiej na 200.000. A my, przybywając na Podlasie z misyami do ludu katolickiego, zastawaliśmy już unitów w rzymskim obrządku. Oni razem z Polakami przychodzili na nasze misye i cieszyliśmy się, że pracować mogliśmy nad tym ludem, tak bardzo zasłużonym w oczach Bożych, za szczęście uważaliśmy sobie, że przemawialiśmy do tych, których bracia i siostry, ojcowie i matki już należą do jednego

chóru w niebie z takimi bohaterami świętymi, jak św. Sebastyan, św. Polikarp, św. Agnieszka, św. Felicyta, Wiwia Perpetua, Fabiola. Mówił misyonarz do nich o wierze i o przywiązaniu do niej, i nie mógł nigdzie lepszego wzoru znaleźć dla nich, jak we własnej ich przeszłości, w której już dotąd tyle i tak świetnych dowodów złożyli.

Od drugiego dnia począwszy spieszyli na misye w olbrzymich ilościach. Ruch nastał na całą okolicę. Już ani marzyć nie mogliśmy o tem, żeby w kościele przemawiać. To przecie na bardzo rozległym placu przed kościołem mawialiśmy kazania, a jednakże i tu zabrakło miejsca. Pod drzewami przed kościołem były ławki, na nich stawali słuchacze — oczywiście połamali je, ale tak gruntownie, że ani jedna nie ocalała. Z jednej i z drugiej strony są kasztany, wdrapali się na nie chłopcy i tam słuchali, tam im jeszcze było najwygodniej, nikt ich nie gniótł ani nie cisnął, to też tak dużo ich tam się powspinało, że drzewa czerniały, więcej głów ludzkich jak liści; raz w czasie kazania załamała się gałąź i ku przerażeniu wzajemnemu jaki tuzin chłopców spadł na głowy stojących pod drzewem, na szczęście nie zdarzył się żaden wypadek. Wprost frontu kościoła jest dzwonnica i na niej widzieć można było młodszą generacyę poważnie zasłuchaną. Z pod dzwonnicy jest wyjście z kościoła na ulicę, tam nawet żydzi, zaciekawieni, co to takiego jest ta misya, stali w jarmułkach i patrzeli się na te tysiące, skupione koło ambony. Do placu kościelnego przytyka dom, jeżeli się nie mylę, żydowski; i na jego dachu, jakkolwiek bardzo spadzistym, przecież prawie w czasie każdego kazania stały i siedziały dziesiątki osób. A tam dalej ku frontowi kościoła i dalej po prawej i lewej jego stronie i jeszcze za kościołem chwilami zbierały się tak liczne tłumy, że jakkolwiek głośnoby mówił misyonarz, to przecież nie mógł głos jego dochodzić aż dotąd; nieraz też domagano się, aby drugi mówił równocześnie na przeciwległem miejscu, ale na razie było to niemożliwe. Wszystkich oczy i słuchy skierowane były w jedną stronę, tam ku ambonie, z której misyonarz przemawia.

Wszyscy chcieliby słyszeć wszystko a żadnego słówka nie uronić. To też i napór tych mas ku niemu się skierował. Falowały tłumy jak wzburzone morze. Trudno było nad niemi zapanować. Chwiała się parę razy ambona, a z nią i kaznodzieja. Dla ich ochrony zrobiliśmy na około kilku metrów średnicy potrójny łańcuch z najtęższych mężczyzn, który miał tamować gwałtowność falowania. Wkrótce się pokazało, że i na coś innego miejsce w ten sposób opróżnione się przydało. Wskutek nadzwyczajnie silnego ścisku i naporu tłumów ku przemawiającemu misyonarzowi, słabsze osoby mdlały, i co chwila z morza głów kogoś wynoszono i tu pod amboną umieszczano. Niebawem w formalny szpital zamieniło się to miejsce. Takie drobne epizody jednakże nie rozrywały uwagi ogółu. Te tłumy były tak głęboko przejęte, tak religijnie podniecone, że gdyby teraz drugie jeszcze stokroć gwałtowniejsze prześladowanie wybuchło, to przysiądzby można, że wszyscy jak jeden mąż poszliby na najsroższe tortury bez wahania i zapał dla sprawy Bożej i niewysłowiona, poczciwa, ofiarami krwawemi udowodniona ich miłość Boża zajaśniałaby ponownie w blaskach jeszcze jaśniejszych. Nam w takich warunkach nie mogło się rozchodzić o rozniecenie tego płomienia, on chyba już nie może być nigdzie gorętszym, nie może nigdzie być jaśniejszym i potężniejszym, niż tutaj go zastaliśmy; ten lud razem z pasterzem swoim to jedno wielkie, szerokie serce, szlachetne do gruntu, szczere i zacne, ofiar i poświęcenia pełne, tak dalece, że tych ofiar i poświęceń, choćby one największemi były i innych zdumiewały, nie odczuwają nawet jako takich, im się to wydaje bardzo oczywistą daniną dla nad wszystko umiłowanego Boga, oni zapewne nie śmieliby nawet nazwać tego ofiarą czy poświęceniem, wydawałoby się im to przecenianiem siebie i pretensyą. Dla nich — mam ciągle na myśli zarówno owieczki jak pasterza — dać Bogu pracę, która trawi i siły i zdrowie, dać Bogu mienie i zgodzić się na ostateczną nędzę, na ciągłe braki i ubóstwo, złożyć w ofierze całe szczęście i to, co może być sercu najdroższego, poświęcić wszystko, dziś jeszcze,

w tej chwili, poświęcić siebie i jako bezwzględną, całopalną ofiarę oddać się na ołtarz Boży, dla nich to wszystko jest tak prostą, tak zrozumiałą rzeczą, że zapewne ani chwilki wahaniaby nie było. Dużo już Bogu oddali, ale jeszcze więcej Mu dać gotowi. Odczuwaliśmy też, że zamiast uczyć wiary i ducha wiary w nich wlewać, zamiast zachęcać do miłości Bożej, radzibyśmy chwilami od nich zaczerpnąć tego, czem Bóg ich tak hojnie opatrzył. Wobec takich warunków nie mogło się nam rozchodzić o rozniecenie płomieni — widzieliśmy, że jedynem naszem zadaniem dać gruntowny podkład pod moralność chrześcijańską, pouczyć ich dokładnie o ich obowiązkach względem Boga i bliźniego, jednem słowem nie tyle działać na uczucie jak raczej podać zdrowy pokarm nauki.

Można sobie wyobrazić, jakie to wrażenie na nas zrobiło, że gdziekolwiek nakłoniliśmy ucha, słyszeliśmy epizody godne aktów męczeńskich. Oto spotyka jeden z misyonarzy staruszkę i tak ot sobie tylko po to, żeby zbliżyć się do ludu, odzywa się do niej:

— A wy skąd, matusiu?

— A z Orenburskiej gubernii, z Czelabińska, proszę ojca duchownego.

— Jak to, aż stamtąd?

— A tak.

— Kiedyście przyjechali? Jak to było? Dawnoście tu? Powiedzcie.

— Wczoraj przyjechałam. Jechałam ciągle bez przerwy 8 dni i 8 nocy. Jak tylko z kraju mi napisali, że będą u nas misye, tak za nic w świecie nie chciałam tam dłużej pozostać, zapragnęłam jeszcze raz kraj rodzinny zobaczyć, jeszcze raz obejrzeć te pola i łąki nasze, jeszcze raz się pomodlić na ojczystej ziemi — i tak przyjechałam.

— Długoście tam byli?

— Dwudziesty rok.

— A przecież inni powracali do domów po ukazie tolerancyjnym. Mogliście i Wy wrócić. Dlaczegoście tam zostali?

— I pocóż mi było wracać? do kogo miałam wrócić? Tam mi męża zabrali, jeszcze wcześniej odemnie. Tam mi on umarł. Tam mam dzieci, tam się zagospodarowałam jako tako. A tu, tu już nie mam nikogo. Miałam starych rodziców, już ich niema, pomarli. Miałam siostry i braci, zabrani do zimnych krajów za wiarę. Majątek zniszczyli Moskale. Nie miałam po co wracać i tak się tam zostałam. Ale skorom się o misyach dowiedziała, czemprędzej się wybierałam i dniem i nocą jechałam. O Boże, mój Boże, jak się cieszę, że doczekałam się tej misyi św.

— A cóż, jak się misya skończy, to znowu wracać będziecie?

— Trzeba będzie wrócić — ale już będę szczęśliwą, będę tam mogła spokojniej umierać.

Ktoś inny znów z pośród nas spotyka niejakiego Antoniego Wawryniuka z Korczówki. I on za wiarę poszedł na wygnanie do Orenburskiej gubernii. Był tam lat 19, wywieziony w r. 1887. Razem z innymi wygnańcami, których nazwiska i imiona wymienił, prowadził tam życie opłakane, nieraz wśród strasznej nędzy, tak strasznej, że nie było co jeść i czem się przyodziać, a zarobić nie można było, bo nie było gdzie. Gdyby nie wspaniałomyślność ks. prałata Chotkowskiego, który dla nich zbierał składki i z Krakowa do nich je przesyłał, byliby chyba z głodu pomarli. To też niewygasłą dla niego żywią wdzięczność i niezmiernie się cieszyli, że mogliśmy im o nim coś opowiedzieć. Wrócił ten Wawryniuk do kraju w rok po ogłoszeniu ukazu tolerancyjnego, 4. marca 1906 r. Matkę stracił, która umarła zaraz w pierwszym roku wygnania; umarł mu i ojciec na Sybirze. A on, oderwany od żony i dziecka i wysłany razem z bratem Andrzejem i z siostrą Eufrozyną, która również śmierć znalazła na obczyźnie, wrócił do domu, ale wrócił na nędzę, bo majątek rozdrapali przyjaciele i nieprzyjaciele.

To znowu Karolina Dragan opowiada, że i ona niedawno powróciła do domu z wygnania. Jej ojca, Macieja, wysłano do Chersonu za to, że nie chciał dać ochrzcić dziecka

popowi schizmatyckiemu. Siedział najpierw w kryminale w Białej rok cały, a potem 7 lat w Chersonie. Stąd pokryjomu uciekł do kraju, aby dzieciom pomagać. W ukryciu przed władzami udało mu się tu przepędzić 3 lata. Wreszcie go złapano i razem z trojgiem dzieci, t. j. z nią właśnie, Karoliną, i dwoma jej braćmi, nocą wywieziono najpierw do Białej na miesiąc jeden, a potem do Orenburskiej gubernii. Wzięto wtedy równocześnie 20 innych rodzin. Bracia jej zostali w Czelabińsku.

Faktów podobnych możnaby przytoczyć w wielkiej ilości, ale spieszno mi opowiedzieć inne sceny z ich życia męczeńskiego, o których tu słyszeliśmy, a które są również znane z dzieł ks. biskupa Likowskiego, ks. Chotkowskiego i ks. Jana Bojarskiego. Lud podlaski tam zwłaszcza, gdzie znalazł dobry i dzielny przykład u swoich duszpasterzy, postanowił wytrwać w wierze, choćby mu przyszło i życie poświęcić. Trudne to było wobec podstępnych nakłaniań urzędników rosyjskich, tem trudniej, że księży już pozabierano i zamknięto w więzieniach i nie było się kogo radzić. Ażeby postępować jednomyślnie i według pewnego planu, lud ten zacny, z którym niełatwo porównać inny w całej Europie, tak sobie radził. Pasterze jego wygnani, albo w więzieniu, albo na tułactwie więdną od nędzy i zmartwienia. Wzajemne nawet porozumiewanie się między sobą niesłychanie utrudnione, bo po wioskach unickich rozkwaterowało się wojsko, żandarmi, policya, a jednak wymiany myśli i porozumienia się potrzeba koniecznie. Jakto zrobić? Oto pod osłoną ciemnych nocy na umówione hasło: „będzie wesele!“ zgromadza się ów lud po gęstych lasach, ilekroć miarkuje, że większy nacisk mu grozi. Tam poważniejsi wiekiem i światlejsi dają rady i wskazówki, jak sobie wobec grożącego nacisku poczynać. Każde takie zebranie zaczynało się od modlitwy. A jaka to była modlitwa! Chyba tak modlić się umieli tylko chrześcijanie w katakumbach. Uroczysta przed Bogiem i niebem przysięga, że nikt wiary swej nie odstąpi, zwykła była tę modlitwę kończyć.

Na tych naradach nocnych zwykle postanawiano: księdzu intruzowi, odprawiającemu nabożeństwo według obrządku prawosławnego, odbierać klucze od cerkwi i do cerkwi go nie wpuszczać. Gdy to się nie da, nabożeństwa jego unikać, a modlić się w domu albo w innych, jeszcze prawowiernych cerkwiach lub w kościołach łacińskich, od księży intruzów nie przyjmować ani Sakramentów św. ani żadnej posługi duchownej.

W naprężeniu wielkiem byli wszyscy, gdy nadchodził już ostateczny termin stanowczego zaprowadzenia nabożeństwa prawosławnego nakazanego przez chełmskiego apostatę Popiela na dzień 1. stycznia 1874. r.

We wszystkich kościołach znajdowała się tego dnia tajna policya, obserwująca księży, jak nabożeństwo odprawiają. Jedni księża śmiało odprawiali nabożeństwo według dawnego zwyczaju, inni bojaźliwsi, udawali chorych i dnia tego nabożeństwa nie odprawili wcale, albo bardzo małe zmiany poczynili w liturgii, inni wreszcie i to Galicyanie i wyświęceni w ostatnich latach przez Sokólskiego, wiernie spełnili odstępcze rozporządzenie Popiela. Z nabożeństwa tych ostatnich lud tłumnie wychodził według umowy poprzedniej, niejednego z nich w cerkwi poturbował albo go z niej wyprowadził, nie pozwalając liturgii dokończyć, klucze mu odbierał i radził się z parafii wynosić, czasem na własnych wozach odwoził do granicy parafii, lub gdziekolwiekby sam ksiądz zechciał. Na denuncyacyę takiego intruza czy apostaty zjeżdżało niebawem wojsko, aby buntowników ukarać. Lud, dowiedziawszy się o niebezpieczeństwie, zbiegał się na dane hasło: „będzie wesele!“ imponującymi tłumami nawet ze wsi sąsiednich i otoczywszy cerkiew, czekał na cmentarzu na nadchodzące wojsko. Zwykle naczelnik powiatu, albo inny jaki wyższy urzędnik zaczynał od przemowy do ludu, usiłując go przekonać, że winien ustąpić, że taka jest wola władzy duchownej i samego cara, że opór na najsmutniejsze narazi go następstwa. Lud odpowiadał na to, że cesarz pewno nie wie, czego od niego w jego imieniu żądają, bo pamięta dobrze

jak w r. 1865. słowo monarsze dał tym, którzy byli w Petersburgu dziękować mu za uwłaszczenie, że nie pozwoli, aby kto naruszał ich wiarę i obrzędy, a co do władzy duchownej, to tej niema po ustąpieniu biskupa Kuziemskiego i Popiel niema prawa wydawać rozporządzeń w rzeczach duchownych.

Pytano jeszcze potem lud, czy będzie chodził na nabożeństwo do cerkwi i czy będzie przyjmował posługi duchowne od księży posłusznych rządowi i Popielowi, a gdy i na te pytania następowała odmowna odpowiedź, użyto siły wojskowej. Wezwawszy lud do rozejścia się do domów, gdy tenże zwykle dobrowolnie się nie rozchodził, aby parocha odstępcy do cerkwi nie dopuścić, rozpędzano go nahajkami i kolbami, a w kilku miejscach nie wzdragano się użyć nawet broni palnej przeciw bezbronnym, wiary swej broniącym, którzy zresztą wszystkie obowiązki poddanych względem monarchy najsumienniej wypełniali. Popłynęła więc w kilku parafiach krew, aby bogate martyrologium unickie w nowe wzbogacić ofiary. Najgłośniejszymi stały się dwa wypadki rozlewu krwi z powodu opozycyi ludu podlaskiego przeciw nowym odmianom obrządku: w Drelowie, wsi powiatu radzyńskiego i w Pratulinie, wsi powiatu konstatynowskiego.

W Drelowie był proboszczem ks. Teofil Welinowicz. To syn i następca ks. Jana Welinowicza, najzacniejszego kapłana, który jako starzec 70-letni internowany w Chełmie, za rządów intruza ks. Wójcickiego za wierność dla Kościoła, nie dożywszy tam roku, zakończył życie w więzieniu. Nie poszedł syn w ślady ojca, owszem uległszy smutnym nałogom, stał się na wszystko obojętnym i przepisom Popiela bez oporu się poddał. Ale gdy w Nowy Rok odprawiał nabożeństwo stosownie do rytuału Popiela, lud wyprowadził go z cerkwi i klucze mu odebrał. Na skargę przez apostatę wniesioną do do naczelnika powiatu, zjechał sam naczelnik, major Kotow, niezły człowiek, ale ślepo wykonujący rozkazy swej władzy; przybył z nim oddział wojska pod komendą Niemca Kurlandczyka Beką. Ani Kotow ani Bek nie szczędzili słów, aby lud

skłonić do spokojnego rozejścia się, do wydania kluczy od cerkwi i do uczęszczania na nabożeństwo odstępcy pasterza. Daremne ich wysiłki... Wtedy Bek kazał wojsku powiązać ich powrozami. Lud na to spokojnie pozwolił. Kiedy wszakże kozacy poczęli wywlekać ich z cerkwi na ulicę, wtedy oparł się energicznie. Naczelnik zakomenderował nahajki i kozactwo piesze i konne wpadło na cmentarz i rozbijać poczęło, raniąc głowy ludu i twarze grubymi batogami. Powstał jęk i płacz. Wojsko uderzyło bronią sieczną. Lud, widząc się naprawdę napadniętym, wziął się do obrony i wielu żołnierzom broń z ręki wyrwał, ale kilkunastu wśród niego odniosło mniej lub więcej ciężkie rany. Zakłopotany dowódca dał wojsku znak do odwrotu, ale równocześnie telegrafował do Petersburga, co dalej czynić. W kilku godzinach odebrał odpowiedź krótką a straszną: „pierebit wsiech“ (wymordować wszystkich). Chciał jeszcze raz użyć postrachu, kazał strzelać ale ślepymi nabojami. Nikt nie padł. Chwila zupełnej ciszy... Lud się coś po cichu umawia. Z tłumu klęczącego nagle wstaje Semen Paluk, najbardziej poważny gospodarz, w imieniu całej gminy oświadcza Bekowi: „Strzelaj naprawdę, jeśli masz władzę, jesteśmy wszyscy gotowi zginąć, słodko jest umierać za wiarę“. Świsnęły kule na lud klęczący, śpiewający pieśni pobożne. Pięciu wieśniaków padło trupem na miejscu, między nimi Semen Paluk. Rannych kilkudziesięciu. Nie dosyć na tem. Za uchodzącymi do domów puszczono wojsko, które dogadzając swej dzikości, katowało jednych, innych aresztowało. Aresztowanych liczono 60 osób obojej płci i różnego wieku. Wszystkich związano i odprowadzono do różnych więzień: do Radzynia, Siedlec i do Białej. Działo się to 5. (17.) stycznia 1884. r.

W dziewięć dni później odbyła się jeszcze straszliwsza rzeź i powtórzyła się scena jeszcze bardziej wzruszająca w Pratulinie. Proboszcz miejscowy, ks. Józef Kurmanowicz, był już od kilku tygodni więźniem w Siedlcach razem z innymi księżmi. Lud przeczuwał, co go czeka, gdy mu pasterza jego zabierano i rzucał się na kolana przed odjeżdżającym,

prosząc, by mu błogosławił na przyjść mające próby. Pokazało się zbyt rychło, jak słusznie lud przeczuwał, jak potrzebnem mu było bogosławieństwo pasterza. W miejsce uwięzionego proboszcza przybył do parafii pratulińskiej młody Galicyanin, Leonty Urban, wyświęcony przez Bułgara Sokólskiego. Parafianie pratulińscy wiedzieli o tem dobrze, że w poprzedniej swej parafii, w Krzyczewie, odprawił na Nowy Rok nabożeństwo schizmatyckie według przepisów Popiela, za co Krzyczewianie chcieli go w Bugu utopić. Zabrali więc klucze od cerkwi. Ks. Urban doniósł o tem gubernatorowi siedleckiemu Gromece. Zjechał ze swego miejsca zamieszkania, z Janowa, naczelnik powiatu konstantynowskiego, praporszczyk Kutanin; przybyło i wojsko pod komendą oficera Steina. Kutanin, młody jeszcze i zręczny, ufał, że dopnie celu. Przekładał jak umiał ludowi nieuniknioną konieczność poddania się woli rządu. Lud był niezłomny. Przypomniał sobie Kutanin, że we wsi Derle, należącej do parafii, był wieśniak nazwiskiem Pikuła, przez wszystkich poważany i słuchany. Postanowił użyć jego pośrednictwa, a mniemając, że Pikuła inaczej do ludu odezwać się nie może tylko tak jak on mu każe, upomniał jeszcze przed przemową Pikuły lud, aby to uczynił, co Pikuła mu powie. Zdumiał się lud, ujrzawszy Pikułę obok naczelnika. Ale wnet rozradował się, skoro Pikuła w te słowa się odezwał: „Chciałeś, panie naczelniku, abym pouczył lud, jak ma postępować; dobrze więc, spełnię wolę twoją, lecz to, co ja im powiem, oni już od dawna wiedzą. Dla nas wszystkich jest jedna tylko droga: trzymać się silnie naszej św. wiary, cokolwiek z nami stać się może“. Po tych słowach padł na kolana, co za jego przykładem wszyscy uczynili, dobył krzyżyka, który zwykł był na sobie nosić i wymawiał głośno słowa powtarzane przez lud: „Przysięgam na moje siwe włosy, na zbawienie duszy, tak jak pragnę oglądać Boga przy skonaniu, że na krok nie odstąpię od naszej św. wiary i że żaden z moich sąsiadów uczynić tego nie winien. Święci męczennicy tyle mąk ponieśli za wiarę, nasi bracia za nią krew przelali i my także naśladować ich będziemy“.

Zaledwie skończył starzec przysięgę, został związany i odstawiony do więzienia; a Kutanin zawstydzony do domu wrócił. Dalej rzecz prowadził pułkownik Stein. Groził bronią palną. Na to z powagą odpowiedział pewien starzec: „Wiemy, że podług postanowienia cesarskiego nikogo bić nie wolno, dlatego jeśli nas napadać i bić będziecie, będziemy się bronili, czem kto może, a jeżeliby cesarz upoważnił was do zabijania nas, lud gotów jest zginąć za Boga i wiarę i nie cofnie się przed śmiercią". Komendant, oburzony tą śmiałością, a jeszcze bardziej podrażniony, gdy tenże sam odezwał się, dlaczego on, innych namawiając do zmiany wiary, sam nie zmienia wiary swojej luterskiej, rozkazał natrzeć wojsku na lud. Lud się bronił kijami, nieledwie nie zadał porażki wojsku. Stein więc zakomenderował ogień plutonowy. Natenczas wszystek lud zaprzestał obrony i przyklęknąwszy zaczął śpiewać: „Święty Boże" i „Kto się w opiekę". Strzały trwały kilkanaście minut i przez ten czas śpiew nie ustawał, mimo, że liczne padały ofiary w zabitych i rannych. Z ust rannych nie wyszedł żaden jęk wrogom złorzeczący. Trupem padło na miejscu dziewięciu, a czterech tej samej nocy z ran ciężkich umarło.

Ciała zamordowanych zostawiono przez cały dzień na cmentarzu koło cerkwi, aby spędzonemu z okolicznych wsi ludowi pokazać, co każdego czeka, kto rządowi i władzy Popiela się nie podda. Ale skutek tego widowiska nie odpowiedział oczekiwaniom rządu. Lud nie tylko nie uląkł się śmierci widokiem tylu pomordowanyah braci, ale owszem zentuzyazmował się dla sprawy św. i każdy byłby chciał na wzór poległych zdobyć palmę męczeńską, a ci, których rodziny wydały z pośród siebie męczenników, dumnymi byli z zaszczytu, jaki ich spotkał. Gdy stara matka Onufrego Wasyluka, który tu między innymi padł licząc lat 21, chciała opłakiwać stratę ukochanego syna, żona zamordowanego, wstrzymując ją od płaczu, uspokajała temi słowy; „Matko, nie płaczcie śmierci syna, tak jak ja nie płaczę śmierci męża; wszak on ani za zbrodnię, ani za występek zabity; owszem

cieszmy się, że poległ za wiarę. O, gdybym ja była godną umrzeć z nim wczoraj!“ Entuzyazm nie do opisania opanował miejscowych i przybyłych na pogrzeb z rozkazu lub dobrowolnie. Obcy roznosili po oddalonych miejscach opowieści o Pratulinie. Lud nigdzie potem nie upadł na duchu, ale z poddaniem się woli Bożej wyglądał katów, mających mu otworzyć bramę do nieba. Życzenia jednak jego już się nie spełniły. Zląkł się sam rząd swojej zbrodni i tego ludu, który się śmierci nie lęka. Widzieli prześladowcy, że w ten sposób można wszystkich wymordować, a żadnego nie przerobić na schizmatyka. Ile lud czuł w sobie zapału i gotowości do poniesienia śmierci, niechaj służy za dowód to, że ranni, opatrzeni na miejscu rzezi przez lekarzy i felczerów, przybyłych z miast najbliższych, zrywali bandaże, nie chcąc dłużej żyć lecz raczej umierać razem z drugimi. Lżej ranni nie przyznawali się do ran, tak ci, co pozostali w domu, jak ci, którzy poszli do więzienia. Zabrano bowiem jeszcze 80 do więzienia. Zwycięstwo bez jeńców, choć nad ludem bezbronnym, wydawałoby się satrapom niezupełnem. Spotkali się ludzie ze sprawy drelowskiej z ludźmi z pod Pratulina we więzieniach: siedleckiem, bialskiem i radzyńskiem.

Takich mieliśmy uczestników misyi i to nas podniecało, podtrzymywało siły nasze. Przedstawiono nam też starca o długiej, siwej brodzie, który wiele wycierpiawszy, wiele o tych nieszczęśliwych czasach umiał opowiedzieć. W czasie wizytacyi kanonicznej przed rokiem, dopuszczono go tu w Radzyniu do ks. biskupa Jaczewskiego, gdzie w imieniu braci Unitów opowiedział swoje i ich przejścia, a uczynił to tak prosto i z takiem przejęciem, że dawne dzieje świeżym bolem drżały w silnym, męskim głosie jego, a tak barwnie i rzewnie, że wszyscy w głębokiem milczeniu, z szacunkiem i wzruszeniem patrzeli na tego poważnego starca i biskupowi łzy stanęły w oczach.

Działo się to w ogromnym, przepysznym, iście królewskim pałacu pp. Ślubowskich. Dawniej należał on do hr. Potockich i oni to wybudowali i urządzili go ze względu na

królewskiego przyjaciela domu, Stanisława Augusta, tak wspaniale, że podobieństwa dlań trudno doszukać się pomiędzy najprzedniejszemi nawet budowlami Polski całej. Tę wyjątkową cechę posiadają dzisiejsi jego mieszkańcy w całej pełni pod względem szlachetności serca i wielkich przymiotów. — Ale i tu nowa notatka do martyrologium podlaskiego. Na dziedzińcu tego pałacu poznano i zaaresztowano O. Jackowskiego, S. J., który chyłkiem przedostał się przez kordon i przybył do Unitów, ażeby z narażeniem osobistej wolności i życia, spełniać dla nich funkcye religijne. Stąd odstawiono go do więzienia w Białej, a potem do cytadeli warszawskiej. Jednem słowem każdy człowiek, każdy budynek, każdy przedmiot, niemal kamień każdy ma jakiś nowy szczegół do opowiedzenia o męczeństwie i męczennikach; zdaje się, że trawka każda mówi, że wyrosła na gruncie, użyźnionym krwią męczeńską.

Wśród takiego otoczenia nie żałowaliśmy, nie mogliśmy żałować trudów. Robiliśmy dla tych bohaterów, co tylko było w naszej mocy, ile tylko sił starczyło, owszem pracowaliśmy niejednokrotnie ponad siły. Nieraz się nam zdawało, że już, już ustajemy, że dalej nie zdołamy z tą samą intenzywnością pracować, upadaliśmy pod nadmiarem pracy. Ale za kilka minut znów trzeba się było zrywać, znowu przemawiać do tych tysięcy rozentuzyazmowanych, znowu spowiadać cisnących się do Sakramentu Pokuty, bo i któż zastąpi? A zresztą jakżeż taki ludek opuszczać, jak tu pamiętać o sobie! To też nie przyznawaliśmy się ani przed sobą, ani przed innymi, że to już resztek sił dobywamy. Ale łatwo, a nawet miło zapomnieć o sobie tam, gdzie inni pamiętają. Ks. dziekan tak dbał o nas, tyle serca nam pokazał, tak troskliwie się o nas starał, że na zawsze zachowamy go w serdecznie wdzięcznej pamięci.

Żniwo było prawdziwie wielkie, skutek wspaniały, owoc stokrotny. Kilkanaście tysięcy słuchaczy, a chwilami, jak w Zielone Świątki (19. i 20. maja) i w dzień zakończenia misyi (22. maja) powyżej 20.000; kilkanaście tysięcy złożonych uroczyście obietnic wstrzemięźliwości, 9.800 przystępu-

jących do Stołu Pańskiego w pierwszej połowie misyi, a 6.200 w połowie drugiej, to są cyfry, z jakiemi chyba bardzo rzadko wykazać się mogą nasze kroniki misyjne. — Ale mówiąc „skutek“, mówiąc „praca nasza“, zupełnie jasno zdajemy sobie sprawę, że nie zachodzi tu zwykły stosunek przyczyny do skutku, czuliśmy to dobrze. A że przecież były i to tak obfite, to nas zdumiewało i pomyśleliśmy słusznie: „Od Pana się to stało a jest dziwne w oczach naszych.“ To On porusza serca, On włada duszami, pod potężnem tchnieniem Jego łaski uginały się i miękły one. My narzędziem Jego byliśmy.

Gorące, serdeczne przemówienie pożegnalne ks. dziekana na temat „cóż więcej uczynić miałem winnicy mojej a nie uczyniłem“, zakończyło nasz pobyt w Radzyniu, który żegnaliśmy z tą błogą nadzieją, że w lecie następnego roku znów go obaczymy z okazyi nowych misyi w okolicy. Niestety, nadzieja pierzchła, nowy zakaz zamknął nam wstęp na Podlasie.

Międzyrzec 23.—30. maja.

Rozpocznę od tego, na czem skończyłem sprawozdanie misyi radzyńskiej. Zapewne zastanowić muszą i uderzyć ogromne liczby zarówno uczestników misyi, jak zwłaszcza przystępujących do Sakramentów św. A jednakże tu, w Międzyrżecu i jednych i drugich było jeszcze więcej. Do spowiedzi i do Komunii św. przystąpiło przez czas misyi międzyrzeckiej 18—20.000. Nie jest ta liczba dokładną właśnie dlatego, że wprost już rachubę zatracaliśmy wobec ogromu. Jakże to jest możliwem? Oto w ten sposób się to działo. Z całem uznaniem dla księży dyecezyi lubelskiej stwierdziliśmy, że w czasie misyi chętnie i bardzo licznie spieszyli z pomocą w Spowiedzi św. Na wszystkich czterech naszych stacyach misyjnych stale bywało po kilkunastu księży do pomocy, były chwile i miejsca, które gromadziły i 30 księży. To raz, a powtóre, że misye nasze jedna od drugiej odległe były o kilka mil, prawie każda misya w innym dekanacie (z wyjątkiem dekanatu radzyńskiego, w którym odbyły się dwie ostatnie), a więc i lud z kilkunastu parafii przybywał, a kiedy zauważyliśmy, że tych tłumów, cisnących się do konfesyo-

nałów, nie wyspowiadamy, choćby nas i 50 było, poradziliśmy im, że mogą się także wystarać o Spowiedź św. i w swojej parafii, u swojego księdza, jeżeli ten z powodu święta, lub z innej przyczyny nie mógł przybyć pomagać w tym kościele, w którym misya się odprawiała. W ten sposób stale w całym dekanacie, we wszystkich parafiach okolicznych lud garnął się do Spowiedzi św. misyjnej, do swoich pasterzy, a na nauki i do Komunii św. generalnej przystępował tam, gdzie Misyonarze byli. Była w dzieło tak skombinowane wielka suma pracy włożona, a księża miejscowi: ks. prob. Sermento, jakkolwiek schorzały, ks. Kocięcki i ks. Klimkiewicz z prawdziwem poświęceniem przepędzali dzień cały w konfesyonale. Dla ilustracyi taki wypadek: W dzień zakończenia seryi drugiej miała być przemowa przed Komunią św. Zaraz po podniesieniu wyszedł też ks. Truszkowski ze zakrystyi, aby udać się na ambonę. Ale tłumy oczekujące na Komunię św. były tak zbite, że ani na cal ustąpić się nie mogły. Próbował się przecisnąć między nimi, ale okazało się to niepodobieństwem; po kwadransie daremnych wysiłków musiał zrezygnować, tej króciuchnej przestrzeni od zakrystyi do ambony przez szerokość jedynie prezbiteryum nie przebył i przemowy nie było.

Wogóle tłumy gromadziły się tutaj olbrzymie, wprost nieprzejrzane. Najwięcej właśnie słuchaczy mieliśmy w Międzyrzecu. Był dzień jeden (niedziela Trójcy przenajświętszej 26. maja), w którym ogromną ilość ludu oszacowali księża obecni na 35.000. Oczywiście, że w dni powszednie było go bez porównania mniej. To było tylko raz. Ale co nas zastanawiało i pocieszało, to, że mężczyźni we większej liczbie spieszyli na nauki aniżeli kobiety. W seryi męskiej liczyliśmy prawie stale 15—20.000 uczestników. Takich tłumów nie obejmie oczywiście żaden kościół, żaden plac, nie dosięgnie żaden, by najpotężniejszy głos. To też musieliśmy się tak urządzić, że gdy jeden z nas przemawiał w kościele, drugi równocześnie gromadził koło siebie tłumy zebrane na cmentarzu kościelnym i tam do nich prawił kazanie. A i tak kościół był pełny i na cmentarzu, jak daleko okiem sięgnąć,

pełno. W kościele na ławkach stawali, na balaskach prezbyteryum siadali, żeby tylko wolne miejsce zdobyć, chór zapełniony, a nawet okna powyjmowali i tam się uczepili futryn i gzymsów i słuchali chciwie. Na podwórzu znowu murek okalający kościół, cały zasiany chłopakami, na lipy i topole powchodzili, na dach niższej nawy kościelnej się wdrapali. Gdzie tylko jakie miejsce wolne, wszystko zajęte. A trzeba było widzieć tych, co stali we drzwiach kościelnych i tych, co wisieli w oknach wysoko ponad amboną. I jedni i drudzy zajęli takie pozycye, z których słyszeli obu Misyonarzy i tego, co na podwórzu był i tego, co w kościele przemawiał. Nie wiedzieli, którego mają słuchać, przechylali się to w jedną to w drugą stronę, radziby pochwycić to kazanie, ale nie chcieliby też słówka uronić z tamtego. W ten sposób wszakże przypadało na każdego z nas po 2 lub 3 kazania codziennie. I to takie kazania: Gdy po całej godzinie przemawiania głośnego, forsownego, po całogodzinnem wytężeniu wszystkich sił fizycznych i intelektualnych, Misyonarz kończył i chciał schodzić z ambony, lud ten ani słyszeć nie chciał o zakończeniu kazania. Pragnął jeszcze dalej słuchać: „Jeszcze, jesze“ wołał. „My tak długo czekali na ojców duchownych, na chwile wolności, a kiedyśmy się ich doczekali, to nie możemy się dosyć nasłuchać“. Ulegał Misyonarz i mówił dalej. A kiedy po nowej pół godzinie okazywał, że się ma ku końcowi, znów wołali: „Jeszcze, jeszcze! Dotąd karmili nas nahajkami, bagnetami i Sybirem, a strawy duszom bronili. To my głodni, bardzo głodni, i kiedy Ojcowie Misyonarze nam ją podają, tobyśmy tak stali i słuchali do wieczora“. „Do północy!“ zawołało parę głosów z tłumu, „i całą noc aż do rana“, spieszyli inni z poprawką. „Prosimy jeszcze. Jeszcze, jeszcze!“ grzmiąco powtórzył prośbę cały tłum. Wobec tak rozentuzyazmowanych, tak świadomych pragnienia swego tłumów, choćby siły fizyczne odmówiły zupełnie posłuszeństwa, to serce rosło, duch potężniał, uzupełniał ubytek sił fizycznych. W ten sposób dochodziło do tego, że tu w Międzyrzecu, prawie każde kazanie zwłaszcza do mężczyzn, bo ich to były

głosy, dochodziło do dwóch godzin, raz nawet literalnie $2^1/_4$ godziny trwało, a to tylko z konieczności pod wpływem próśb i nalegań słuchaczy.

Służyliśmy im też, w czem tylko mogliśmy, tem ochotniej, że parafia międzyrzecką w stanowczej większości składa się z Unitów dawniejszych. Z 5000 parafian, których miała dawniej, urosła ona w 21.000 po ukazie tolerancyjnym. W Międzyrzecu były dawniej dwie parafie unickie: Międzyrzec stare miasto z ostatnim proboszczem ruskim ks. Andrzejem Horoszewiczem i Międzyrzec nowe miasto z ks. Faustynem Hannytkiewiczem. Obaj nie przyjąwszy prawosławia, byli po tysiącznych bolesnych szykanach brutalnie wyrwani z pośródka parafii i rodzin swoich i po $3^1/_2$ miesięcznem więzieniu internowani bez utrzymania pod nadzorem policyi, jeden we Włocławku, drugi zaś w Łowiczu.

W r. 1873. po wywiezieniu proboszcza międzyrzeckiego ks. Andrzeja Horoszewicza, parafianie zabrali klucze od cerkwi i przez cały rok trzymali je u siebie, nie chcąc wpuścić popa prawosławnego, przysłanego im przez odstępcę Popiela z konsystorza chełmskiego. W roku następnym burmistrz miasta Międzyrzeca otrzymał od Kotowa, naczelnika powiatu, rozkaz, by zwołać wszystkch parafian pod cerkiew na dzień 17. stycznia, w wigilię Jordanu i oznajmić im, że po roku sieroctwa dostaje parafia międzyrzecka pasterza z łaski rządu, że przyjąć go winna z radością, ofiarować mu sól i chleb, a on nazajutrz poświęci im uroczyście Jordan. Parafianie niech cerkiew otworzą i przyozdobią ją odświętnie. Lecz oni ani słyszeć nie chcieli o oddaniu kluczy lub otworzeniu cerkwi dla popa. a zapytawszy burmistrza, czy więcej już nic niema im do powiedzenia, pozostawili go pod cerkwią, a sami rozeszli się do domów. Nazajutrz (18. stycznia) przyjechał urzędnik od „naczalstwa“ i łącznie z burmistrzem siłą odebrawszy klucze, wprowadził do cerkwi schizmatyckiego „świaszczennika“. Lecz gdy parafianie na wszystko prosić zaczęli popa, żeby im nie odprawiał nabożeństwa po nowemu, usłuchał ich, wyszedł natychmiast z cerkwi i wyjechał z probostwa. A więc i ta

próba się nie powiodła. W grudniu (28.) 1874. r. zjechał z Radzynia sam naczelnik powiatu Kotow do Międzyrzeca, zebrał całą parafię i zapytał kategorycznie, czy przyjmą prawosławnego popa, czy nie, czy będą chodzić do cerkwi, czy nie. Odpowiedzieli, że tylko w takim razie pójdą, jeżeli nabożeństwa po dawnemu odprawiać się będą. „Wiem ja dobrze“, odrzekł Kotow, „że nie wszyscy tak myślą i mówią. Wiem, że są pomiędzy wami buntowniki i podszczuwacze, ja ich znam i zaraz ich mieć będę. Zgniją we więzieniu, pójdą na wygnanie, skonają na Sybirze za upór i przewrotność swoją. Ale wiem, że nie wszyscy są tacy. Tych lepszych, póki czas, chciałbym ocalić. Oto macie dwie strony, to prawa, to lewa“ i wskazał miejsca ręką na obszernym placu. „Na prawej niech staną spokojni i powolni rozkazom rządu, na lewą niech idą kozły uparte i buntowszczyki“. Naczelnik był pewien, że niewielu z Unitów pójdzie na prawo, lecz był też przekonanym, że dla bojaźni i surowej odpowiedzialności przed rządem, niewielu się znajdzie dosyć śmiałych, by się zdecydować stanowczo na lewicę — a wtenczas lewicę zaaresztuje i przykładnie ukarze i rzecz cała, bez zbierania niewdzięcznych podpisów skończy się spokojnie i on urzędownie będzie mógł ogłosić dobrowolne i zbiorowe przyjęcie prawosławia przez parafian międzyrzeckich. Lecz jakież było jego rozczarowanie, gdy w jednej chwili wszyscy bez wyjątku poszli na lewicę. Porwał go szalony, bezsilny gniew. Na razie był bezradnym. Zatelegrafował tylko do Siedlec o nieudanej kampanii i wyjechał czem prędzej do Radzynia, gotując straszną zemstę. Trzeciego dnia ujrzeli Międzyrzecanie piechotę, zbliżającą się od Siedlec i Radzynia i kozaków, zawsze gotowych do krwawych pohulanek. Wojsko rozstawiło się po domach unickich całej parafii międzyrzeckiej i natychmiast starzy i młodzi wypędzeni zostali z toporami, łopatami, rydlami, wozami na wszystkie okoliczne drogi i ścieżki. „Cóż my robić będziemy w zimie na zamarzniętej drodze?“ pytali ludzie policyantów i starszyzny. Zamiast odpowiedzi posłyszeli rozkaz, by zgartywać śnieg z dróg. Następnie wzdłuż

drogi i samym jej środkiem, gdzie więcej jest ubitą i kamienistą, kazano kopać rów szeroki i głęboki na parę łokci — a potem na nowo zasypywać i ubijać. Ciężką tę i bezowocną pracę musieli wykonywać przez 16 dni. A gdy oni zziębnięci, bez posiłku częstokroć, dzień cały w ten sposób dźwigać musieli jarzmo barbarzyńskiego rozkazu, wojsko po wsiach rozłożone, rąbało płoty i parkany, zabijało wszelki dobytek, wyjadało i niszczyło zasoby gospodarskiej spiżarni, a najadłszy się, gwizdało i śpiewało na rozkaz naczalstwa sprosne i lubieżne piosenki wśród hulaszczych orgii. Po 16 dniach wziął się Kotow do nahajek. Kobiety i dzieci mniej, mężczyźni odbierali po 75—200 razów. Batożono wsie całe i wszyscy kolejno ten chrzest krwi przechodzili. Jednocześnie przysłano jeszcze setkę kozaków, aby pomagali przy zdzieraniu kontrybucyi pieniężnej lub fantów, przeznaczonych do licytacyi. Pieniądze parafianom wydzierano tygodniowo.

Gdy u Semena Jozafaciuka, we wsi Manie, starca przeszło 70-letniego, znaleziono pieśń polską, został natychmiast skrępowany i odesłany do Siedlec. Był to człowiek rozumny i bez nagany, miał wpływ we wsi wielki i sądzili urzędnicy, że skoro tylko tego rodzaju wpływowych ludzi czy namową czy gwałtem się pozyska dla prawosławia, to za nimi pójdą i inni. Zabrano mu dobytek, zboże, trzodę i sprzęty, zniszczono go na 6.000 zł. W Siedlcach trzymali go rok przeszło. Lecz skoro tylko wydostał się na wolność, natychmiast wnuka do chrztu, a syna do ślubu posłał za granicę i zato zniszczono go znowu na parę tysięcy. Wreszcie Kotow zawezwał go do Radzynia, zależało mu bowiem na tem, by przełamać opór tego powszechnie szanowanego starca. Przekonywał, namawiał, obiecywał naprawienie szkód, obiecywał dużo ponadto jeszcze, ale zgrzybiały starzec wyciągając ku niemu kościste ręce, drżącym głosem rzecze: „Panie naczelniku! Te ręce pracowały wiek mój cały, rano i wieczór składałem je do modlitwy mojemu Bogu; te ręce wypiastowały synów i wnuki. — Panie, czyż możesz tego żądać, bym je splamił podpisem i przyjął wiarę, której nie znam i daj Boże, już

mi jej nie znać?“ Na te słowa starca naczelnik zerwał się z miejsca i dzikie, zwierzęce instynkta w nim zagrały. Rzucił się jak wściekły na starca. W jednej chwili powalił go pod nogi, tratował, kopał obcasami, ranił piersi i głowę starego Unity. Krwią zbroczonego kazał strażnikom podnieść z ziemi, skrępować powrozami i wepchnąć do więzienia. Dalszym scenom z okna budynku powiatowego się przypatrywał. Skrępowany i zbity staruszek iść nie mógł, wlekli go więc strażnicy. Kotow każe go rozwiązać i puścić do domu. Słaby, skatowany nie zajdzie, czeka zatem, aż wóz nadejdzie poń z domu. Przyszedł wóz, ale w tej chwili naczelnik nakłada na starca karę pieniężną i natychmiast każe wójtowi ją egzekwować. Wójt wykonuje rozkaz, konia na miejscu sprzedaje za cenę wysokości kary i biedny Unita znów został bez pomocy przy wozie swoim. Znalazł się nareszcie miłosierny samarytanin, który bydlę swoje zaprzągnął do wozu Józafaciuka, ułożył go na nim, okrył i odwiózł do domu. Niedługo staruszek już żył; zbyt strasznie go skatowano i sponiewierano, wkrótce skonał.

Przytoczę jeszcze jeden wypadek straszny, który wprawdzie nie zaszedł w tutejszej parafii, lecz pod Konstantynowem we wsi Horoszki, ale okropnością i zgrozą jaskrawo ilustruje krwawe apostolstwo. W tej wsi biedna wyrobnica, Maryana Waszczuk, miała czworo dzieci, a dwoje z nich niechrzczonych w cerkwi prawosławnej. Zato musiała znosić różne kary i ciągłe kontrybucye płacić, wolała być wiecznie biedną i na kary pracować, aniżeli pozwolić na chrzest schizmatycki dzieci swoich, tem bardziej, że były one już po katolicku ochrzczone. Wywieziono jej męża w głąb Rosyi, ona sama musiała teraz pracować. — Dowiedzieli się pewnego razu strażnicy, że matka ze starszą córką wyszła z domu, a małe dzieci pozostały pod okieką 12-letniej córeczki. Wziąwszy z sobą wójta i pisarza, włamali się do chaty i wpadli do izby. Przerażona 12-letnia dziewczynka chowa starsze 3-letnie dziecię do kurnika przed strażnikami, a młodsze bierze na ręce i w niebogłosy płacze, wołając

ratunku. Następuje okropna scena wydzierania malutkiego dziecka z objęć 12-letniej opiekunki. Przycisnęła je kurczowo do siebie, broni je jedną wolną ręką, broni się krzykiem i płaczem, rozpaczliwie broni się zębami. Jedni wkładają jej w zęby pałasz, drudzy chwytają za głowę i ręce, a inni wydzierają zanoszące się od płaczu i przerażenia dziecię. Dziecię wydarte owinęli strażnicy w szynelę, a biedną dziewczynkę, rwącą się do nich po dziecko, porzuciwszy na ziemię, tak strasznie zbili, że ranami pokryta, z połamanemi rękoma leżała rok cały i na resztę smutnego życia została kaleką, wyschłym cieniem dawniejszej młodości i świeżości. Strażnicy, wyniósłszy z pisarzem i wójtem dziecię z chałupy, spotkali się z orszakiem kobiet, biegnących na pomoc zagrożonemu domowi i dzieciom, ale pomoc była już spóźniona. Strażnicy dobyli pałaszów, gotowi po batalii z 12-letniem dzieckiem, walczyć z bezbronnemi kobietami. Lękając się wszakże przybycia mężczyzn, czemprędzej bocznemi ścieżkami unieśli zdobycz swoją do Gnojna, do popa schizmatyckiego, który już czekał na nich, aby jakiekolwiek ukradzione dziecko ochrzcić. Matka dowiedziawszy się o nieszczęściu, pozostawia w domu dziecię we krwi leżące, a biegnie zrozpaczona po wykradzione niemowlę, aby je wyrwać z rąk tyranów i ocalić od hańby prawosławia. Już było zapóźno, ochrzczone przez popa dziecię już strażnik odwoził do matki. Lecz nie dosyć na tem nieszczęściu. Zalegała ona z wypłaceniem kary za niechrzczenie dzieci, nie miała z czego zapłacić. Jedyną karmicielką czworga dzieci i matki była krowa i parę owiec. Z rozkazu naczelnika wójt i strażnicy zabrali to i sprzedali, a kara musiała być zapłacona. Ale wojna o chrzest jeszcze nie skończona. W domu jest jeszcze owo 3-letnie dziecko przez popa dotąd niechrzczone, a mąż na wygnaniu, żona więc jest bezbronna, tem łatwiejsza z nią dla strażników sprawa. W r. 1878. w czasie jesiennym, nad wieczorem, strażnicy napadli niespodziewanie z wójtem dom tej mężnej niewiasty i korzystając z nieobecności jej i starszej córki, porwali dzieciaka i na ukrytym wozie zawieźli do popa w Gnojnie. Dziecko

zanosiło się od płaczu, krzyczało, szarpało za twarz tych, co je trzymali, wołało jakby przez matkę wyuczone: „Nie chrzcijcie mnie, ja już ochrzczony w kościele, ja chrztu nie potrzebuję“. Nic to jednak nie pomogło, pop zrobił swoje, a strażnicy prędko odwieźli matce skradzionego chłopca. Odegrała się rozdzierająca scena, gdy wójt ze strażnikami nocną porą odwieźli dziecko. Dom zamknięty, drzwi podparte od wnętrza, w domu żadnego światła. Wołania i groźby strażników nie budziły nikogo, kołatania we drzwi i okna daremne. Nawet na znany głos i szlochania dziecka za oknem i prośby jego: „Matulu, matulu“, nikt z domu się nie odzywał ani się nie ruszał. Na hałas i krzyk strażników zbiegli się ze wsi mieszkańcy, przysłuchując się zdala tej scenie. Strażnicy przynieśli koły i siekierę, a nie mogąc wejść drzwiami, wyjęli okno i do izby wpuścili płaczące i drżące od zimna i strachu dziecię. W tej samej chwili matka stojąca u okna w ciemnej izbie, postradawszy wprost świadomość od szalonego bolu, który szarpał jej macierzyńskiem a katolickiem sercem, porwała wpuszczonego chłopczyka i wybuchając tłumioną boleścią i bezsilnym gniewem, oburącz rzuciła go napowrót do strażników, wołając głosem serce rozdzierającym: „Szatany!... idźcie do piekła razem z tym chłopcem i do tego dyabła, co was tu wysłał męczyć nas za św. wiarę! Ja miałam anioła i za niego duszę bym swoją dała, a to już splugawione chrztem schizmatyckim. On piorun Boży na mnie i na resztę moich dzieci sprowadzi. Won złodzieje! bo nożem wam i jemu oczy wykolę, won mi, won razem z nim do dyabła!“ Na ten wybuch nadludzkiego cierpienia, które wyrwało tak straszne przekleństwo z ust matki, rzucone na strażników i rodzone dziecię, na ten rozpaczliwie bolesny krzyk kobiety, gotowej rozszarpać to dziecię, które aż dotąd było uosobieniem tego, co miała najdroższego na ziemi, potruchleli wszyscy; zdumieli i strażnicy. Dziecię biedne, przerażone nieznaną mu grozą matki i krzykiem jej, jęknęło, zaniemiało i dygocąc ze strachu, tuliło się do szyneli strażnika. Kobiety stojące opodal poczęły szlochać od żalu, a mężczyźni złorzeczyli schiźmie, która tak opłakaną

na nich dolę sprowadziła. Lecz potrzeba być matką, aby matki serce zrozumieć. Wybuchła gniewem wściekłej lwicy, z nożem stanęła, gotowa tyranów i własnego dziecka krwią ugasić pożar, który palił jej serce, palił jej mózg i przytomności ją pozbawiał; po chwili zadrżała i przelękła się samej siebie. Szlochania sąsiadek, płacz i wołania ludzi za oknem, lament córek w chacie, z których jedna, męczenniczka za wiarę, chora leżała, dokonały reszty i matka odrzuciła nóż, wyciągnęła ręce po drżące i zziębnięte dziecię swoje i z okrzykiem rozpaczy: „O ja nieszczęśliwa, o ja nieszczęśliwa!“ przyjęła je napowrót do siebie. Nazajutrz zebrali się sąsiedzi i życzliwi u biednej Maryanny Waszczuk, przedkładając jej, aby nie traciła serca dla dziecka, że chrzest prawosławny poniewolnie udzielony nic nie znaczy, nie przeszkadza zbawieniu, tem mniej, że dziecię po katolicku już było ochrzczone i popa z płaczem odpychało.

Dreszczem zgrozy przejmują takie wypadki, a jednakże nie były one bynajmniej odosobnionymi. Cóż dziwnego, że w sercu, gdzie wiara była tylko o jeden stopień poniżej heroizmu, rozpacz się zagnieździła wobec strasznych długoletnich prześladowań, których końca żaden dzień nie zwiastował, ale owszem jeszcze coraz nowe przynosił. I znane są wypadki, że szalona boleść, żywiołowa bojaźń przed widmem schizmy, wziąwszy górę nad rozwagą, popchnęła do czynów przerażających. Jeden ojciec z obawy, by które z członków jego rodziny nie przeszło na schizmę, w szale rozpaczy spętał żonę, zarznął i rzucił na słomę, spętał dzieci i tożsamo z niemi uczynił, a potem słomę i chałupę podpalił i w niej wraz z całą rodziną spłonął. Pop budził taki niepokonany wstręt, że niejedna matka udusiła niemowlę, by się tylko nie dostało w jego ręce. „Jeden z moich przyjaciół, Moskal prawosławny, (są słowa Leroy-Beaulieu w dziele „L'Empire des Tsars et les Russes“) widział kobietę, która dziecięciu swemu o mur rozstrzaskała głowę, bo pop czyhał na nie i chciał je chrzcić. Gdzieindziej rodzice siebie i dzieci zaczadzali, ponieważ gwałtem tych ostatnich domagano się

do chrztu schizmatyckiego". Zbyt to straszne i bolesne, by się można dłużej jeszcze nad tem zatrzymywać i przytaczać więcej takich faktów.

Można sobie wyobrazić, jaka niewysłowiona radość zapanowała wśród Podlasian, gdy wreszcie po tylu latach gniotącej niedoli zajaśniała dla nich jutrzenka swobody i wolności w dniu 17. kwietnia 1905. r. Kiedy księża z ambon odczytywali ukaz tolerancyjny, zaledwie przemówili pierwsze słowa, powstał głośny płacz w kościele, to łzy nieznanej radości cisnęły się wiernym do oczu. Łzy również tłumiły głos pasterzom i nie pozwalały dalej czytać, wszyscy z głębokiem uczuciem wdzięczności rzucili się na kolana przed Panem i w gorącej, głośno się z serca wyrywającej modlitwie dzięki Mu składali serdeczne. Nie przywróciła im wolność religijna wszystkiego, co postradali, nie przywróciła im ich Unii, nie przywróciła ani księży, ani cerkwi, ani obrzędów, ale ich wierze dała prawo obywatelstwa, dała im wolność sumienia. Owe 200.000, które pomimo szalających srodze burz prześladowania wytrwały mężnie w jedności z Kościołem Bożym, rok 1905. zaprowadził do obrządku łacińskiego i ks. biskup lubelski, Jaczewski, w czasie swej wizytacyi kanonicznej w r. 1906. mógł ich już powitać jako swoich poddanych dyecezyalnych. I my przybywając na Podlasie również zastaliśmy ich już w Kościele łacińskim łącznie z Polakami.

Ks. biskup Jaczewski chciał wyzyskać względną swobodę, zapewnioną ukazem tolerancyjnym. Dlatego sam z podziwienia godną gorliwością wizytował dyecezyę, by podnieść ducha poddanych sobie owieczek, przygnębionego tyloletnią niewolą, wzywał do siebie Misyonarzy, skąd tylko ich się mógł spodziewać. Wogóle rozwinął w całej dyecezyi ruchliwą, prawie gorączkową działalność, jakby w obawie, że już dzień jutrzejszy na nowo może otworzyć dawny grób wolności religijnej. Prawdopodobnie nie przypuszczał, że rzeczywiście reakcya tak rychło nastanie, ale sam tego niezadługo doznał, bo karami obłożono tych, którzy banderye honorowe tworzyli ks. biskupowi, jemu samemu raz przerwano objazd dye-

cezyi i urzędownie kazano do domu wrócić, a w maju 1907. r. czynniki prawosławne w jego dyecezyi rozagitowały się, wnosząc do cara prośbę o oderwanie Chełmszczyzny całej od Królestwa Polskiego a przyłączenie do „istinnej Rosyi". I my żegnając ten lud bohaterski w czwartek 30. maja, w dzień Bożego Ciała, nie przypuszczaliśmy również, że drugi raz tej ziemi podlaskiej oglądać nie będziemy, owszem wyjeżdżając cieszyliśmy się nadzieją, zdawało się nam, że nie tyle żegnać się, jak raczej „do widzenia" mówić nam wolno, tem słuszniej, że kilku księży zapraszało nas na nowe misye. Prysła nadzieja, jak bańka mydlana, bo obecnie, gdy wspomnienia te notuję, gubernia siedlecka i lubelska dla nas zamknięta.

Ks. Wilh. Szymbor.

Historya Zgromadzenia w Irlandyi.

Podług notatek ks. Jakóba Carpentier'a.

Zawiązki Zgromadzenia w Irlandyi.

Już za czasów św. Wincentego Zgromadzenie niemało zasłużyło się około podniesienia Kościoła i posunięcia naprzód sprawy katolickiej w Irlandyi. Lecz prace Misyonarzy, przerwane od dwóch prawie wieków, przeszły do historyi. Odżyły te wspomnienia na nowo w zaraniu ostatniego stulecia, właśnie kiedy gorliwy ks. Ferris pracował w narodowem kolegium w Maynooth. Ks. Ferris, przybywszy do Irlandyi, jako wygnaniec, nie myślał może o tem, że będzie kamieniem węgielnym nowego dzieła apostolskiego. Długi czas był profesorem teologii, celując zarówno gruntowną nauką, jako też i cnotą. Uczniowie kochali go nad wszystko i uważali sobie za zaszczyt, jeżeli przy opuszczeniu szkoły otrzymali portret swego mistrza, który jako drogą i kosztowną pamiątkę przechowywali. Śmierć wydarła go zpośród ich grona w r. 1809; szczątki jego pogrzebano na parafialnym cmentarzu. Dopiero w r. 1875, za staraniem ks. O'Callaghana, byłego superyora w mieście Cork, przeniesiono popioły świątobliwego kapłana do Castleknock, gdzie po dziś dzień spoczywają.....

Już dwa wieki upłynęły, odkąd synowie św. Wincentego robili wycieczki misyjne na te wyspy północy, choć tam jeszcze ani prowincyi, ani domu nie posiadali. Zasłynęła praca Misyonarzy we Francyi i o innych misyach głośno mówiono, zapomniano tylko zupełnie o misyach irlandzkich, choć i tam zaczynało się wszystko ożywiać.

Katolicyzm bardzo powoli się rozwijał, jęcząc pod jarzmem prześladowców. Lecz z czasem ustają wichry i burze

i pokazuje się wypogodzone niebo. Prześladowanie łagodnieje, chociaż nie oddano jeszcze kościołów właścicielom. Przecież tyle wolności posiadali katolicy, że sobie mogli nowe świątynie stawiać, na co nie szczędzono ni czasu, ni pieniędzy.

Na początku XIX. w. zapanowała już zupełna wolność. To też gorliwsi i zasobniejsi ludzie tem spokojniej i łatwiej mogli rozszerzać światło wiary św., zwłaszcza niektórzy wpływowi kapłani. Wszyscy sobie życzyli, żeby sprowadzić do kraju Misyonarzy lub im podobne Zgromadzenie. Jednym z największych takich propagatorów był ks. Fitzgerald, przełożony kolegium w Carlow. Do niego przyłączył się inny mąż, doktor Doyle, biskup z Kildare i Leighlin, który dobrze znał Misyonarzy w Coimbrze; wreszcie trzeci doktor Maher z Dublina, który nawet bawił przez dłuższy czas u Misyonarzy w Rzymie na Monte Citorio. Usiłowania ich spełzły na niczem, bo godzina, naznaczona przez Boga, jeszcze nie wybiła. Czego więc znakomici i sławni ludzie nie mogli do skutku doprowadzić, tego dokazały w krótkim czasie osoby mniej znaczące.

Posłuchajmy, co o tem pisze nasz Superyor Generalny, ks. Noso, w swym cyrkularzu z 1. stycznia 1840.

„Dyrektorowie i założyciele Małego Seminaryum w Dublinie prosili nas, żeby się mogli przyłączyć do naszego Zgromadzenia; po rozważnem zastanowieniu się uczyniliśmy zadość ich życzeniom, ustawicznie powtarzanym. Natychmiast ks. ks. Dowley i Kickham, kierownicy wspomnianego Seminaryum, przyjechali do Paryża i jako nowicyusze przez sześć miesięcy przyświecali nam dobrym przykładem. Dla spraw zakładowych musieli wrócić do Irlandyi — nie długośmy jednak czekali, a wnet nowy seminarzysta, Irlandczyk, godnie zastąpił ich miejsce“.

„Jeżeli ten związek się wzmocni, to, jak się tego wszyscy spodziewamy, wyniknie z tego dla kraju przez misye bardzo wielka korzyść. Wiele tam znajduje się domów, gdzie potrzeba Misyonarzy, znających język angielski“. — (Cyrkularz, t. II. str. 319).

W cyrkularzu zaś z 1. stycznia 1846. pisał znowu ks. Nozo: „Możemy już sobie powiedzieć, że mamy dom w Irlandyi. Wyspa ta nie zapomniała o udzielonych przez samego św. Wincentego dobrodziejstwach. Wysyłał on swoich synów może tylko po to, żeby łagodzili okrutne postępowanie Cromwella. Później powstało tam Zgromadzenie pod imieniem „Ks. Ks. św. Wincentego", którzy usiłowali naśladować cnoty naszego Założyciela. Dowiedziawszy się o naszem Zgromadzeniu, zamierzyli się do niego przyłączyć i w tym też celu napisali do nas list. Ożywiła się korespondencya między nimi a naszem Zgromadzeniem, niebawem zaś superyor irlandzki zjechał do Paryża z jednym ze swych towarzyszy i prosił o przyjęcie do Zgromadzenia. Krótki był czas próby, lecz jak najlepiej wykorzystany. Irlandczycy zaprawili się do życia misyonarskiego i powrócili do ojczyzny, napełnieni duchem Bożym i nowym zapałem do pracy. Nie poprzestali na tem, bo poprosili jeszcze Superyora Generalnego o przysłanie im kogoś z naszych, któryby ich w duchu naszego Zgromadzenia utrzymywał. Wyjechał więc z Paryża jeden Misyonarz i zabawiwszy kilka miesięcy w Irlandyi, powrócił do kraju. Korzystali z jego pobytu irlandzcy Misyonarze, budując się jego pobożnością i sami się w niej ćwicząc. Bóg spojrzał także łaskawie na zapał opuszczonych dzieci, zsyłając im jak najobfitsze łaski. Można o tem już z tego wnioskować, że w tym roku zgłosiło się bardzo wielu postulantów. Oprócz Małego Seminaryum kierowali jeszcze Misyonarze kościołem św. Piotra w pobliżu Dublina. Do tego kościółka napływały tłumy wiernych, spragnione słowa Bożego. Tu było centrum pobożnych stowarzyszeń, które się przyczyniały do powiększenia chwały Bożej i uświęcenia dusz. Tak więc spełniło się proroctwo św. Wincentego nad Irlandyą, kiedy pisał te słowa: „Krew tych męczenników nie pójdzie w zapomnienie przed obliczem Boga, lecz prędzej czy później wyda nowe zastępy wiernych". — (Cyrkularz, t. II. str. 522.).

Przypatrzmy się teraz szczegółowiej kolejom Zgromadzenia w Irlandyi.

Było to w r. 1832. Czterech młodzieńców, którzy pokończyli swe studya w Maynooth, uroczyście postanowiło znosić wszelkie trudności życia i pracować nad rozszerzaniem chwały Bożej. Byli to późniejsi księża Lynch, Kenrick, Reynolds i Burke, wszyscy z bogatej dyecezyi dublińskiej. Zwierzają się ze swymi planami pewnemu staremu kapłanowi i jednemu ze swych profesorów, pytając ich o radę. Ci doradzili im, żeby wstąpili do Zgromadzenia Ks. Ks. Misyonarzy. Ale już z początku musieli młodzieńcy walczyć z trudnościami. Byli przedewszyskiem zbyt niedoświadczonymi, potrzebowali jakiegoś starszego przewodnika.

Znaleźli go w osobie ks. Dowley, który się niemi szczerze zajął. Zrzekł się nawet zaszczytnego i korzystnego stanowiska w wielkiem kolegium, by tylko wyłącznie poświęcić się owym młodzieńcom; głównie zaś pragnął zostać wiernem narzędziem Opatrzności Bożej.

Wkrótce wzrosło grono, kiedy się do niego przyłączył szlachetny młodzieniec Mac Can, który właśnie kończył studya teologiczne w Carlow. Niedługo potem, przyjaciel i współuczeń Lyncha, Mac Namara, zapisał się także pod tę samą chorągiew. Miał on się wielce zasłużyć dla Zgromadzenia głównie przez napisanie historyi jego w Irlandyi. O sobie bardzo mało wspomina, choć wszystkie prawie sprawy misyjne spoczywały na jego barkach w tak krytycznym czasie. Mac Namara znany już był w Paryżu jako rektor kolegium irlandzkiego i zasłynął już wtenczas jako człowiek pełen ducha Bożego.

Gdy tak powoli wzrastało grono, zaczęto też robić pierwsze kroki w pracy misyjnej. Członkowie jego zamyślali otworzyć szkołę dla eksternistów, do czego ich także ks. arcybiskup Murray zachęcał, który powierzył im kaplicę w Phibsborough, należącą do parafii św. Pawła i obiecał im jeszcze inną fundacyę.

W tym czasie stan rzeczy miał się zupełnie zmienić, otworzyło się bowiem szerokie pole dla nowych pracowników, którzy je mieli własnym potem użyźnić.

Kolegium św. Wincentego w Castleknock.

Kiedy tylko nadarzyła się sposobność, zakupiono w Castleknock, na znanem z historyi terytoryum, dom, położony zdala od gwaru miejskiego, cztery mile na wschód od Dublina. To miejsce upatrzył sobie arcybiskup dla swojego seminaryum i dla wychowania alumnów; za jego przykładem poszło niebawem dwóch innych biskupów. Otwarto kolegium 1835. r., prawie w tym samym czasie, kiedy seminaryum w mieście zamknięto. Obsługa kolegium i kaplicy w mieście były już dość znacznym ciężarem na tak małą liczbę owych księży irlandzkich, którzy zawiązali stowarzyszenie misyjne; a jednak, chcąc zostać wiernymi celowi, dla którego się połączyli, nie mogli zaniechać misyi.

Zaczęto je więc dawać w trzech kościołach tej parafii, w której zamieszkali, gdy tymczasem kaplica miejska przepełniona była wiernymi, których przyciągała prosta metoda kazań, nazywanych krótko „naukami“.

Były to w całem tego słowa znaczeniu ciągłe misye, bo w kazaniach zawsze zalecano spowiedzi generalne i pilnie ich słuchano, rzecz przedtem w mieście całkiem nieznana.

Wszystko to działo się w r. 1838. Pomimo obfitych owoców misyjnej pracy szczupłe grono uczuło się wkrótce wyczerpanem na siłach. Dwóch członków zabrała śmierć, spowodowana zapewne zbytnim wysiłkiem. Drudzy, zniechęceni, zaczęli sobie szukać innego pola działania. Misye, jako główny cel, zdawały się zbyt trudnem zadaniem, jakkolwiek w rzeczy samej tak źle jeszcze nie było.

Pod koniec roku 1838. odbył ks. Fool z „Kolegium Irlandzkiego“ w Paryżu wizytę w Castleknock, przezco zmieniło się całe położenie i nowy duch wstąpił w skołatanych apostołów. Poinformowawszy się o sposobie życia i celu nowego stowarzyszenia, wrócił O. Fool do Paryża, a wkrótce potem otrzymał superyor, ks. Dowley, list od Przełożonego Generalnego Ks. Ks. Misyonarzy z zaproszeniem, by się udał osobiście z jednym ze swych towarzyszy na pewien czas do

domu macierzystego Zgromadzenia. Stowarzyszenie wprawdzie w tym względzie nie przedsięwzięło od siebie żadnych starań, ale przyjęło zaproszenie ochotnie i z wdzięcznością. Chodziło tu oczywiście o wstąpienie do nowicyatu, co też superyor i ks. Kickham istotnie zrobili.

Zabawiwszy w domu macierzystym sześć miesięcy, udali się do Castleknock, by tam dalej kontynuować seminaryum pod kierunkiem francuskiego Konfratra. Był nim ks. Girard z misyjnego domu w Tours; lepszego wyboru nie można było zrobić. Dziś jeszcze ze czcią wspominają tam imię tego Konfratra nawet ci, którzy go osobiście nie znali. Ks. Girard bawił w Irlandyi aż do złożenia ślubów św. przez superyora i założenia w r. 1838. domu św. Wincentego, pierwszego domu Zgromadzenia w Castleknock i w całej Irlandyi. Zmiany w owem stowarzyszeniu nie zaszły wielkie; wszystko odbyło się w sposób zupełnie spokojny i naturalny, bo też nie było co zmieniać.

Teraz tylko odżyły na nowo reguły, które członkowie już przedtem praktykowali. Zmiana była więc, jak zauważyliśmy, zupełnie naturalna, albo raczej nadnaturalna, bo w tem wszystkiem widoczna ręka Boża. Członkowie nowego Zgromadzenia byli ludźmi dobrej woli, pałali gorliwością o zbawienie dusz, a przedewszystkiem szukali kierownictwa w obranej przez siebie pracy. Tak to Opatrzność Boża prowadziła ich do dawno upragnionego celu.

Niedługo potem ks. Dowley, który już złożył śluby, dopuścił także do nich swego towarzysza nowicyatu, a następnego roku czterech innych, którzy ukończyli seminaryum.

Niebawem poczęło tętnić bujne życie w nowem Zgromadzeniu. Kiedy otrzymano pomoc od Konfratrów z Maynooth, poczęto myśleć o pracy misyjnej. Pierwszą misyę odprawiono w Athy, drugą w Kingstown, w archidyecezyi dublińskiej.

Brak miejsca nie pozwala na opis szczegółowy wszystkich dziwnych objawów na pierwszych misyach. Z początku księża świeccy, nie znając ważności misyi, nie zbyt je też

popierali. Zato lud garnął się na nie tłumnie, wiernych liczono na tysiące, ulice roiły się od ludu, zdążającego na święte te ćwiczenia. Zdawało się, że podczas misyi wszystkie inne zajęcia ucichły. Wszędzie rozprawiano o misyach, misye stały się najżywotniejszą kwestyą dzienną; rozprawiano pomiędzy sobą o tem, co na ambonie kaznodzieja wygłosił, wszyscy chcieli spowiedzi. Od rana do wieczora siedzieli księża w konfesyonałach, kościół zamykano po północy. Rano zaś, ledwie się otwarły drzwi kościelne, fala ludu tłoczyła się do świątyni. W pięciu minutach gromadziła się taka ilość ludzi, że chyba w dwu dniach możnaby ich z ledwością wyspowiadać. Cóż począć wobec tego? Czy zawezwać do pomocy innych Misyonarzy? Czy otworzyć kościół na całą noc? Otworzono.

Lecz niezadługo znalazł się inny sposób wyjścia: rozdawano bilety wstępne i tego sposobu trzymano się przez wiele lat, a zdaje się, że jeszcze tak jest po dzień dzisiejszy. Ks. Mac Namara przytacza z tego czasu budujące zdarzenie, które świadczy, jak wielce ceniono bilety wstępne. Pewna kobieta, nie wiedząc, w jaki sposób otrzymać bilet, spotyka małą sierotę, która szczęśliwym trafem go zdobyła. Zaproponowała więc sierocie, żeby jej odstąpila karty wstępnej, a wzamian zato obiecała, że ją z powrotem weźmie do siebie i będzie się nią opiekowała jak własnem dzieckiem. Sierota zgodziła się na to, dała kobiecie swój bilet, a ta wiernie dotrzymała przyrzeczenia.

Nie było to jednak chwilowe, jak mówiono, tylko przebudzenie lub wrażenie prędko przechodzące, owoce bowiem czego innego dowiodły. Nieprzyjaciele pojednani, uczęszczanie pilne do Sakramentów św. i unikanie okazyi do grzechu, to trwały rezultat misyi. Stronnictwa, kłótnie i inne skandaliczne objawy zniknęły. Wspomnieć tu trzeba o jednem z gorszących zjawisk, zwłaszcza, że je zupełnie usunięto, choć poprzednio żadne inne środki nie skutkowały. W tym czasie prozelityzm protestancki zataczał szerokie kręgi wśród ludności, szczególniej w latach niedostatku i nędzy, panujących także podczas pierwszych misyi. Oto fakt. W pewnej

parafii o parę mil od Dublina była szkoła bardzo bogato wyposażona, bo sumą 25.000 funtów szterlingów, dawała więc dzieciom oprócz bezpłatnego wychowania także wiele nagród. Zarząd tej szkoły znajdował się w rękach protestanckich, na czele jego stał jakiś minister, a od wielu lat uczęszczały do niej licznie dzieci katolickie. Daremne były usiłowania proboszcza miejscowego, ażeby zapobiedz ujemnym skutkom, wynikającym z nauki protestanckiej. Arcybiskup ze swojej strony podczas wizytacyi starał się temu zaradzić z pomocą kilku jednostek, lecz także bez większego rezultatu.

Nadszedł wreszcie czas misyi. Mieszkańcy, obawiając się utraty korzyści, jakie im przynosiła szkoła, wysłali do biskupa deputacyę z prośbą, by Misyonarze tej sprawy nie poruszali. Misyonarze także ze swojej strony udali się do niego po radę; on zaś zostawił to ich roztropności, wskazał jednak na ważność sprawy i nadzieję pomyślnego jej załatwienia.

Misya odbyła się z wielkiem powodzeniem, pobożność i gorliwość u ludu wzrastała z dnia na dzień, aż nareszcie nadeszła chwila rozwiązania tej drażliwej kwestyi. Wynik był cudowny. Do ostatniego dnia misyi uczęszczało jeszcze do szkoły protestanckiej 400 dzieci, następnego zaś dnia nie udało się tam ani jedno. Rodzice starali się zapomnieć o tem, co przedtem było, a zabrali się od razu do budowy nowej szkoły katolickiej, która stanęła w przeciągu jednego lata; tymczasem uczono w kościele.

Bardziej jeszcze uderza innego rodzaju przykład. W pewnej parafii były dwa stronnictwa, które się nawzajem zaciekle nienawidziły. Nienawiść ta trwała już kilka lat, a nikt nawet nie potrafił podać przyczyny tej niezgody.

Ilekroć stykali się ze sobą przeciwnicy, n. p. na targach lub w innych okolicznościach, tylekroć powstawały bójki jak między dzikimi. Nie było już żadnego widoku pojednania. Duszpasterze wyczerpali wszelkie możliwe środki, by położyć kres tej nienawiści, sam Biskup podczas wizytacyi usiłował ich pojednać, ale napróżno; został ostatni sposób: misye.

Misyonarze zabrali się do tego dzieła w sposób zupełnie prosty. Od czasu do czasu zbliżali się do obu partyi, aby się dowiedzieć, jak jedni o drugich myślą i czują. Wielka liczba poważnionych była gotową do zgody, wstrzymywała ich tylko bojaźń, by im nie zarzucono tchórzostwa lub zdrady. Aby więc nienawiść do szczętu wykorzenić, trzeba było wszystkich od razu pojednać. Ale nasuwała się jeszcze inna wielka trudność.

Przedstawiciele obydwu partyi należeli do tajnych stowarzyszeń, których zebrania były surowo przez prawo wzbronione. Groziła im więc sroga kara, chociażby się zebrali nawet w celu pojednania. Zrozumiała jednak władza, że pogodzenie się podczas misyi będzie daleko korzystniejsze aniżeli interwencya policyi. Przyrzekła więc w tej sprawie swą neutralność, a Misyonarze uwiadomili o tem poważnionych. Ci zgromadzili się w kościele w naznaczonej im chwili; aby zaś uniknąć niepotrzebnej wrzawy publicznej, obrano na to późną godzinę w nocy. Gdy Dyrektor misyi rozpoczął przemowę, wiedzieli już wszyscy, jaki będzie jej cel.

W słuchaczach zaszła dziwna zmiana; ludzie ci, co niedawno jeszcze nie umieli zbliżyć się do siebie bez wyzwisk i kłótni, ludzie prawie dzicy jak tygrysy, nagle stają się łagodnymi jak baranki.

Na koniec prosił ich Misyonarz, żeby na znak wzajemnego przebaczenia podali sobie ręce jak bracia, złączeni wzajemną miłością. Zrobili to wszyscy po kolei z widocznemi oznakami serdecznego wzruszenia. Dzieło to pojednania przyniosło z pewnością chwałę P. Bogu i radość aniołom, zwiastunom pokoju na ziemi, ucieszyło też niezawodnie serce św. Wincentego. Gdyby nawet rzeczywiście św. Wincenty był Dyrektorem misyi w Irlandyi i znajdował się w tem położeniu, nie byłby zapewne inaczej postąpił niż teraz jego synowie.

Możnaby przytoczyć jeszcze więcej podobnych przykładów, aby wykazać wpływ pierwszych Misyonarzy i poważanie, jakiem się cieszyli. Kiedy Misyonarze mieli już wracać do domu, tłumy wdzięcznego ludu i płaczących niewiast tak zaległy

drogę, że sobie trzeba było przemocą miejsce torować. Tego rodzaju sceny powtarzały się częściej. Ponieważ lud chciał mieć także jakieś pamiątki z misyi, łamano sporządzone na prędce konfesyonały misyjne, a lud zabierał kawałki i zachowywał starannie, aby sobie przypominać raz po raz ów błogosławiony trybunał i sędziego, który ich uwolnił od ciężaru grzechów.

Wróćmy jednak do Castleknock, gdzie otworzono jakoby *seminarium externum*, przeznaczone przedewszystkiem dla archidyecezyi Dublina, chociaż później przyjmowano także w dość znacznej liczbie i świeckich wychowanków. Reguł przestrzegano ściśle; księża starsi wywierali dobry wpływ na młodszych, tak, iż karność panowała wzorowa. Oprócz tego dom ten stał się kolebką przyszłych Misyonarzy i pozostał nią aż do dnia dzisiejszego. Rok rocznie wstępowało do seminaryum internum przeciętnie 2 lub 3 kandydatów. Kiedy przed 40 laty zbudował arcybiskup osobne seminaryum dla swej dyecezyi, zawezwał tam swych alumnów z Castleknock, gdzie odtąd było już tylko świeckie kolegium, liczące zwykle do 180 uczniów.

Jest to szkoła średnia, przygotowująca kandydatów do uniwersytetu królewskiego. Seminarzyści opuszczają zakład po skończeniu najwyższej klasy; personal nauczycielski składa się obecnie (1906 r.) z 13 księży Zgromadzenia, do pomocy zaś mają kilku profesorów świeckich. Praca na zewnątrz obejmuje kierownictwo duchowne domu dla ubogich chłopców, oprócz tego znajduje się tu kapelania Sióstr Dominikanek w Cabra z internatem dla dziewcząt i zakładem dla głucho-niemych. Jeden z Misyonarzy stale spowiada tych biednych.

Jaki był rozwój misyi przez pół wieku, opiszemy na innem miejscu. Dzisiejszy stan rzeczy jest już inny: dawniej superyor rezydował w Castleknock, gdy tymczasem personal misyonarski znajdował się przy kościele w mieście. Trzeba więc było założyć nowy dom, który już obecnie znajduje się na wykończeniu. (C. d. n.).

Zgromadzenie nasze na Filipinach.

(List ks. Brunona Saïz do ks. Horcajada w Madrycie).

Gdyby nas nie zaznaczono w katalogu Zgromadzenia, możnaby łatwo przypuścić, że prowincya filipińska wcale nie istnieje; możnaby przynajmniej sądzić, że jesteśmy tu bezczynni, skoro nie dajemy o sobie znaku życia. A jednak jeszcze mieszkamy w tych dalekich krainach, żyjemy i pracujemy w szczupłym zakresie wśród licznych trudności.

Smutno teraz na Filipinach, a bardzo problematyczną ich przyszłość zarówno w kierunku politycznym i ekonomicznym, jak i w sprawach religijnych.

W kwestyi religijnej kroczą Filipiny po tej samej drodze, co ich macierz, Hiszpania; religia, o ile się zdaje, zanika tu w bardzo przyspieszonem tempie, nie zapuściwszy wcale głębszych korzeni.

Od czterech lat, przez które tu mieszkam, żniwa, niegdyś tak bogate, nie wystarczają obecnie na wyżywienie miejscowej ludności; w niektórych okolicach uprawia się wprawdzie systematycznie bób, trzcinę cukrową i tytoń, lecz zbiory nie dają nawet połowy tego, co dawniej. Pierwszorzędnem źródłem bogactwa był tu dawniej wywóz ryżu, głównego przedmiotu pożywienia dla tutejszej ludności; dzisiaj zaś nie wystarcza jego produkcya nawet dla swoich i trzeba go sprowadzać z zagranicy za bardzo wysoką cenę.

Olbrzymie obszary leżą ugorem; ziemia, choć równie żyzna jak gdzieindziej, jest mało wydatną, bo brakuje rąk do pracy z powodu lenistwa mieszkańców. Jeżeli się do tego doda nawałnice i posuchy ostatnich lat, zwykłę zresztą w tej strefie, to będzie się miało pewne pojęcie o upadku tutej-

szego rolnictwa i handlu. Znaczne wreszcie podatki, nałożone przez Amerykanów, przygniatają biednych wyspiarzy.

Teren polityczny jest tutaj niepewny wskutek powtarzających się ciągle powstań, bo ludność opanowana myślą o niepodległości. Nie wiadomo, czy się urzeczywistni kiedykolwiek ten ideał, który ciągle się odradza z nową siłą, ponieważ Stany Zjednoczone obwieściły kiedyś wszem wobec, że przygotowawszy Filipińczyków do samorządu, obdarzą ich niepodległością. Rządy prowincyi i miast znajdują się istotnie w ręku krajowców, a w grudniu zbierze się parlament i powstaną nowe organa administracyjne, lecz nie wiadomo, co będzie potem. Zdaje się, że Amerykanie chcą z Filipińczykami postąpić nieszczerze; niechże więc P. Bóg zlituje się nad wszystkimi, bo już krążą wieści, że położenie niebawem się pogorszy i Filipiny zmienią sobie panów.

Najbardziej dla nas interesującym jest stan religijny na tych wyspach. O jedności religii nie może być oczywiście mowy wobec zupełnej swobody wyznań nie w jakobińskiem pojmowaniu niektórych państw europejskich, lecz w znaczeniu dosłownem, jak w Stanach Zjednoczonych. Dla illustracyi wystarczy jeden przykład: zdarza się, że równocześnie urządzają procesyę i katolicy i przedstawiciele tutejszej sekty schizmatyckiej aglipayanosów; gdy się więc spotkają na tej samej ulicy, położenie staje się kłopotliwem wobec absolutnie równych praw.

Wskutek bezgranicznej swobody zakorzenił się tu protestantyzm i śmieszna schizma „aglipayano“. Suchy i zimny protestantyzm nie zdołał sobie zjednać wielu zwolenników wśród tutejszego ludu, który się lubuje w przepychu i okazałości obrzędów religijnych, mimo to znajduje się tu kilka kaplic protestanckich i katedra, którą zbudowano zeszłego roku tuż przy naszym domu. Zato bardzo ujemnie oddziaływają na lud aglipayanosi, głosząc obłudnie ideę niepodległości, która tak bardzo oczarowała biednych Filipińczyków. Ale i ta sekta, tracąc coraz bardziej zaufanie, zamrze z pewnością.

Zresztą dosyć pomyślnym jest stan religijny po wsiach, bo w miastach tak, jak wszędzie. Trzeba dodać, że u wielu jest wiara tylko jakby zewnętrznie przyczepiona, trzyma się tylko jakby powierzchni dusz, a i tak jeszcze wkradły się do niej chwasty dawnych przesądów. Gdyby tu nie było licznych, zwłaszcza dla dziewcząt, wychowawczych zakładów katolickich, zniknęłaby tu wiara w przeciągu 20-tu lat, bo już teraz ujawnia się silne osłabienie życia chrześcijańskiego. Cóż sądzić o pokoleniu obecnem, które wzrasta bez wiary i religii i z pewnością nie będzie o nie dbało dla swoich dzieci!

Przeciętna liczba dziewcząt, kształcących się rok rocznie pod kierownictwem Sióstr Miłosierdzia i innych zakonów żeńskich dochodzi do 2000; mniej więcej tyluż chłopców otrzymuje wychowanie religijne i na tych tylko zastępach budujemy swe nadzieje utrzymania się religii na Filipinach.

Trudno odpowiedzieć stanowczo na pytanie, coby się stało z katolicyzmem, jeżeliby Filipiny zdobyli Japończycy. Niektórzy utrzymują, że religia zależałaby zupełnie od ich samowoli, ale prawdopodobniej nastałaby całkowita wolność religijna tak, jak w samej Japonii; w każdym razie przy zetknięciu się dwu ras ucierpiałaby rasa biała. Tymczasem pokładamy całą ufność w Bogu i staramy się wytrwać w pracy, wiedząc, że P. Bóg pokieruje wszystkiem na chwałę swoją i dobro wybranych.

Na podstawie tego, co wyżej powiedziałem, można sobie stworzyć pojęcie o stanie naszego Zgromadzenia na Filipinach. Oczywiście, że nie jest tak rozkwitające, jakby się tego pragnęło, przyznać jednak trzeba, że wstąpiło w okres wzrostu i rekonwalescencyi po walkach politycznych i rozmaitych klęskach, jak n. p. pożar Seminaryum w Jaro i t. p. Na Samarze, jednej z najbogatszych wysp archipelagu, powstał w Calbayog nowy dom, bardzo wiele obiecujący, jeżeli się tylko uda zdobyć odpowiednie środki. Sympatya, jaką się cieszą tamtejsi Konfratrzy, rozciąga się na całe Zgromadzenie, ale bo też wszyscy, od Superyora aż do najmłod-

szego Misyonarza, pracują, jak przystało na synów św. Wincentego.

Wielką stratę ponieśli nasi Konfratrzy przez pożar Seminaryum, ale energiczny i przedsiębiorczy Biskup rozpoczął już budowę nowego gmachu, który będzie gotowy na przyszły rok szkolny. Obecnie jest 40 seminarzystów w dyecezyi, bardzo potrzebującej wzrostu liczby kleru, ma bowiem tylko 50 księży na 200 parafii. Dzięki Bogu, że w pracy parafialnej pomaga gorliwie 30—40 OO. Rekolektów.

Bardzo pięknie rozkwita Seminaryum w Cebu dzięki szczeremu poparciu przez władzę, natomiast Seminaryum w Nuova Caceres zaledwie wegetuje wskutek opłakanych stosunków ekonomicznych, panujących w tej dyecezyi.

Konfratrzy domu San Marcellino pracują w parafii Paco w szkołach Sióstr Miłosierdzia. Trzykrotnie odbyły się tam także dla kleru świeckiego rekolekcye wskutek zalecenia zacnego i świątobliwego Arcybiskupa. W ćwiczeniach tych brało udział 58 księży.

Po tym szkicowym obrazie działalności Ks Ks. Misyonarzy podamy jeszcze kilka szczegółów o 11 domach Sióstr Miłosierdzia, z których 9 utrzymuje t. zw. kolegia czyli zakłady wychowawcze. Zakłady te są jedyną tamą do powstrzymania fali zepsucia, które powstaje wszędzie, grożąc zagładą wiary. Powiedziałem poprzednio, że na każdy zakład przypada przeciętnie 200 dzieci, ale ta liczba systematycznie się zmniejsza, bo z powodu przesilenia ekonomicznego w kraju, rodziny, wysyłające swe córki do szkół, muszą dla nich ponosić wielkie ofiary.

Z 11 domów Sióstr Miłosierdzia tylko pięć jest ich własnością, reszta zaś należąc do dóbr kościelnych, podlega radzie nadzorczej inspektorów i administracyjnej. W Domie Centralnym Sióstr Miłosierdzia w Manili t. zw. „Concordia“ znajduje się nie tylko najlepsze kolegium, ale i szkoła dla dziewcząt przychodnich, otrzymujących bezpłatne pożywienie. Dom ten należy już od szeregu lat do Sióstr Miłosierdzia i mieści 200 uczenic.

Schronisko Looban w Manili, fundowane przez jedną z krajowych Sióstr, utrzymuje 150 biednych dziewcząt — prawie wszystkie bezpłatnie. Kolegium św. Izabeli dla sierót po wojskowych hiszpańskich udotowano z dóbr kościelnych; obok utrzymania dostają wszystkie co miesiąc po 4 pesety, a nadto 500 pesetów posagu, gdy wychodzą za mąż. Wprawdzie przyjmuje się na wychowanie i za opłatą, ale połowa utrzymuje się za darmo. Na przedmieściu, zwanem „Zacisznem", wybudował Arcybiskup przed czterema laty szkołę dla dzieci obojej płci. Bywa ich zwykle do 250. Kolegium św. Róży, niegdyś mieszkanie dla pobożnych pań, poświęcających się nauczaniu dziatwy, należy także do dóbr kościelnych i mieści około 100 dziewcząt, płacących za wychowanie.

Wielkie „Schronisko", utworzone w Manili również z dóbr kościelnych, stanowi jakoby odrębną dzielnicę, mieszcząc około 600 osób: dzieci, starców, obłąkanych obojej płci i dom poprawczy dla chłopców. Choć większość wydatków ponosi rząd, to jednak obecnie dom cierpi niedostatek dla niezgód wśród członków administracyi, co Siostrom daje się dotkliwie we znaki. Przed dwoma miesiącami zmarła przełożona, która zarządzała tym domem już od 40 lat; zgon ten obudził powszechny żal u wszystkich, którzy oceniali jej cnoty i roztropność.

Szpital św. Jana Bożego (Manila), administrowany przez specyalny komitet, jest własnością Kościoła. Wprawdzie przeszedł niedawno niebezpieczną kryzis, lecz obecnie rozwija się pomyślnie, mając kapitał, przynoszący rocznie 40.000 franków procentu, a nadto otrzymując jałmużny od dobroczynnej publiczności.

W Cavite, sąsiednim porcie, jest szkoła (150 uczenic) należąca, jak tu nazywają, do mitry czyli do Biskupa dyecezyi. W Ilo-Ilo, drugiej stolicy archipelagu, utworzono dla 100 dziewcząt szkołę, zawisłą od kolegium w Jaro. Jest to własność Sióstr. W Nuova Caceres i Cebu uczęszcza do szkół po 100 dziewcząt; w Cebu znajduje się nadto schronisko i szpital, fundowany przez pewną Siostrę Miłosierdzia.

Do obsługi tych domów jest w wice-prowincyi filipińskiej 150 Sióstr; po odliczeniu zaś staruszek i chorych zostaje tylko 120. Nawet Siostry bardzo podeszłego wieku muszą pracować ponad siły, bo ich nie można zastąpić. To też niektóre domy robią wrażenie szpitala dla Sióstr, a jednak żadna z nich nie spoczywa. Wszystkie budzą podziw swoją gorliwą pracą, a powszechne dla nich uznanie przynosi z pewnością chwałę P. Bogu. Pewna bogata pani chce im zapisać swój majątek, ażeby otworzyły nowe kolegium, ale daru nie można przyjąć wobec braku sił. Również Zgromadzenie Ks. Ks. Misyonarzy nie mogło przyjąć nowej fundacyi, jaką mu ofiarowano. Kler i lud są nam bardzo przychylni. Jeżeli tylko będziemy gorliwie i roztropnie pracowali, możemy być spokojni o swoją przyszłość, choćby wyrosły i wielkie trudności; znajdujemy się zresztą w ręku Bożem: „*Ipse sit refugium et adiutorium nostrum*".

KRONIKA.

Francya. — Szkoły gospodarskie dla dziewcząt. Roczniki francuskie donoszą o rozkwicie szkół gospodarskich, zostających pod kierownictwem Sióstr Miłosierdzia. Program obejmuje praktyczną naukę kucharstwa i krawieczyzny, naukę o budżecie domowym, hygienie i rolnictwie. Pierwszą taką szkołę, stworzoną przez Towarzystwo rolnicze i wychowawcze, objęły w Paryżu przy ulicy de l'Abbaye Siostry Miłosierdzia z domu centralnego. Dzieło to zyskało sobie wielką sympatyę w społeczeństwie, bo dziewczęta, wykształcone sumiennie w domowem gospodarstwie, wstępowały w życie, zupełnie doń przygotowane. To też we Francyi wzrosła liczba podobnych zakładów do 50, a na ich czele stoją zwykle wychowanki Sióstr z ulicy de l'Abbage.

Dom św. Kazimierza w Paryżu. W warszawskiej „Biesiadzie polskiej" (z 4. października 1907. r.) umieszczono interesujący artykuł o Domu św. Kazimierza w Paryżu. Oto, co pisze autor, Romuald Załęski:

Wzorowo spełnia zadanie paryski Dom św. Kazimierza, polska instytucya dobroczynna, założona w r. 1846. przez Annę ks. Czartoryską. Instytucya ta pierwotnie przygarniała i wychowywała tylko sieroty polskie, z biegiem czasu utworzono przy niej oddział dla starców. Dzięki ofiarności hr. Grocholskiej, zakład w r. 1864. pozyskał gmach własny przy ulicy du Chevaleret, a w r. 1866. był w możności, dzięki ofiarności hr. Moussanty, zakupić w Juvisy, pod Paryżem, grunt z domem i urządzić tam filię swoją, która jednak w ostatnim czasie została, z powodu braku funduszów, zwiniętą. Zakładem kierują polskie Siostry Miłosierdzia; ma on na celu opiekowanie się sierotami najbiedniejszych emigran-

tów polskich i starcami, niezdolnymi już do pracy. Dzieci, oprócz opieki, otrzymują w zakładzie wykształcenie teorytyczne i praktyczne; starcy mają zapewnione utrzymanie do śmierci. Przez dłuższy czas przełożoną zakładu była Siostra Teofila Mikułowska; obecnie stanowisko to zajmuje Siostra Szymańska, której w pracy pomaga 14 Sióstr. W zakładzie znajduje się 61 dzieci: 20 chłopców i reszta dziewcząt, oraz 31 starców, w tej liczbie 8 kobiet. W r. 1906. dochody wynosiły 70.314 fr., w tej liczbie połowę stanowiły składki i ofiary; wydatkowano zaś 63.899 fr. Nad instytucyą czuwa Rada Administracyjna i Komitet Patronek. Do pierwszej należą pp.: Chełmiński, Chojecki, Adam ks. Czartoryski, Berecki, Jaworowski, Karwowski, La Rochefoucauld, duc de Bisacia, R. Orłowski, D. ks. Radziwiłł i K. Waliszewski. Do komitetu Patronek panie: hr. de Corberon, Desmurets, Ksawerowa Gałęzowska, Hunebelle, Władysławowa Kronenbergowa, de La Rochefoucauld, hr. de Monttessty, Natansonowa, Nazgar-Aga, hr. Orsettiowa, Dominikowa Radziwiłłowa, Simon, baronowa Taube.

Pochlebną opinię o zakładzie i jego działalności daje p. K. Woźnicki. Relacya jego opiewa: „Kiedy do bramy zakładu zadzwoniłem, otworzyła mi furtę i przyjęła Siostra Odźwierna. Przemówiła po polsku i zaprowadziła do poczekalni. Odtąd, aż do chwili wyjścia — a bawiłem w zakładzie przez godzinę, — ani jednego wyrazu francuskiego nie słyszałem. W oczekiwaniu na Siostrę Przełożoną, rozglądam się po pokoju. Jest on jednocześnie poczekalnią i biblioteką, zawierającą kilka tysięcy tomów treści najrozmaitszej, w językach: polskim, francuskim, angielskim i niemieckim. Zjawia się niebawem Siostra Przełożona, młoda, przystojna, z twarzą pełną dobroci, na której jednak można też wyczytać energię i stanowczość“. P. Woźnicki zwiedza z Siostrą Przełożoną kaplicę, ogród, klasy, sypialnie, szatnię, kuchnię i t. p. Starcy zajmują oddzielne skrzydło gmachu, każdy z nich posiada pokoik, schludnie urządzony i każdy otrzymuje od rządu kilkadziesiąt franków zapomogi miesięcznej na drobne

wydatki. Natomiast jadają wspólnie. Siostra Przełożona dostarczyła gościowi swemu informacyi następujących:

— Nie przeciążam dzieci modlitwą. Modlą się, bardzo chętnie. O ile czas pozwala, bawią się w ogrodzie, osobno chłopcy, osobno dziewczęta. Zakład tak jest urządzony, że chłopcy z dziewczętami spotykają się jedynie w kaplicy. Instytucya nasza wychowuje przedewszystkiem gospodynie. Dziewczęta szyją, pracują w kuchni, w ogrodzie i t. d. Uczenice starsze poszukiwane są w kraju. Wszystkie umieszczam w domach polskich, a zawsze mam więcej żądań niż kandydatek. Co do funduszów, to główny dochód stanowią ofiary osób prywatnych, przeważnie z emigracyi. Ks. Poniatowska i baronowa Taube dają większe sumy. Są jednak tacy, którzy mogliby nas wspierać, a do obowiązku się nie poczuwają.

„Zakład — tak kończy relacyę p. Woźnicki — zachwycił mnie. Zbiera on dzieci biednych emigrantów, dzieci, któremi rodzice mało się interesują, wychowuje je na ludzi uczciwych, pracowitych i wysyła do Polski. Czy może być na emigracyi posłannictwo szlachetniejsze?"

Dom świętego Kazimierza przechodził ciężkie chwile. W r. 1870—1871 znalazł się w położeniu bardzo trudnem. Zapełniony starcami i dziećmi, miał w tych dniach ogólnego niedostatku wiele do żywienia osób, które same nic zapracować nie mogły, a obsługiwany przez zakonnice, był przedmiotem niechęci tych ludzi, w których ręce na chwilę dostała się władza w Paryżu. Nadto, położony w jednej z dzielnic miasta, więcej niż inne wystawionej na bomby i granaty oblegających, w wielkiem też nieraz znajdował się niebezpieczeństwie. Ale Opatrzność ocaliła go i pozwoliła mu przetrwać bez szkody całą burzę.

Gdy się do oblężenia pruskiego gotowano, Siostra Przełożona, lękając się o filię w Juvisy, chciała wszystkich przenieść stamtąd do domu głównego. Zakonnice, obsługujące filię, chłopcy i weterani już przeniesieni zostali, naraz pięciu staruszków oświadczyło, że pozostaną na miejscu i będą bronili filii w razie napadu nieprzyjaciela. Siostra Przełożona

musiała się zgodzić na to. Udzieliwszy staruszkom żywności tylko na parę miesięcy, bo wówczas nie spodziewano się dłuższego oblężenia, a zresztą szczupłe zasoby instytucyi na większą ofiarę nie pozwalały, poleciła ich miłosierdziu Bożemu. Ze staruszkami został w Juvisy jeden z kapłanów naszych. Niebawem stolicę otoczyli Prusacy. Zakład paryski przepełnił się. W niektórych pokoikach weteranów mieściło się po dwóch mieszkańców. Część lokalu, zajętego przez dziewczęta, oddać musiano chłopcom. W gmachu znajdowało się 125 osób.

Oblężenie przeciągało się, zapasy się wyczerpały, a nowe władze municypalne zaledwie 86 racyi wydzielały dziennie dla całego zakładu. Subsydya rządowe ustały.

Rozpoczęło się bombardowanie Paryża. Gmach zakładu był formalnie zasypywany pociskami. Często zamkniętym w nim mieszkańcom zdawało się, że ściany runąć muszą koniecznie. Ale nie upadano na duchu, krzepiono się modlitwą i ufnością w pomoc Bożą.

Jakoż pociski pruskie nie uszkodziły gmachu i mieszkańcy męczarni głodu nie zaznali. Miłosierdzie prywatne nie odwróciło się od instytucyi, poczciwy rzeźnik, który dostarczał zwykle mięsa zakładowi, powodowany uczuciem chrześcijańskiem, starał się wynagrodzić to, co ujmowała niechęć władz municypalnych. Szczęśliwie doczekano się zawieszenia broni, nie bez cierpień wprawdzie, ale też bez strat znaczniejszych.

Pozostali w Juvisy staruszkowie ocalili swój posterunek od rabunku Prusaków. Miejscowość tę zajmował korpus ze Śląska, w którym było wielu Polaków, szczerze do wiary swej i narodowości przywiązanych. Tarczą filii w Juvisy był kapłan polski. Żołnierze pruscy, Polacy, przychodzili do filii na Mszę i do spowiedzi, a gdy się wyczerpały szczupłe zapasy weteranów naszych, sami ich żywili. Tak więc i filia w Juvisy wyszła z tej strasznej burzy bez szwanku.

Po zawarciu traktatu pomiędzy Francyą a Niemcami, gdy wojska pruskie opuściły Juvisy, Siostra Przełożona, idąc

za radą lekarza, przeniosła dziatwę z zakładu głównego do Juvisy, aby maleństwa świeżem odetchnęły powietrzem. Tam też z nią okres Komuny i drugie oblężenie Paryża przetrwała. Dla Domu św. Kazimierza, uważanego za cudzoziemski, Komuna była względniejszą niż dla własnych zgromadzeń zakonnych. Nie zarządziła tam żadnej rewizyi i czas jej panowania przeszedł dla polskiej instytucyi dobroczynnej dość spokojnie. Ale przy oblężeniu powtórnem Paryża, nowe zagroziło niebezpieczeństwo zakładowi. W sąsiedztwie toczyła się zacięta walka, kule raziły często ciche schronisko sierot i weteranów. Przerażeni sąsiedzi radzili Siostrom, aby się do piwnic schroniły. Zakonnice nie chciały się uchylić od ogólnego niebezpieczeństwa, pozostały na stanowisku, obsługując zakład jak w czasie zupełnego spokoju. Nic się też w zakładzie nikomu wtedy nie stało, nikt szwanku żadnego nie poniósł.

Dom św. Kazimierza, jak nadmieniliśmy na wstępie, odpowiada w zupełności zadaniu; spełniając chlubnie obowiązek, godzien jest szczerego poparcia, tem bardziej, że rząd francuski znacznie zmniejszył zapomogę swoją, a wśród emigracyi znajdują się ludzie złej woli, którzy instytucyi szkodzą, rozsiewają o niej potwarze dlatego, że kierują nią zakonnice i że w zakładzie panuje duch religijny. Potwarz celu nie osiąga i zwraca się przeciwko potwarcom, ale w każdym razie szkodzi ofiarności, która powinna płynąć obficie i stale.

Niemcy. — *Kolonia.* — List ks. Juliusza Schneidra do Najprzew. O. Generała Fiat (grudzień 1906.) „Mówiąc w zeszłym roku o fundacyi nowego domu w Berlinie, wspomniałem zaledwie, że jeszcze w kilku innych miejscowościach osiedliły się Siostry Miłosierdzia; dzisiaj wypada o tem nieco obszerniej pomówić, ponieważ ich byt już jest zapewniony. Naprzód trzeba wymienić dwa nowe domy nad Mosel̨ą w dyecezyi trewirskiej i jeden w Akwisgranie, z kolei piąty w tem mieście, a niebawem powstanie i szósty.

Wittlich. — Znajduje się tam schronisko dla sierót po wojskowych, gdzie się umieszcza dzieci, nie tylko po zmar-

łych w czynnej służbie, ale sieroty po wszystkich, którzy kiedykolwiek do armii należeli. Po wielkiej wojnie 1870. roku powstał związek, na którego czele stanął jako protektor następca tronu. Organizacya ta, t. zw. Kriegerbund, miała zapewnić wychowanie dzieciom, które utraciły jednego z rodziców. Członkowie płacą wprawdzie rocznie tylko po 20 fen. ale suma wkładek wynosi przeciętnie około 600.000 marek, bo liczba stowarzyszonych dochodzi niemal do 3.000.000. Za te pieniądze zbudowano między innemi 4 wspaniałe schroniska, w których się mieści mniej więcej po 100 dzieci. Sieroty otrzymują tam nie tylko bezpłatne utrzymanie, ale mają także po opuszczeniu zakładu zapewnioną przyszłość. Kierunek wychowania jest chrześcijański, przyczem oddziela się dzieci katolickie od protestanckich: panuje więc i tu jak w całych Niemczech ten sam nieszczęsny podział. Dotąd zbudowano dwa schroniska katolickie i dwa protestanckie, zwane urzędowo ewangelickiemi.

Najpiękniejszym jest zakład w Wittlich, położony na znacznem wzgórzu, wznoszącem się wysoko ponad ślicznie rozłożone miasto, a sąsiednie szczyty tworzą przecudną panoramę.

W uroczystości otwarcia schroniska brali udział reprezentanci władz duchownych, cywilnych i wojskowych; cesarza zaś zastępował książę Eitel Fryderyk. Po otrzymaniu błogosławieństwa od biskupa trewirskiego, ks. Korum, rozpoczęły wreszcie 27. września 1904. roku Siostry Miłosierdzia swoją pracę na nowym posterunku. Miejscowy dziekan, odprawiwszy w tym dniu pierwszą Mszę św. w kapliczce, ozdobionej przez przychylne Zgromadzeniu panie, przemówił w gorących słowach do obecnych i zostawił w tabernakulum Najśw Sakrament, który odtąd miał dla Sióstr być podporą w pracy dość przykrej przez całe 2 pierwsze lata.

Trudności wyrosły ze statutu zakładowego, ułożonego przez generalną dyrekcyę, która opacznie pojęła zadanie Sióstr Miłosierdzia. Przypuszczano, że t. zw. „sługi ubogich“ będą się zajmowały tylko kuchnią, rezygnując ze wszelkiego

wpływu na wychowanie dzieci, którem miał kierować inspektor ze swoją żoną. Siostry nie mogły się zgodzić na takie ścieśnienie i dlatego po całorocznych bezowocnych układach i próbach postanowiły się usunąć i przesłały tę decyzyę do głównej dyrekcyi w Berlinie. Tam nie chciano się jednak zgodzić na usunięcie Szarytek i przyrzeczono zmianę statutu. Opracowano więc nową podstawę organizacyjną dla domu według nadesłanych przezemnie wskazówek i po gruntownej inspekcyi zakładu, do której i mnie zaproszono, ułożono stosunki ku ogólnemu zadowoleniu i odtąd zakład rozwija się pomyślnie.

Karden (1904. r.) — Daleko prostszy był przebieg objęcia schroniska w Karden, położonego również w malowniczej okolicy nad Mozelą. Zakładem kierowały rozpowszechnione niegdyś bardzo w dyecezyi trewirskiej S. S. Boromeuszki, dopóki burza walki kulturnej w latach 1870—80. także ich nie wypędziła, kierownictwo zaś zakładu objął wojskowy weteran ze swoją rodziną. Można z góry przypuścić, że miejscowa władza okręgowa nie zachwycała się takim stanem rzeczy i ucieszyła się bardzo, kiedy czcigodne stadło zgłosiło swoją dymisyę, bo na jego miejsce można było sprowadzić Siostry Miłosierdzia, ktore w dyecezyi coraz lepiej poznawano i więcej ceniono. Trzy Szarytki, sprowadzone przez zacną Siostrę Kratz, wówczas asystentkę, objęły 3. listopada 1904 r. zarząd zakładu, różniącego się od schroniska w Witlich wielkiem ubóstwem, zato ludność i 50 sierót witały Siostry z radością w sercach, starając się ją wyjawić przez skromną uroczystość, bo na taką tylko zdobyć się mogła biedna wioska. Obecnie już 4 Siostry pracują na nowej placówce i starają się zatrzeć w pamięci przykre wspomnienia o dawnym zarządzie. Jeżeli tylko nadejdzie pomoc pieniężna, to niezawodnie wzmoże się praca w obszernym budynku, niegdyś klasztorze benedyktyńskim.

Alf (1905. r.) — Za staraniem właścicieli fabryk otwarto w Alf drugi dom 9. marca 1905. r. dla moralnego wychowania dziewcząt; ponieważ jednak dzieci wolą zupełną swo-

bodę, trudno zapełnić ten zakład św. Józefa. Obecnie toczą się układy z rejencyą, ażeby tam umieszczać dzieci, którym rodzice nie mogą zapewnić dobrego wychowania.

Akwisgran (1905. r.) — Wspomnę wreszcie o dwóch ostatnich fundacyach, z których pierwsza zasługuje na uwagę. Piętnastego czerwca 1905. r, oddano Siostrom zarząd domu dla kalek obojej płci. Jest to już czwarta fundacya, powierzona Córkom św. Wincentego w Akwisgranie, gdzie 10 lat wstecz znano kornet jedynie z przyjazdu belgijskich Sióstr Miłosierdzia do ciepłych źródeł. Dom rozkwita zwolna ale ciągle, zarówno z pociechą dla Sióstr jak dla biednych kalek, otoczonych macierzyńską opieką.

Ofiarowano nakoniec pierwszego lipca 1906. r. Zgromadzeniu piąty dom w Akwisgranie. Jest to żłóbek im. cesarzowej Augusty Wiktoryi, druga już tego rodzaju fundacya, pochodząca od grona ożywionych duchem patryotycznym pań. Pięć Sióstr pracuje tam z wielkim wysiłkiem.

Kończąc to sprawozdanie, mogę z przyjemnością zapewnić, że dom w Berlinie jest w pełnym rozkwicie mimo wyjątkowych trudności ze strony administracyi. Siostry odznaczają się duchem pobożności, punktualnością i prostotą, chociaż codziennie stykają się z osobami wysokiego towarzystwa; tak n. p. w ostatnich tygodniach przyjmowały członków niemieckiego domu cesarskiego i królewskiej rodziny szwedzkiej. Siostry, czekając na urządzenie zakładu dla nędzarzy, który im przyrzeczono w kontrakcie, troszczą się tymczasem wśród błyszczącego przepychem otoczenia o ubogich w znaczeniu duchowem. Bogu tylko wiadomo, ile przez wzorową pobożność i poświęcenie działają dobrego wśród tych biedaków, najczęściej protestantów i żydów, porywając do P. Boga ich serca obojętne i samolubne.

Opatrzność Boża, pomnażając liczbę naszych domów, powiększa też szeregi Sióstr. Rok rocznie otrzymuje suknię 30—40 seminarzystek, w roku n. p. bieżącym (1907. r.) będzie ich prawdopodobnie 40.

Z PROWINCYI POLSKICH.

Kraków-Kleparz. — Jak wszędzie, tak i u nas nastaje w okresie zimowym pewien spokój; tempo pracy jakby wolnieje. Zmniejszyła się w ostatnim kwartale liczba misyi w Królestwie, bo tylko w dyecezyi włocławskiej pracowano w dwóch parafiach: w Srocku i Wartkowicach. Zato nie pozwalają nam Najprzew. ks. ks. Biskupi zapomnieć o ziemi galicyjskiej, w którą najczęściej nasi Konfratrzy rzucali ziarno Boże. W dyecezyi krakowskiej daliśmy misye w Babicach, z dyecezyi tarnowskiej zaproszono nas do Woli Szędzińskiej i do Mielca. Rekolekcye ludowe w naszym kościółku cieszyły się wcale liczną frekwencyą: podczas trzech seryi brało udział 520 kobiet i 500 mężczyzn. Dano jeszcze 10 innych rekolekcyi: dla kleryków w Seminaryum lwowskiem i tarnowskiem, dla dziewcząt w krakowskim zakładzie św. Jadwigi SS. Nazaretanek, dla Dzieci Maryi w Poznaniu, w Maryampolu i w Krakowie w domu centralnym SS. Miłosierdzia, u św. Łazarza i u św. Stanisława, reszta dla SS. Miłosierdzia w krakowskiej i chełmińskiej prowincyi, a nadto po raz pierwszy w Warszawie. Nie zaniedbywaliśmy też pracy w naszym kościółku, o czem może świadczyć liczba 52.360 Komunii św., rozdanych wiernym w ciągu ubiegłego roku. Zresztą zajęci jesteśmy w szkołach i szpitalach. Bardzo miłą dla nas jest troska duchowa nad chorymi w szpitalu św. Łazarza, gdzie zbieramy żniwo niemal takie, jak na obszerniejszej parafii, w roku ubiegłym udzielono bowiem chrztu św. 550 dzieciom, ostatniego olejem św. namaszczenia 1021 chorym, wyspowiadano przeszło 4200.

Z radosnych zdarzeń notujemy kilkudniowy u nas pobyt dostojnego gościa z Lublany, ks. Biskupa Jegliča, znanego z owocnej, socyalnej pracy.

Kraków-Stradom. Opatrzność Boża, dzięki której nasze Małe Seminaryum dochodzi liczby prawie 100 wychowanków, co kiedyś zasilić mają nasze szeregi, powierzyła nam w tym roku jeszcze jedno dzieło. Ponieważ na Nowej Wsi niema dla tej liczby miejsca, więc umieszczono w naszym domu 4-tą

klasę w liczbie 25-ciu i oddano nam jej prowadzenie. Kurs teologów, którzy niebawem staną obok nas do pracy czynnej, przyjął w tym roku dwa wyższe święcenia, a kurs niższy, co do nas przyszedł po wakacyach z Kleparza, otrzymał święcenia niższe w uroczystość Matki Boskiej Różańcowej. Z nimi otrzymał święcenie kapłańskie ks. Mateusz Marzotko, przeznaczony na studya do Rzymu. Ks. Wilhelm Michalski po złożeniu doktoratu z teologii na tutejszym uniwersytecie pojechał do Ziemi świętej na dalsze studya.

Niepowetowaną stratę ponieśliśmy przez śmierć ś. p. ks. Kajetana Sakowskiego, zniknął z pośród nas nigdy niezapomniany wzór cnoty i gorliwości misyonarskiej, co nam młodszym w naszych starych murach przyświecał. W te stare mury tchnął nowego ducha, tego samego, którym ożywieni byli nasi Ojcowie, co blizcy czasów św. Wincentego, z tych samych murów nieśli światło Chrystusowe pomiędzy kler i lud polski. Wszystko, co nas otacza, będzie nam, daj Boże, najdłużej przypominało jego pamięć.

W znacznej liczbie zmienili się u nas w tym roku Konfratrzy, ale praca została ta sama tak w domu, jak poza domem. Kościół nasz z tą samą pobożnością zalegają rzesze wiernych, przystępując licznie do Sakramentów św. W głoszeniu słowa Bożego pomagają nam dzielnie nasi dyakonowie. W dzień św. Wincentego (19. lipca) odprawił u nas na sumie swój 25-letni jubileusz kapłaństwa ks. dr. Franciszek Świderski, katecheta I. wyższej szkoły realnej. Przed 25-ciu laty odprawił w tym dniu przed ołtarzem św. Wincentego pierwszą Mszę św. i odtąd co rok odprawiał przed tymże ołtarzem uroczystą wotywę 19. lipca. Przywiązanie swoje do świętego Ojca naszego uwieńczył w tym roku uroczystym swoim jubileuszem. Po południu na nieszporach, odprawionych przez Najczcig. ks. Wizytatora, odbyła się piękna uroczystość poświęcenia nowych stacyi Drogi Krzyżowej, wykonanych przez artystę malarza z Krakowa, Jana Bukowskiego.

Z końcem wakacyi odbyły się w naszym domu, jak roku zeszłego, rekolekcye dla katechetów z innych dyecezyi gali-

cyjskich pod przewodnictwem Najczcig. ks. Wizytatora. Prócz nich odprawiło u nas prywatne rekolekcye kilku innych kapłanów. Nasi Kontratrzy dawali w tym roku rekolekcye: dwa razy ubogim w zakładzie Brata Alberta, starcom w Dobroczynności, chłopcom w zakładzie św. Józefa, Dzieciom Maryi w „Domu pracy“, w jednem z gimnazyów, w trzech szkołach wydziałowych. w szpitalu św. Ludwika, raz księżom świeckim w Kaczyce, raz Siostrom Najśw. Serca P. Jezusa, cztery razy Siostrom Miłosierdzia.

Jezierzany. — Z listu ks. Superyora J. Sokołowicza. — Zanim podam sprawozdanie z prac, podjętych w naszym domu w kończącym się roku, w myśl zwyczajów naszych, przypomnianych okólnikiem Czcigodnego ks. Wizytatora z d. 21. marca 1907. przesyłam krótką notatkę o triduum misyjnem, które dałem w sąsiedniej parafii Żabińce.

Misyę 5-dniową dali w tej parafii Konfratrzy pod przewodnictwem ks. Tyczkowskiego (z Sarnek) r. 1901. w pierwszych dniach września. Po tej misyi sami parafianie tak w rzeczach Bożych sobie zasmakowali, że się dopominali, by co rok były u nich tridua renowacyjne, jeżeli nie kompletne misye. Miejscowy dwór, na wskroś katolicki, chętnie pomagał w pokryciu wydatków, z takiemi sprawami złączonych, i coś dwa razy w tym czasie renowacye się odbyły: raz dawali tu ćwiczenia duchowne OO. Jezuici, drugi raz nasz ks. Domoradzki. Bardzo gorliwy poprzedni w Żabińcach proboszcz, ks. kan. Szczepan Dziurzyński, za którego pasterzowania dali tu nasi misyę, przeniósł się tymczasem do Krzywcza za Borszczów. I za niego i za jego następców niedogodność była wielka z rekolekcyami czy misyami, a to z tego względu, że ćwiczenia te musiano odbywać zimową porą, kiedy lud prace w polu pokończy; kościółek znowu był tak szczupły, że ani połowy parafian pomieścić nie mógł. Przezacny Kolator, p. Kazimierz Horodyski, zaradził i tej potrzebie, własnym swoim kosztem rozszerzając pierwotną kaplicę do rozmiarów poważnego kościoła o trzech nawach. Poświęcenia

tej świątyni dokonał w pierwszych dniach czerwca 1907. r. JExc. Najprzew. ks. Arcybiskup Metropolita Bilczewski.

Obecny proboszcz w Żabińcach, ks. Stanisław Wojnowski, pragnął bardzo, by misyjka obecna odbyła się u niego przed konsekracyą kościoła. Ze względu jednak na spóźnione roboty wiosenne, jak i na to, że mnie, na którego jako kandydata do tej pracy liczył, zawezwano właśnie w tym czasie do krakowskiej dyecezyi z maleńką posługą przy wizycie kanonicznej, odłożył tę sprawę do późnej jesieni. Pragnął bardzo, by tu do pracy stanął ks. Rossmann, jego dawny spirytualny. Gdy to znowu było niemożliwem, sam pojechałem. Żabińce graniczą z naszą jezierzańską parafią, a są odległe dobre dwie mile drogi. Czas był nieosobliwszy; zamiast jechać końmi, wsiadłem na pociąg, który mnie dowiózł do Hadyńkowiec, wioski już do żabińskiej parafii należącej. Wieczorem d. 26. listopada zaczęliśmy pracę od wezwania pomocy Ducha św., nieszporów i wstępnej nauki. Przez dwa pierwsze dni przemawiałem po cztery razy dziennie i jeszcze wotywy śpiewałem; w trzecim dniu powiedziałem trzy nauki, na zakończenie w sobotę dwie. Spowiedzi słuchaliśmy w pierwszym dniu obydwaj z proboszczem, później nadjechali: OO. Cyryl i Henryk, z Czortkowa Dominikanie, tudzież ks. Smoliński, administrator z Husiatyna. Przy ich pomocy obsłużyliśmy wszystkich w liczbie około 1000.

Lud tu rozwinięty, do Kościoła przywiązany i ma się, jak na stosunki okoliczne, bardzo dobrze. Do dworu i księdza przywiązani.

Parana. — Nowa kolonizacya, szarańcza. Z Brazylii dochodzą wieści o nowej wielkiej kolonizacyi, zaprojektowanej przez rząd związkowy. Dotąd w Rio Grande do Sul i S-ta Catharina najlepiej kolonizacya się powiodła. Obecnie i stan Parana rozpoczął bardzo żywą agitacyę, ażeby prąd emigracyjny skierować na swoje olbrzymie, niezaludnione jeszcze przestrzenie. Wobec powrotnej fali emigracyjnej ze Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej może się projekt udać, zwłaszcza, że warunki są bardzo udogodnione. Koszta

przewozu z Europy ponoszą w zupełności rządy związkowy i stanowy; spłata za ziemię (1 reis za m²) rozłożona na sześć lat. Ze wzrostem ludności wzrośnie i dla naszych Konfrantrów żniwo ewangeliczne wśród poczciwych kolonistów polskich. Głosy o kolonizacyi zwiastują nam więc radość, choć równocześnie dowiadujemy się o wielkich klęskach, jakie nawiedziły Polaków w Paranie. Wszystkie plony zjadła szarańcza, co zleciała na urodzajne niwy parańskie w tak niesłychanej ilości, że w przelocie słońce zasłaniała a szelestem skrzydeł robiła wrażenie nadciągającej burzy. Żyto, pszenica i jarzyna, jak groch, kapusta, buraki — wszystko zniszczone — nawet pastwiska zmieniły się jakby w wypalony, szczerniały step, tak, iż bydło nie ma żadnej paszy. Całym okolicom grozi straszny głód, bo na polach sterczą tylko badyle. Co pominęła szarańcza, padło ofiarą szczurów lub, jak np. w Tomaz-Coelho, gradu. Jedynym ratunkiem dla mieszkańców są bataty, oszczędzone przez żarłoczne robactwo. Bliższe szczegóły o tej klęsce podaje nam list ks. Superyora Męsopusta do Najprz. ks. Wizytatora, wysłany z *Prudentopolis* 22. października 1907. r.

„Nawiedziła nas szarańcza. Kto jej nie widział, może tylko mówić o zniszczeniu, jakie sprawia, ale kto na nią patrzy i codziennie widzi, jak wiernie jej obraz nam prorok przedstawił, gdy przyrównał ją do wojska, dla którego niema żadnego zamku, żadnej twierdzy, lub okopów, które nawet w swym locie zniszczenie sieje, a gdzie osiądzie, to nic nie zostawi, musi zarazem odczuwać ból i żal naszego ludu. Przyleciała do nas 19. października, w sobotę, a już w niedzielę płakał lud, że mu szarańcza wszystko zjadła. Szarańczy było na niektórych drogach 30 cm. od ziemi. Ogród nasz cały podziurawiony; jedna dziurka przy drugiej, a w nich tysiące młodych istot, które za dwa tygodnie wykłują się z jajka i przez trzy miesiące będą gościć u nas, póki nie dostaną skrzydeł. Jeden zagon kartofli cały zjedzony, ale to tak, że nawet badyli niema. Zagłębienia tych otworków, gdzie złożone są jaja, wynoszą 2 lub 3 cm. Z miasta ustąpiła wczo-

raj po ośmiu dniach niemiłych odwiedzin, bo nawet pod wieczór trzeba się było chronić do pokojów, bo nie można było wytrzymać odoru. Niektórzy skarżyli się na ból głowy. Na niektórych koloniach przebywała dwa tygodnie. Długość jej wynosiła mniej więcej 30 km., a wszerz sięgła tak samo niemal.

Rząd chce wszystko jak najlepiej przygotować dla emigrantów. Nasi osadnicy już nie doznają tego, czego doświadczyli ich poprzednicy. Kiedy przed dziesięciu laty przybyli tu koloniści, nie zastali nic. Grunta nie były poodmierzane, dróg nie było żadnych; wszyscy ściskali się w dusznych barakach, to też umierało w nich codziennie 16—20 osób, a niezadowolenie było takie, iż ówczesny konsul austryacki, Wincenty Pol uciekać musiał przed rozjuszonem pospólstwem, gdy zjawił się tu dla wysłuchania jego życzeń. Wszyscy chcieli wracać do Galicyi, a ktoś puścił nawet wieść, ile to tysięcy ofiaruje każdemu cesarz, jeśli powróci nazad do jego państwa. Naturalnie zaprzeczył temu przedstawiciel cesarski, a z tego bunt przeciwko niemu. Dziś zastaną już koloniści drogi i mosty, a nawet domki, a w pierwszych sześciu miesiącach będą żywieni na koszt rządu, który wyasygnował dla każdej rodziny 50 milów miesięcznej renty.

Szkoła nasza prosperuje obecnie nieźle. Uczęszcza do niej 80 dzieci polskich i 8 niemieckich. Szkoda, że nasza kolonia taka rozrzucona i nie wszystkie dzieci mogą naukę pobierać. Ksiądz Kandora uczy w niej religii.

Abranches - Lamenia. Egzamina w szkołach Sióstr Miłosierdzia. — „Gazeta polska w Brazylii“ z 5. grudnia 1907. r. podała notatkę pełną uznania dla pracy S. S. Miłosierdzia nad szkolną dziatwą polską:

Na Abranszes w przeszłą środę odbyły się egzaminy, a wcześniej nieco uroczystość poświęcenia przepięknej figury N. M. Panny, którą po poświęceniu ustawiono na ołtarzu. O egzaminie w szkole, prowadzonej przez Siostry Miłosierdzia, szeroko rozpisywać się nie będziemy. Kto się im przysłuchiwał co roku, lub czytał nasze sprawozdania, ten będzie pe-

wnym, że postęp tam jest — być musi. Serca czulsze niż rodzonej matki i bezmiar poświęcenia dla kochanej młodzi wydać musi dobre rezultaty. W obu klasach: czytanie, dyktando, geografia, historya, nie mówiąc o religii i historyi biblijnej, — stoją bardzo wysoko. Szczególniej wykład historyi polskiej jest ślicznie prowadzony, stąd też i w praktyce rezultat wprost wspaniały. Zamiast bezmyślnego wybębniania królów według chronologii, co dziatwę tylko zniechęca, każde dziecię wie o wszystkich ważniejszych dla narodu wypadkach i za jakiego króla miały miejsce. W śpiewie i deklamacyi dzieci z tej szkoły chyba przodują wszystkim. Jedne rachunki, których czas wykładu — sądzimy — należałoby powiększyć, nie dlatego, aby dzieci w tym przedmiocie były słabiej przygotowane niż gdzieindziej, ale dlatego, że w życiu tych rachunków potrzeba wielka, a siły profesorskie tak poważne, że łatwiej niż gdziebądź ten dział rozwinąć są w stanie. Dziecko po opuszczeniu szkoły dalej kształcić się będzie, czy to przez obcowanie z ludźmi, czy to przez czytanie pism i książek, ale rachunków tyle tylko umieć będzie, ile się w szkole nauczy.

Spotyka nas miła niespodzianka jako nowość wprowadzona do programu, to — gimnastyka dla dziewcząt i chłopców. Dziewczęta w strojach narodowych przy śpiewie „Z siateczkami chodźmy“ — korowód i marsz a chłopcy ćwiczenia wolne. Wszyscy z zachwytem przyglądali się tej pięknej a wielce dla ciała pożytecznej nowości. Sz. Siostra Bronisława doskonale swój pułk wyćwiczyła. Komenda spokojna, pewna, a ruchy żołnierzyków równe i zgodne. Śliczne to było.

Na zakończenie „Awantura z jagodami“ wprost artystycznie odegrana. Bajerska Aniela, Bunik Marya i Ironka Witosławska odznaczyły się doskonałem ról oddaniem. Komedyjka ta wywołała żywe zadowolenie, które rychło zamieniło się w podziw ogólny, a wyrazem jego była składka na rzecz wybudowania stałego teatrzyku przy szkole Szanownych Sióstr na Abranszes. Złożono 48.800 m. Wśród gości Kurytyby wi-

dzimy W. Sz. Konsula p. Z. Okęckiego z dostojną małżonką i wiele innych osób.

Lamenia Duża, dnia 2. grudnia 1907. Prawdziwie radosny dzień; prawie święto! mieliśmy na kolonii naszej w piątek dnia 29. listopada, gdyż oto szkoła nasza stanęła w szeregu, by zdać publiczny popis ze swej pięcio-miesięcznej pracy. Mówimy pięcio-miesięcznej, gdyż niema jeszcze pół roku, jak Szanowna Siostra Zofia, przybywszy z Europy, szkołą naszą się zajęła.

Popis jednak udał się tak, że się miało wrażenie, jakby szkoła już od lat bez przerwy egzystowała. Trzeba było słyszeć naszych malców, z jaką pewnością na ważne pytania odpowiadali, a pytań było wiele, gdyż z religii, z historyi polskiej i brazylijskiej, z geografii i rachunków. Czytanie szło gładko bez zająkania się, pisanie wyraźne i bez błędów, słowem nadspodziewanie dobrze. Widać, że Sz. Siostra trudów nie żałowała, gdyż egzamin wykazał, że tylko fachowa znajomość rzeczy i nadzwyczajna chęć pracy do tak świetnego rezultatu doprowadzić mogły.

Po egzaminie staraniem Towarzystwa św. Izydora z Lamenii Dużej odbył się skromny lecz podniosły obchód listopadowy. Otwarty serdecznem przemówieniem Sz. Superyora ks. Chylaszka, poczem nastąpiła mowa pana Lipskiego, prezesa Tow. „Łączność i Zgoda“ z Pakatuby, następnie deklamacye dzieci szkolnych i parę stosownych piosnek. Tym sposobem uroczystość ku ogólnemu zadowoleniu licznie zebranych gości się skończyła, pozostawiając po sobie niezapomniane a miłe w kolonii wrażenie.

Szanownej Siostrze Zofii za radosną niespodziankę, jaką nam egzaminem zgotowała, przewielebnym Księżom, oraz Szanownym Siostrom z Abranszesz za ich bezinteresowną pomoc przy urządzaniu szkoły naszej, składamy niniejszym serdeczne Bóg zapłać.

Uchwała św. Kongregacyi Soboru Trydenckiego o codziennej Komunii św.

Ostatnimi czasy żywe i ostre spory w tym przedmiocie prowadzone, zaniepokoiły umysły spowiedników i sumienia wiernych z niemałą szkodą dla gorliwego postępu w pobożności chrześcijańskiej. Stąd zastęp mężów bardzo wybitnych, pasterski urząd piastujących, przedstawił Ojcu św. Piusowi X. usilne swe prośby, by raczył najwyższą powagą rozstrzygnąć wszelkie wątpliwości dotyczące usposobienia duszy, jakiego wymaga codzienna Komunia święta, tak: aby w naszych czasach, gdy miłość Boża i prawdziwa pobożność znacznie ostygły, a wiara katolicka zewsząd doznaje ucisku, nie tylko nie zmniejszał się, ale rozpowszechniał i wzrastał w pośród wiernych tyle zbawienny a Bogu tak bardzo miły zwyczaj przystępowania codziennie do Stołu Pańskiego. Ojciec święty, zawsze pełen troski i starania o zbawienie dusz sobie poruczonych, pragnąc gorąco, by wierny lud chrześcijański jak najczęściej, owszem codziennie uczestniczył w uczcie niebieskiej i jak najobfitsze owoce z niej odnosił, sprawę w powyższej prośbie przedłożoną, nakazał św. Kongregacyi Soboru Trydenckiego zbadać i rozstrzygnąć.

Ta tedy święta Kongregacya na pełnem posiedzeniu, zwołanem dnia 16. grudnia 1905 r., rzecz całą jak najsumienniej rozstrząsnęła i zważywszy z wielką pilnością i rozwagą wszystkie powody, które mogły przemawiać za sprawą w prośbie wyrażoną lub przeciwko niej, postanowiła i orzekła co następuje:

1. Częsta, a nawet codzienna Komunia święta, jako odpowiadająca gorącym życzeniom Chrystusa Pana i Kościoła katolickiego, ma być dozwolona wszystkim wiernym każdego stanu i zawodu tak dalece, żeby uczestnictwo Stołu Pań-

skiego nie było wzbronione nikomu, który jest w stanie łaski i do Komunii świętej przystępuje z sercem prostem i pobożnem, czyli w dobrej intencyi.

2. Dobrą intencyę, jako warunek do Komunii świętej wymaganą, tak pojmować należy, aby chęć przystąpienia do Stołu Pańskiego nie wypływała z nabytego zwyczaju, z próżności, albo z innych względów ludzkich, lecz ze szczerego pragnienia podobania się Bogu, ściślejszego zjednoczenia się z Bogiem więzami miłości, zaczerpnięcia w Najświętszym Sakramencie lekarstwa na uleczenie swych niemocy i błędów.

3. Wypada wprawdzie i jest ze wszech miar pożądanem, by dusza często lub codziennie pożywająca Ciało Pańskie, wolną była od grzechów powszednich, przynajmniej całkiem dobrowolnych, i wyzutą z przywiązania do tych swoich drobnych upadków; jednakowoż jeśli chodzi o pytanie, jakie usposobienie do częstej Komunii św. wystarcza, odpowiedzieć należy, iż wystarcza być wolnym od grzechów śmiertelnych i mieć silne przedsięwzięcie nigdy ich nie popełniać. Jeśli będzie w sercu to szczere postanowienie, wówczas dusza przez codzienną Komunię św. z wszelką pewnością pozbędzie się zwolna i grzechów powszednich oraz przywiązania do nich.

4. Ponieważ Sakramenta św. nowego zakonu — lubo skutek swój wywierają własną swą dzielnością i siłą przez Chrystusa Pana sobie udzieloną — tem większą dają łaskę, im lepiej osoba przyjmująca Sakrament jest doń przysposobiona, zatem starać się trzeba, by Komunię św. poprzedziło pilne przygotowanie, a po niej następowało stosowne do godności tego Sakramentu dziękczynienie, w miarę sił, stanu i warunków przyjmującej osoby.

5. Ażeby do częstej i codziennej Komunii św. przystępować z większą roztropnością i obfitszą zasługą, powinno się w tej mierze iść za radą własnego spowiednika. Spowiednicy jednak ze swej strony niech się strzegą, by częstej, czy codziennej nawet Komunii św. nie wzbraniali, jeśli osoba prosząca jest w stanie łaski i ma dobrą intencyę.

6. Ponieważ przez częstą i codzienną Komunię świętą najoczywiściej wzrasta zjednoczenie duszy z Chrystusem, wzmacnia się życie wewnętrzne, dusza wzbogaca się w skarby cnót i pewniejszą otrzymuje rękojmię wiecznego zbawienia, obowiązkiem jest proboszczów, spowiedników, kaznodziei, w myśl nauki zawartej w katechizmie rzymskim (cz. II. n. 60), często i usilnie zachęcać lud wierny do tego pobożnego i zbawiennego zwyczaju.

7. Zwyczaj częstej i codziennej Komunii świętej należy szerzyć przedewszystkiem we wszelkiego rodzaju zakonnych zgromadzeniach, względem których wszakże pozostaje w swej mocy uchwała zaczynająca się od słów: „*Quemadmodum*“, wydana dnia 17. grudnia 1890 r. przez św. Kongregacyę dla spraw biskupów i zakonników. Ten sam zwyczaj ma być popierany po seminaryach dyecezyalnych tem usilniej, że ich wychowankowie pragną właśnie poświęcić się na służbę ołtarza; to samo odnosi się również do wszystkich innych chrześcijańskich zakładów wychowawczych.

8. Jeżeli reguły, czy ustawy, czy szczególne przepisy jakichkolwiek zgromadzeń zakonnych o ślubach uroczystych, czy też zwykłych, Komunię św. do pewnych tylko stałych dni przywiązują z obowiązkiem przystępowania do niej w tych oznaczonych czasach, wszystkie tego rodzaju określenia przyjąć trzeba jedynie za wskazówki a nie za ściśle obowiązujące ustawy, przepisaną zaś liczbę Komunii świętych uważać należy za ten najniższy stopień, z którego zejść niżej pobożność zakonnika już nie pozwala. Stąd wszystkim osobom zakonnym ma być dozwolone częstsze i codzienne nawet przystępowanie do Stołu Pańskiego, według rozporządzeń w niniejszej uchwale wyżej podanych. Żeby zaś wszystkim zakonnikom było dobrze wiadomo, co za przepisy ta uchwała zawiera, poleca się staraniu przełożonych poszczególnych domów, by postanowienia niniejsze wszystkim wspólnie zgromadzonym odczytywano w języku ojczystym corocznie podczas oktawy święta Bożego Ciała.

9. Po ogłoszeniu wreszcie tej uchwały, mają wszyscy pisarze kościelni wstrzymać się nadal od spornych rozpraw w przedmiocie usposobienia duszy, jakiego wymaga częsta lub codzienna nawet Komunia św.

Gdy postanowienia te przez niżej podpisanego sekretarza św. Kongregacyi Soboru przedłożone zostały Ojcu św. na posłuchaniu dnia 17. grudnia 1905 r., Jego Świątobliwość uchwałę niniejszą przyjął i potwierdził, oraz polecił wydać ją bez względu na wszystko, co mogłoby się jej sprzeciwiać. Prócz tego nakazał rozporządzenia te przesłać wszystkim Ordynaryuszom i przełożonym zakonnym, by ci ze swej strony uwiadomili o nich swoje seminarya, proboszczów, zgromadzenia zakonne i poddanych sobie kapłanów, następnie zaś w sprawozdaniach, czynionych Stolicy świętej o stanie dyecezyi, względnie zgromadzenia, zdali także sprawę i z tego, jak w czyn zamieniono treść niniejszej uchwały.

Dan w Rzymie dnia 20. grudnia 1905 r.

† *Wincenty, Kard. Bisk. Palestryny,* prefekt.
C. de Lai, sekretarz.

Uchwała św. Kongregacyi Soboru Trydenckiego o Komunii św. dla chorych, nie mogących być na czczo.

Niewymowną radością napełniły biskupów i przełożonych zgromadzeń zakonnych takie rozporządzenia Stolicy św., jak uchwała z 20. grudnia 1905 r. „o częstej i codziennej Komunii św.“, jak udzielenie przez Ojca św. Piusa X. w dniu 30. maja tegoż roku odpustu wszystkim wiernym, którzy pomodlą się o rozszerzenie codziennej Komunii św., jak dekret „Urbis et Orbis“ Kongregacyi Odpustów z dnia 14. lutego 1906, mocą którego wierni mogą przez codzienną Komunię św. zyskiwać wszystkie odpusty, chociażby nie przystępowali do spowiedzi św. co tydzień. Kiedy w ten sposób rozbudziła się żywa pobożność, zaczęto się zastanawiać nad

tem, jakby dopomódz chorym od dłuższego czasu nie mogącym zupełnie na czczo zostawać, a pragnącym częściej przyjmować Chleb Anielski. Podano prośbę do Ojca św. Piusa X. Zastanowiwszy się nad tem i zasięgnąwszy rady u św. Kongregacyi Soboru, pozwolił łaskawie, żeby chorzy, złożeni niemocą od miesiąca i bez stanowczej nadziei rychłego wyzdrowienia, chociażby czegoś posilnego się napili, mogli za radą spowiednika, przystępować raz lub dwa razy na tydzień do Komunii św., jeżeli mieszkają w domu zakonnym, w którym przechowuje się Najśw. Sakrament lub który ma przywilej na odprawianie w nim Mszy świętej w prywatnej kaplicy; a raz lub dwukrotnie na miesiąc, jeśli mieszkają gdzieindziej. Należy jednak zachować odnośne przepisy Rytuału Rzymskiego i św. Kongregacyi Obrzędów. Uchwały niniejsze są ważne bez względu na wszystko, coby im się sprzeciwiać mogło.

Dan w Rzymie, dnia 7. grudnia 1906.

† *Wincenty, Kard. Bisk. Prenesteński,* prefekt.
C. de Lai, sekretarz.



Ś. p. ks. Wilhelm Schmidt

(1833—1907).

Kölnische Volkszeitung zamieściła pod datą 2. grudnia 1907 r. następującą notatkę:

„W sobotę dnia 30. listopada b. r. zmarł w szpitalu św. Wincentego w Kolonii ks. Wilhem Schmidt. Obchodził on 17. sierpnia b. r. w Jeruzalem złoty jubileusz kapłaństwa, a wkrótce potem popłynął z Jaffy ku Europie, by po siedmiu latach znowu zwiedzić rodzinne strony. Zatrzymał się po drodze w Rzymie i był u Ojca św. na dłuższej audyencyi. W październiku brał żywy udział w obchodach jubileuszowych „Stowarzyszenia Ziemi św.“ Wyraził się wtedy, że z końcem listopada zamierza wybrać się z powrotem do Jeruzalem, by tam spocząć już na zawsze. Bóg jednak inaczej rozrządził — spocząć miał na rodzinnej ziemi“.

O ks. Schmidcie i jego działalności na Wschodzie zamieściły „Roczniki“ w r. 1905 obszerniejszą wzmiankę. Dziś, gdy już następca jego ma zbierać obfite plony z jego zasiewów, zamierzamy skreślić o nim kilka szczegółów biograficznych, podług wspomnianej *Kölnische Volkszeitung* z dnia 5. grudnia 1907 r.

Ś. p. ks. Fryderyk Wilhelm Schmidt urodził się dnia 8. kwietnia 1833 r. w Fürstenberg, w Westfalii. Wyświęcony na kapłana 17. sierpnia 1857, oddawał się przez półczwarta roku z zapałem pracy duszpasterskiej w rodzinnej dyecezyi Paderborn. Gorliwość kapłańska sprowadziła go też do naszego Zgromadzenia. Konfratrzy nasi pracowali w Niemczech od r. 1781. W Palatynacie nadreńskim widzimy już za dziesiątego Generała, ks. Feliksa Cayli (1788—1880) osobną pro-

wincyę. Wszystkie zakłady pojezuickie w Palatynacie przeszły w ręce naszego Zgromadzenia, równie jak współcześnie w Portugalii, w Syryi i w Chinach. Prowincya ta zniknęła całkiem z widowni w czasie wojen rewolucyjnych. Przez pół wieku miema w Niemczech Misyonarzy. Dopiero w r. 1851 przyszli do Kolonii, a zyskując dalsze posterunki utworzyli wkrótce nową, kolońską prowincyę. Oddawali się tu Misyonarze przedewszystkiem ukochanej przez św. Założyciela pracy misyjnej. Dość wspomnieć, że szczupła garstka księży dała aż do kasaty (1873) około trzystu misyi.

Gorliwego ks. Schmidta nęciła ta zbożna praca, o niej bowiem marzył od zarania życia kapłańskiego. To też już dn. 21. kwietnia 1861 widzimy go w Seminaryum Internum w Kolonii, a niedługo potem w wirze pracy misyjnej. — W r. 1863 biskup z Hildesheim, ks. Wedekin, oddał swój konwikt teologiczny pod zarząd Zgromadzenia. Z woli przełożonych niemała cząstka pracy tamtejszej spadła na barki ks. Schmidta, który z żalem porzucał ulubione misye. Dziwnem zrządzeniem Boga miał tu ks. Schmidt sposobność położyć podwaliny pod przyszłą wydatną działalność na Wschodzie. Wszystek czas wolny poświęcał ulubionym studyom biblijnym. Zdolność zaś jego, a z czasem i wykształcenie olbrzymie w tym kierunku nie uszła baczności drugich, a zwłaszcza biskupa. To też gdy nagle zawakowała katedra Starego Testamentu i języka hebrajskiego, jemu powierzył te wykłady. Przez dwa lata porywał uczniów swą wiedzą i zapalał do nauki. Zdolniejszym zaś poświęcał jeszcze wiele czasu poza wykładami. W tym też czasie zawiązał korespondencyę z bawiącym podówczas w Rzymie na studyach w kollegium Propagandy znakomitym Syryjczykiem, ks. Ludwikiem Rahmani. Stosunki te nie zerwały się nawet i wtenczas, gdy ks. Rahmani został patryarchą na Wschodzie.

Tak to bezwiednie przygotowywał sobie ks. Schmidt grunt, na którym później miał oprzeć swą działalność w Syryi. Po wojnie francusko-niemieckiej srożyć się zaczęła w Niemczech w najlepsze t. zw. walka kulturna — po dekrecie

znoszącym Jezuitów wychodzi drugi, który orzeka, że i inne Zgromadzenia, jak Misyonarze, Redemptoryści i inne, jako „spokrewnione“ z Jezuitami, mają opuścić granice nowego cesarstwa. Ze smutkiem opuszczali Konfratrzy (35 księży) ośm domów zniesionej prowincyi, a oddani z wyjątkiem kilku do dyspozycyi O. Generała Étienne rozprószyli się po różnych domach we Francyi, Portugalii, Ameryce, Małej Azyi i Syryi, z nadzieją, że niedługo będą mogli powrócić w rodzinne strony i odbudować dzieło zburzone. — Ks. Schmidt wyjechał do Tripolis w Syryi, centralnego ogniska misyi wśród Maronitów. Dla znajomości języków wschodnich mógł już po kilku miesiącach odprawiać misye na Libanie.

Tymczasem prowincya niemiecka zaczęła się na nowo, chociaż na obczyźnie w Belgii, podnosić i organizować. W Theux, dzisiejszej siedzibie wizytatora prowincyi, liczącej obecnie ośm domów i znaczną liczbę Misyonarzy pracujących w Belgii, Holandyi, Luksemburgu, Ameryce Środkowej oraz w Jeruzalem, a po części i w Niemczech, zaczął ówczesny wizytator ks. Marcus już w r. 1878 tworzyć Małe Seminaryum. Z czasem powstało tu Seminaryum Internum (1885) oraz studya teologiczne i prowincya zakwitnęła na nowo. Rozprószonych Misyonarzy zaczęto sprowadzać napowrót. To też i ks. Schmidta widzimy w r. 1881 w Theux na stanowisku profesora w „Collegium Marianum“ czyli Małem Seminaryum. Gdy świeższe siły mogły go wyręczyć, odjechał znowu do ukochanych swoich Maronitów (1884). Pięć lat miał tam jeszcze pozostać.

W r. 1889 niemiecki „Palaestina-Verein“ (od r. 1895, po zlaniu się z dawniejszem stowarzyszeniem „Grabesverein“, zwany „niemieckiem Stowarzyszeniem Ziemi św.“ — Deutscher Verein vom Heiligen Lande) postanowił oddać naszemu Zgromadzeniu swoje zakłady na Wschodzie, jak hospicyum jerozolimskie dla pielgrzymów niemieckich, szkołę chłopców w Jeruzalem, opiekę duchowną nad szkołą dziewcząt, małą realność w Emaus, osadę Taagba nad jeziorem Genezaret i t. p. Trudno było znaleźć człowieka, któryby lepiej zdołał odpo-

wiedzieć temu zadaniu nad ks. Schmidta. Skutki dzisiejsze jego pracy dowodzą, że się nie mylono. Na wezwanie przełożonych pospieszył ks. Schmidt do Theux, by osobiście brać udział w rokowaniach i dobrać sobie współpracowników. Jesienią wreszcie r. 1890 wyjechał w towarzystwie jednego tylko na razie Konfratra do Jeruzalem.

Samo objęcie zarządu nad niemieckiem hospicyum i uregulowanie stosunków niemało nastręczało trudności wewnętrznych. Niczem one jednak były wobec zewnętrznych przeszkód. Wypłynął wtedy na wierzch antagonizm niemiecko-francuski, zwłaszcza w kwestyi o protektorat nad katolikami na Wschodzie. Ks. Schmidt jako przedstawiciel niemieckiego stowarzyszenia i dyrektor niemieckiego hospicyum nie mógł się poddać pod protektorat francuski. To też konsul francuski niebo i ziemię poruszył, by przeszkodzić osiedleniu się niemieckich Misyonarzy w Jeruzalem. Protestowano w Rzymie, na najwyższych przełożonych Zgromadzenia wywierano w tym celu silny nacisk. Kres dopiero położyła odpowiedź z Watykanu: „Niema powodu odwołania niemieckich Misyonarzy z Jeruzalem".

Nastał spokój; a ks. Schmidt pracował cicho, bez rozgłosu nad założeniem i rozwojem zakładów sobie powierzonych. Nie dał się unieść pokusie, której nieraz i katolickie instytucye na Wschodzie ulegały, by za wszelką cenę przerobić krajowców na Europejczyków. Zasadą jego było, zwłaszcza w szkole, kształcić dzieci na dobrych katolików, a zarazem uzdolnić je do pracy na własnej ziemi, wyrobić z nich dzielnych krajowców. To też wkrótce pozyskał sobie uznanie i sympatyę u wszystkich. Dzisiaj jeszcze pamięta o nim nawet każde niemal dziecko.

Dojrzał w tym czasie u niego plan, żeby w hospicyum założyć niejako kollegium dla młodych uczonych katolickich, chcących się poświęcić studyom biblijnym w Ziemi św. Najważniejszą rzeczą było zgromadzić odpowiednią ilość dzieł fachowych, zaprenumerować czasopisma naukowe, urządzić nadto czytelnię mającą dla wytchnienia także dzienniki

i wogóle lżejszą lekturę. Na jego prośbę pospieszyły wszystkie księgarnie niemieckie, nawet protestanckie z obfitymi datkami w dziełach wyborowych, wybitni uczeni dali swoje dzieła i prace, a redakcye posyłają czasopisma i dzienniki. Biblioteka liczy dzisiaj kilka tysięcy tomów, wśród których doborowe dzieła z zakresu teologii, egzegezy, a nawet z klasycznej literatury. Porobił i inne udogodnienia, jak zniżenie ceny mieszkania dla studyujących i t. p., a przedewszystkiem sam swoją olbrzymią wiedzą mógł być niejednemu pomocnym w studyach biblijnych. W tej też nadziei zaczęli młodzi uczeni zjeżdżać do hospicyum.

Nie opuszczał też ks. Schmidt innych dzieł sobie powierzonych, ale główną troską jego było hospicyum. Coraz bardziej odzywały się głosy za nowym, obszerniejszym budynkiem. Po długich staraniach udało się ks. Schmidtowi w kwietniu 1899 zakupić w pobliżu bramy Damasceńskiej obszerny plac pod budowę. Po pięciu jednak dopiero latach (1904) mógł położyć kamień węgielny pod nowe hospicyum św. Pawła. Dziś (od r. 1905) dzieło w znacznej mierze skończone, główny twórca jednak nie miał szczęścia dokonać swych planów w całości, ani długo się cieszyć dziełem już dokonanem.

A czekało go jeszcze dzieł wiele innych. On zajęty był budową kościoła Matki Boskiej (Dormitio BMV) na górze Syon i tamtejszego klasztoru Benedyktynów z Beuron. Przedmiotem troski jego była osada nad jeziorem Genezaret, ale nadewszystko posiadłość „Stowarzyszenia Ziemi św.“ w Emaus. Nabyta już w r. 1886, utrzymać się dała tylko z wielkim nakładem pracy i kosztów. Obok tego zakupił tam ks. Schmidt za własne pieniądze piękne wzgórze, na którem wśród ogromnych wysiłków urządził rodzaj Sanatoryum czy willegiatury dla obywateli niemieckiego hospicyum w Jeruzalem. Już w lecie roku 1902 mogli oni zażywać górskiego powietrza w cieniu pięknych drzew i wpośród prześlicznych kwiatów.

Z radością patrzał ks. Schmidt na tyle owoców swej pracy, wesoło obchodził w lecie 1907 roku złoty jubileusz

kapłaństwa, przyjmując dobrze zasłużone wyrazy uznania i pochwały płynące ze wszech stron na ręce jubilata. Dalsze prace musiał przerwać na pewien czas, by wziąć udział w uroczystościach jubileuszowych Stowarzyszenia Ziemi św. Podejmowano go wszędzie, nawet na dworze berlińskim z wielkimi honorami. Dn. 21. listopada miał wyjechać z powrotem do Jeruzalem, gdzie go z niecierpliwością wyczekiwano. Tymczasem poprzedniego dnia bawiąc w Kolonii dla pożegnania znajomych uległ nieszczęśliwemu wypadkowi. Wpadł pod koła tramwayu, z pod którego wydobyto go z połamaną nogą i nadwyrężonemi żebrami i w stanie nieprzytomnym odstawiono do szpitala św. Wincentego, gdzie po dziesięciu dniach dotkliwych cierpień poszedł po zasłużoną nagrodę do Boga, 30. listopada 1907.

W czasie choroby otrzymywał oznaki współczucia z najwyższych sfer kościelnych i państwowych, a pogrzeb jego dnia 4. grudnia był wspaniałą manifestacyą ku uczczeniu zasłużonego starca. Nieprzeliczone szeregi wiernych, wszystkie stowarzyszenia katolickie, przedstawiciele rządu, władze miejscowe, wojskowe i cywilne, a przedewszystkiem duchowieństwo zakonne i świeckie, z kard. arcybiskupem Fischerem na czele, wzięły udział w nabożeństwie pogrzebowem w kościele św. Urszuli w Kolonii i w olbrzymim żałobnym pochodzie na cmentarz w Melaten, gdzie Ks. Ks. Misyonarze dawnej prowincyi kolońskiej mają własny grobowiec. W czasie żałobnej mszy św., którą celebrował Wizytator z Theux, ks. Duplan, w otoczeniu licznych Konfratrów, wygłosił kanonik katedry kolońskiej ks. Düsterwald mowę żałobną, streszczając życie i działalność ks. Schmidta, a zwłaszcza jego cnoty kapłańskie.

Ks. J. Weissmann.

R. I. P.

Zmarli Misyonarze:

Br. Piotr Gruber, 27. sierpnia, w Theux (Belgia), żył lat 84 w Zgromadzeniu 13.

Ks. Michał Rubi, 7. października, w Meksyku, żył lat 76, w Zgromadzeniu 52.

Ks. Ildefons Moral, w listopadzie, w Meksyku, żył lat 73, w Zgromadzeniu 59.

Ks. Edward Anger, 26. listopada, w domu Macierzystym, żył lat 69, w Zgromadzeniu 46.

Ks. Ludwik Bignon, 27. listopada, w Loos (Francya), żył lat 70, w Zgromadzeniu 44.

Ks. Józef Tissot, 29. listopada, w domu Macierzystym, żył lat 79, w Zgromadzeniu 35.

Ks. Wilhelm Schmidt, 30. listopada, w Kolonii, żył lat 75, w Zgromadzeniu 47.

Ks. Teofil Gaujon, w grudniu, w Trujillo (Peru), żył lat 56, w Zgromadzeniu 38.

Ks. Jakób Palaysi, w grudniu, w Fortalezza (Brazylia), żył lat 32, w Zgromadzeniu 12.

Br. Jędrzej Veberich, 14. grudnia, w Cilli (Austrya), żył lat 87, w Zgromadzeniu 54.

Siostry Miłosierdzia

z prowincyi krakowskiej:

S. Wiktorya Pawlik, umarła w Moszczanach 26. października 1907. r., żyła lat 79, w Zgromadzeniu 60.

S. Katarzyna Szewczyk, umarła w szpitalu św. Ludwika 10. listopada, żyła lat 78, w Zgromadzeniu 51.

S. Antonina Bartosz, umarła w Domu Centralnym 8. grudnia, żyła lat 63, w Zgromadzeniu 34.

S. Marya Palędzka, umarła w Domu Centralnym 13. grudnia, żyła lat 55, w Zgromadzeniu 9.

S. Maryanna Krupińska, umarła w szpitalu św. Wincentego we Lwowie 29. grudnia, żyła lat 71, w Zgromadzeniu 51.

Siostry Miłosierdzia

zmarłe w prowincyi chełmińskiej w r. 1907.:

S. Agnieszka Tomaszewska, umarła w Chełmnie 13. lutego 1907. r. żyła lat 83, w Zgromadzeniu 57.

S. Marcyanna Szymankiewicz, umarła w Chełmnie 17. lutego 1907. r. żyła lat 65, w Zgromadzeniu 45.

S. Henryeta Bastubba, umarła w Chełmnie 20. lipca 1907. r. żyła lat 66, w Zgromadzeniu 41.

S. Julianna Ofienyńska, umarła w Pelplinie 21. października 1907. r. żyła lat 39, w Zgromadzeniu 14.

S. Berta Wojciechowska, umarła w Chełmnie 5. grudnia 1907. r. żyła lat 38, w Zgromadzeniu 17.

R. I. P.

Kraków, drukarnia Związkowa, pod zarządem A. Szyjewskiego.